

**JAMES PATTERSON**

**Kobiocy Klub Zbrodni 06**

**SZÓSTY CEL**

## **Prolog**

**Przeprawa promem**

### **Rozdział 1**

Zabójca Fred Brinkley siada na obitej niebieskim skajem ławce na górnym pokładzie promu przecinającego wody zatoki San Francisco. Listopadowe słońce świeci oślepiającym blaskiem niczym wielkie białe oko. Fred Brinkley odwzajemnia mu się wyzywającym spojrzeniem.

Nagle pada na niego czyjś cień i Fred słyszy dziecięcy głos:

- Proszę pana, czy zrobi nam pan zdjęcie? Fred kręci głową.

- Nie, nie, nie. - Narasta w nim złość, która zaczyna kipieć jak wir w topieli. Czuje, jakby wokół jego głowy zaciskała się lina. Chce zmiażdżyć dziecko niczym natrętnego robala.

Odwraca głowę i nuci sobie w myśli Ay, ay, ay, ay, Sau-sa-lito-lindo, próbując oddalić od siebie te głosy. Kładzie dłoń na Buckym, żeby się uspokoić. Czuje go przez niebieską wiatrówkę Windbreaker, ale głosy nadal dobijają się do jego mózgu, waląc niczym młot pneumatyczny.

„Nieudacznik. Gównojad”.

Mewy drą się jak dzieciaki. Słońce przebija się przez zasnucone chmurami niebo i prześwietla go na wskroś. Oni wiedzą, co zrobił.

Pasażerowie w szortach i czapkach z daszkami stoją przy relingu, robiąc zdjęcia Angel Island, więzienia Alcatraz, mostu Golden Gate.

Obok przepływa ślizgiem żaglówka z podwójnie zrefowanym głównym żaglem, a Fred zgina się wpół. Jakaś okropna wizja wdziera się do jego mózgu. Widzi przesuwający się bom. Słyszy głośny trzask. O Boże! Żaglówka!

Ktoś musi za to zapłacić!

Czuje, jak silniki przełączają się na ciąg zwrotny, a pokład zaczyna drzeć, gdy prom przybija do nabrzeża.

Fred wstaje, przepycha się przez tłum, mija osiem białych stolików i rzędy niebieskich krzeseł. Inni podróżni przypatrują się mu ze zdziwieniem.

Wchodzi do otwartego przedziału na dziobie i widzi matkę strofującą syna - chłopca w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat, o jasnobrzązowych włosach.

- Ja przez ciebie zwariuję! - krzyczy kobieta.

Fred czuje, że lina się napręża. Ktoś musi za to zapłacić. Prawą ręką sięga do kieszeni kurtki - znajduje Bucky'ego. Kładzie palec na spuście.

Prom gwałtownie szarpie, gdy uderza o nabrzeże. Śmiejąc się, pasażerowie łapią się nawzajem i podtrzymują. Kolejki ludzi przypominające węże szykują się do wypełnienia na ład, dziobem i rufą.

Fred wpatruje się w kobietę strofującą syna. Jest niska, ma na sobie beżowe szorty, przez cienką białą bluzkę widać zarys piersi ze sterczącymi sutkami.

- Co się z tobą dzieje?! - przekrzykuje hałas silników. - Naprawdę zaczynasz mnie wkurzać!

Bucky jest już w dłoni Freda - to smith and wesson model 10 - i pulsuje własnym życiem.

Do czaszki wdziera się głos: „Zabij ją! Zabij ją! Ona jest do niczego!”.

Bucky mierzy prosto pomiędzy jej piersi.

BANG.

Fred czuje odrzut i przeładowuje broń; widzi, jak kobieta upada do tyłu, na poręcz, słyszy jęk bólu, na białej koszuli pojawia się rozkwitający krwawy kwiat.

Dobrze!

Malec przewraca się razem z matką, patrząc na tę scenę rozwartymi oczami, lody truskawkowe wypadają mu z różka; chłopiec popuszcza z przerażenia, mocząc przód spodni.

On też zrobił coś niedobrego.

BANG.

## Rozdział 2

Oślepiająca biel żagli wypełnia mózg Freda; tryskająca krew rozlewa się po pokładzie. Godny zaufania Bucky goreje w jego dłoni. Fred lustruje pokład.

Głos w jego głowie wrzeszczy: „Uciekaj stąd! Przecież nie chciałeś tego zrobić!”.

Kątem oka widzi atakującego go potężnie zbudowanego mężczyznę, z wściekłym wyrazem twarzy, z ogniem piekielnym buchającym z oczu. Fred wyciąga ramię.

BANG.

Kolejny facet - skośnooki, o twardym spojrzeniu czarnych oczu, z zaciśniętymi wąskimi ustami - wyciąga rękę, by wyrwać mu Bucky'ego.

BANG.

Obok stoi czarna kobieta, zatrzymana w miejscu przez tłum. Odwraca się ku niemu, wpatruje się w jego twarz szeroko otwartymi oczami i... czyta w jego myślach.

- Okay, chłopie - odzywa się, wyciągając trzęsącą się rękę. - Już wystarczy. Oddaj mi broń.

Ona wie, co zrobił. Ale skąd?

BANG.

Gdy czytająca w jego myślach kobieta pada na ziemię, Fred czuje ulgę ogarniającą całe ciało. Stłoczeni na dziobie pasażerowie odsuwają się na boki, kulą się ze strachu, przesuwają w lewo, potem w prawo, gdy Fred odwraca głowę. Boją się go. Boją się.

Leżąca u jego stóp czarna kobieta w zakrwawionej dłoni trzyma telefon komórkowy. Wyraźnie słyhać jej chrapliwy oddech. Naciska guziki. Nie zrobisz tego! Fred stawia nogę na nadgarstku kobiety. Pochyla się i patrzy jej w oczy.

- Powinnaś była mnie powstrzymać! - syczy przez zaciśnięte zęby. - To było twoje zadanie! - Przyciska lufę Bucky'ego do jej skroni.

- Nieee! - błaga kobieta. - Proszę. Ktoś krzyczy.

- Mamo!

Chudy czarny dzieciak, siedemnasto - albo osiemnastolatek, zmierza w ich stronę z rurą uniesioną nad głową. Bierze nią zamach niczym kijem baseballowym.

Fred pociąga za spust, gdy nagle promem wstrząsa - BANG.

Pudło! Metalowa rura pada na ziemię, tocząc się po powierzchni pokładu, dzieciak biegnie do matki, rzuca się na kolana. Zamierza ją osłonić własnym ciałem?

Ludzie usiłują ukryć się pod ławkami, ich wrzaski otaczają go jak liżące płomienie ognia.

Do hałasu silników przyłącza się metaliczny szczepek wysuwanych trapów. Bucky kontroluje tłum, gdy Fred wychyla się przez reling.

Oblicza odległość.

Skok z półtora metra na trap, a potem dość długi sus na nabrzeże.

Fred pakuje Bucky'ego do kieszeni i łapie się obydwoma rękami za reling. Przerzuca ciało i miękko ląduje poniżej. Chmura nasuwa się na słońce, osłaniając go płaszczem niewidzialności.

Ruszaj się, żeglarzu! Biegnij!

I tak właśnie robi - jednym susem pokonuje trap, jest już na nabrzeżu i biegnie w stronę rynku warzywnego, gdzie gubi się w tłumie wypełniającym parking.

Idzie, niemalże zrelaksowany, zostało mu jeszcze tylko pół kwartału do Embarcadero.

Mruczy pod nosem, zbiegając po schodach na peron kolejki podziemnej. Mruczy także, wsiadając do pociągu, który zabierze go do domu.

Udało ci się, żeglarzu!

## **Część pierwsza**

### **Czy znacie tego człowieka?**

#### **Rozdział 3**

Nie miałam akurat służby w tę sobotę na początku listopada, ale mimo to wezwano mnie na miejsce przestępstwa. W kieszeni ofiary znaleziono moją wizytówkę.

Stałam w zaciemnionym salonie domu przy Siedemnastej Ulicy i patrzyłam na paskudnego kurdupla o nazwisku Jose Alonzo. Bez koszuli, z gołym brzuszyskiem, leżał na zapadniętej sofie bliżej nieokreślonego koloru z rękami spiętymi kajdankami na plecach. Głowa zwisała mu na piersi, po brodzie spływały łzy.

Nie czułam żadnej litości.

- Przeczytaliście mu jego prawa? - zwróciłam się do inspektora Warrena Jacobiego, mojego dawnego partnera, który był teraz moim podwładnym. Jacobi skończył właśnie pięćdziesiąt jeden lat i w swojej dwudziestopięcioletniej karierze widział więcej ofiar zabójstw niż jakiegokolwiek dziesięciu gliniarzy w ciągu całego życia.

- Tak, ja mu je odczytałem, pani porucznik. Jeszcze zanim się przyznał. - Dłonie Jacobiego nerwowo zaciskały się na nogawkach spodni. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

- Rozumiesz swoje prawa? - zapytałam Alonzo.

Skinął głową i znowu zaczął płakać.

- Nie powinienem był tego zrobić, ale ona tak mnie wkurzyła...

Do jego nogi tuliła się mała dziewczynka. We włosach miała brudną białą wstążkę, ubrana była jedynie w przesiąkniętą pieluchę zwisającą do pomarszczonych kolanek. Płacz dziecka niemal zupełnie mnie rozbroił.

- Co takiego zrobiła Rosa, że aż tak cię wkurzyła? - spytałam Alonzo.

Rosa Alonzo leżała na podłodze, jej ładna twarz zwrócona była na łuszczącą się z karmelowej farby ścianę. Miała roztrzaskaną czaszkę. Jej mąż najpierw ogłuszył ją żelazkiem, a potem zabił.

Obok, niczym powalony konik na biegunach, leżała przewrócona deska do prasowania, a w powietrzu unosił się zapach przypalonego krochmalu w aerozolu.

Ostatni raz gdy spotkałam się z Rosą, powiedziała mi, że nie może zostawić męża, bo groził, że i tak dorwie ją i zabije.

Z całego serca żałowałam, że nie uciekła z dzieckiem.

Do kuchni wszedł inspektor Richard Conklin, partner Jacobiego, najświeższy nabytek i najmłodszy członek mojego zespołu. Wsypał do miski trochę suchej karmy dla starego kota w rude prążki, który miauczał na blacie stołu z czerwonego tworzywa sztucznego. Interesująca scena.

- Nie może tu zostać zupełnie sam - rzucił Conklin przez ramię.

- Zadzwoń do schroniska dla zwierząt.

- Powiedzieli, że są zajęci, pani porucznik. - Conklin odkręcił kran i napełnił miseczkę wodą.

- Wie pani, co ona powiedziała? - odezwał się Alonzo. - „Znajdź sobie jakąś pracę”. Więc jej po prostu przywaliłem, rozumie pani?

Patrzyłam mu prosto w twarz, dopóki nie odwrócił oczu i nie wykrzyczał w stronę zwłok żony:

- Nie chciałem ci tego zrobić, Rosa! Proszę cię! Daj mi jeszcze jedną szansę!...

Jacobi złapał go za ramię i postawił na nogi.

- Taaa. Ona już ci przebaczyła, stary. Zabieram cię na przejażdżkę.

W drzwiach pojawiła się Patty Whelk z opieki społecznej.

- Cześć, Lindsay! - zawołała i przeszła nad zwłokami. - Kim jest nasza mała, płacząca księżniczka?

Wzięłam dziecko na ręce, wyplątałam z kędziorków brudną wstążkę i podałam dziewczynkę Patty.

- Anito Alonzo - powiedziałam ze smutkiem - witaj w naszym systemie opieki.

Patty i ja wymieniliśmy się porozumiewawczymi spojrzeniami. Patty posadziła dziecko na swoim biodrze i poszła do sypialni poszukać czystej pieluchy. Zostawiłam Conklina, który i tak czekał na specjalistę medycyny sądowej, i wyszłam za Jacobim i Alonzo.

Pożegnałam się z Jacobim i wsiadłam do swojego trzyletniego explorera zaparkowanego obok wystawionych na chodnik worków ze śmieciami. Ledwie zdążyłam przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy zabręczała moja komórka przy pasku spodni. Jest przecież sobota. Dajcie mi wszyscy święty spokój, pomyślałam.

Odebrałam po drugim dzwonku.

Dzwonił mój szef - komendant policji Anthony Tracchio. W jego podniesionym głosie, którym usiłował przekrzyczeć wycie syren, wyczułam niezwykle napięcie.

- Boxer, na promie Del Norte była strzelanina. Troje zabitych, dwoje rannych. Potrzebuję cię tutaj. Pronto.

## **Rozdział 4**

Próbowałam wyobrazić sobie, co takiego, do licha, wyciągnęło w sobotę głównego komendanta policji z jego komfortowego domu w Oakland. Moje złe przeczucia nasiliły się, gdy dostrzegłam z pół tuzina biało-czarnych radiowozów zaparkowanych przed wejściem na przystań i kolejne dwa na chodniku, po obu stronach budynku portowego.

- Tędy, pani porucznik! - zawołał mundurowy i wskazał ręką na południowy dojazd do nabrzeża.

Przejechałam obok policyjnych wozów patrolowych, ambulansów i wozów straży pożarnej parkujących przed terminalem promowym. Otworzyłam drzwi i wyszłam z samochodu w piętnastostopniową mgiełkę. Dwudziestowęzłowa bryza znad zatoki kołysała promem Del Norte zacumowanym do przystani.

Działania policji przyciągnęły tłumy ciekawskich, którzy w liczbie niemalże tysiąca przybyli na miejsce zdarzenia z budynku portowego i ze znajdującego się nieopodal rynku

warzywnego. Gapie robili zdjęcia, zaczepiali policjantów i pytali, co się stało. Zupełnie jakby wyczuwali w powietrzu proch i krew.

Pochyliłam się i przeszłam pod policyjną taśmą odgradzającą dok, odpowiadając skinieniem głowy na powitanie gliniarzy, których znałam. Spojrzałam w górę i usłyszałam, jak Tracchio woła mnie po nazwisku.

Szef policji miał na sobie skórzaną bluzę i spodnie Dockers. Kiedy ujrzałam jego fryzurę, domyśliłam się, że niedawno odwiedził salon fryzjerski Vitalisa. Ruchem ręki zaprosił mnie na pokład.

Ruszyłam w stronę szefa, ale zanim zdążyłam pokonać po trapie półtorametrową różnicę poziomów, musiałam się wycofać i przepuścić dwóch sanitariuszy pchających nosze na kółkach.

Rzuciłam okiem na ofiarę, grubą Afroamerykankę. Jej twarz była prawie całkowicie ukryta pod maską tlenową, a do ramienia podłączono kroplówkę. Prześcieradło owijające ciało kobiety było przesiąknięte krwią.

Poczułam ból w piersiach, a moje serce stanęło na pełną sekundę, bo tyle czasu potrzebował mój mózg, aby zrozumieć to, co właśnie do niego dotarło.

Ofiarą postrzału była Claire Washburn!

Moja najlepsza przyjaciółka została postrzelona na promie!

Złapałam za nosze i zatrzymałam je. Popychająca wózek sanitariuszka o miedzianym odcieniu blond włosów warknęła na mnie:

- Z drogi, psze pani!

- Jestem z policji - odpowiedziałam, odchylając marynarkę i pokazując odznakę.

- Nawet gdyby pani była Bogiem, to i tak zabieramy ją do szpitala.

Z przejęcia otworzyłam usta, a serce waliło mi jak oszalałe.

- Claire! - krzyknęłam, starając się nadażyć za noszami, gdy te zsuwały się z trapu na asfalt. - Claire, to ja, Lindsay. Słyszysz mnie?

Zero odpowiedzi.

- W jakim jest stanie? - zapytałam sanitariuszkę.

- Nie rozumie pani, że musimy zabrać ją do szpitala?

- Odpowiedz mi, do ciężkiej cholery!

- A skąd mam to, do licha, wiedzieć?

Stałam bez ruchu, gdy sanitariusze otwierali ambulans.

Od telefonu Tracchia minęło ponad dziesięć minut. Claire leżała na pokładzie promu przez cały ten czas, tracąc krew i z trudem oddychając po strzale oddanym w jej pierś.

Gdy ścisnęłam jej dłoń, do moich oczu momentalnie nabiegły łzy.

Clarie odwróciła twarz w moją stronę.

- Linds - szepnęła. Odsunęłam maskę z jej twarzy. - Gdzie jest Willie? - zapytała.

Wtedy sobie przypomniałam - najmłodszy syn Claire, Willie, pracował w weekendy na promie. To pewnie dlatego Claire znalazła się na Del Norte.

- Rozdzieliliśmy się - sapnęła Claire. - On chyba pobiegł za napastnikiem.

## Rozdział 5

Oczy Claire zaszyły mgłą i straciła przytomność. Sanitariusze zablokowali nosze w prowadnicach, nogi wózka złożyły się i moja przyjaciółka zniknęła za drzwiami ambulansu. Powietrze rozdarły syreny i karetka zanurzyła się w ruchu ulicznym, zmierzając w stronę Szpitala Miejskiego San Francisco.

Czas grał na naszą niekorzyść.

Zabójca zniknął, a Willie ruszył za nim w pościg.

Na ramieniu poczułam rękę Traccia.

- Mamy rysopis sprawcy...

- Muszę odnaleźć syna Claire - odparłam. Zostawiłam go i ruszyłam w stronę rynku warzywnego.

Z trudem przeciskając się przez tłum, przyglądałam się mijanym twarzom. Przypominało to przedzieranie się przez stado krów.

Zajrzałam na każdy zakichany stragan z warzywami i spenetrowałam przejścia między nimi - ale to Willie odnalazł mnie, przepychając się w moją stronę i wołając mnie po imieniu.

- Lindsay! Lindsay!

Przód jego T-shirtu był przesiąknięty krwią. Dyszał ze zmęczenia, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

Złapałam go za ramiona i łzy znowu pociekły mi po policzkach.

- Willie, jesteś ranny?

- Nie, to nie jest moja krew. Mama została postrzelona. Przyciągnęłam go do siebie i mocno objęłam, czując, że uchodzi ze mnie część strachu. Przynajmniej Williemu nic się nie stało.

- Mama jest w drodze do szpitala - odpowiedziałam. Chciałam dodać, że nic jej nie będzie, ale nie mogłam. - Widziałeś zabójcę? Jak wygląda?



- To chuderlawy białas - odpowiedział Willie, gdy przeciskaliśmy się przez tłum. - Brunet, długie włosy i bródka. Cały czas patrzył w ziemię. W ogóle nie widziałem jego oczu.

- Ile mógł mieć lat?

- Chyba trochę mniej niż ty.

- Czyli trzydzieści kilka?

- Tak. Był ode mnie wyższy. Mógł mieć z metr osiemdziesiąt pięć. Miał spodnie bojówki i niebieską wiatrówkę Windbreaker. Lindsay, słyszałem, jak mówił do mojej mamy, że to ona powinna go powstrzymać. I że był to jej obowiązek. Co to mogło znaczyć?

Claire jest głównym ekspertem medycyny sądowej miasta San Francisco. Jest patologiem, a nie policjantką.

- Uważasz, że to coś osobistego? Że właśnie dlatego zaatakował twoją matkę? Znał ją skądś?

Willie pokręcił głową.

- Pomagałem przy cumowaniu promu, gdy usłyszałem krzyki. Najpierw zastrzelił kilka innych osób. Moja mama była ostatnia. Przyłożył lufę prosto do jej głowy. Złapałem za metalową rurę i chciałem rozwalić mu łeb, ale on zdążył do mnie strzelić. I potem przeskoczył przez reling. Pobiegłem za nim, ale go zgubiłem.

Dopiero wtedy wszystko do mnie dotarło. To, co zrobił Willie.

Złapałam go za ramiona.

- A jeśli nawet byś go dogonił? Pomyślałeś o tym, Willie? Ten „chuderlawy białas” miał broń! Mógł cię zabić!

W oczach Williego pojawiły się łzy i spłynęły po jego ładnej twarzy. Rozluźniłam uścisk i jeszcze raz go objęłam.

- Byłeś bardzo dzielny, Willie. Miałeś odwagę stanąć twarzą w twarz z zabójcą w obronie swojej mamy. Myślę, że uratowałeś jej życie.

## Rozdział 6

Pocałowałam Williego w policzek, gdy siedział już w radiowozie. Posterunkowy Pat Noonan odwiózł go do szpitala, a ja weszłam na pokład promu i dobiłam do Tracchia w otwartym przedziale pasażerskim na górnym pokładzie Del Norte.

To, co zobaczyłam, można było opisać tylko jednym przerażającym słowem - horror. Na pokładzie z włókna szklanego o powierzchni najwyższej czterdziestu metrów kwadratowych w kałużach krwi leżały ciała - dokładnie tam, gdzie upadły. Krwawe ślady butów rozchodziły

się we wszystkich kierunkach. Podeptana czerwona czapeczka baseballowa leżała obok zgniecionych papierowych kubeczków i serwetek po hot dogach. Obok walały się nasiąknięte krwią gazety.

Poczułam, że zaczyna ogarniać mnie rozpacz. Morderca mógł czaić się gdziekolwiek, a wszelkie dowody, jakie by nas do niego doprowadziły, zostały rozdeptane przez policjantów, pasażerów i sanitariuszy płaczących się po pokładzie.

I do tego nie mogłam przestać myśleć o Claire.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytał Tracchio. Skinęłam głową w obawie, że jeśli się odezwę, to zacznę płakać i nie będę umiała przestać.

- To jest Andrea Canello - powiedział Tracchio, wskazując na ciało kobiety w beżowych szortach i białej bluzce. - Ten młody gość tutaj - skinął na nastolatka ze sterczącą fryzurą i spalonym od słońca nosem - twierdzi, że zabójca najpierw strzelił do niej. A potem postrzelił jej syna, który ma dopiero dziewięć lat.

- Czy chłopiec przeżyje? Tracchio wzruszył ramionami.

- Stracił dużo krwi - powiedział, po czym wskazał kolejne ciało: białego, mniej więcej pięćdziesięcioletniego mężczyzny o siwych włosach, które w połowie zwisało z ławki. - To Per Conrad. Inżynier. Pracował na promie. Prawdopodobnie usłyszał strzały i próbował pomóc. A ten tutaj - machnął ręką w kierunku leżącego na środku podłogi mężczyzny azjatyckiego pochodzenia - to Lester Ng. Agent ubezpieczeniowy. Kolejny gość, który chciał zostać bohaterem. Świadkowie twierdzą, że to wszystko wydarzyło się zaledwie w ciągu dwóch lub trzech minut.

Zaczęłam sobie wyobrażać moment dokonywania zabójstw, opierając się na relacji Williego uzupełnionej o informacje od Tracchia i przyglądając się miejscu zbrodni. Próbowałam dopasować do siebie te wszystkie elementy, żeby stworzyć z nich jakąś całość.

Zastanawiałam się, czy strzelanina została zaplanowana, czy też coś sprowokowało zabójcę do działania, a jeśli tak, to co to mogło być.

- Jednemu z pasażerów wydaje się, że przed tym horrorem widział zabójcę siedzącego na uboczu i palącego papierosa - mówił Tracchio. - Tam, pod stolikiem, znaleźliśmy paczkę turkish specials.

Poszłam za Tracchiem na rufę, gdzie na biegnącej wokół niej tapicerowanej ławce siedzieli przerażeni wydarzeniami pasażerowie. Niektórzy byli ubrudzeni krwią. Inni trzymali się za ręce. Na ich twarzach malował się szok. Policjanci nadal spisywali nazwiska i telefony świadków, a także zbierali ich zeznania. Sierżant Lexi Rose zwróciła się w naszą stronę, mówiąc:

- Panie komendancie, pani porucznik, pan Jack Rooney ma dla nas dobre informacje.

Podszedł do nas starszy mężczyzna w jasnoczerwonej nylonowej kurtce. Miał okulary w grubych oprawkach i cyfrową kamerę wideo wielkości kostki mydła, wiszącą na szyi na czarnym pasku. Na jego twarzy malował się wyraz ponurej satysfakcji.

- Mam go tutaj - powiedział Rooney, wskazując na kamerę. - Nagrałem tego psychologa w czasie akcji.

## Rozdział 7

Szef ekipy techników miejsca zbrodni, Charlie Clapper, wspinał się wraz z całym zespołem po trapie i stanął na pokładzie tuż po tym, jak zwolniono wszystkich świadków wydarzenia. Charlie podszedł do nas, przywitał się z komendantem, rzucił „Cześć, Lindsay” i rozejrzał się po pokładzie. Następnie wbił ręce w kieszenie swojej okropnej tweedowej marynarki w jodełkę, wyciągnął z nich lateksowe rękawiczki i założył je.

- Niezły kociołek dań rybnych - skomentował ironicznie.

- Lepiej spróbuj coś znaleźć - odpowiedziałam, nie kryjąc zdenerwowania.

- Szalony optymista to ja! Do usług!

Stałam obok Tracchia, gdy zespół laborantów kryminalistycznych rozsypał się po pokładzie, aby na początek sfotografować ciała i rozbryzganą wszędzie krew.

Z kadłuba statku wyluskali pocisk; zabrali też rzecz, która mogła doprowadzić nas do zabójcy - w połowie opróżnione pudełko tureckich papierosów, które znaleziono pod stolikiem na rufie.

- Spadam stąd, Lindsay - powiedział Tracchio; spoglądając na swojego roleksa. - Mam spotkanie z burmistrzem.

- Chciałabym zająć się tą sprawą osobiście. Rzucił mi twarde, długie spojrzenie, nawet nie mrużąc oczu. Właśnie nacisnęłam czerwony guzik na jego konsoli kontrolnej, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Tracchio był porządnym facetem i dawał się lubić. Został komendantem, awansując ze stanowisk administracyjnych. Nigdy nie pracował jako śledczy, a to sprawiało, że wszystko widział z własnej perspektywy.

Chciał, żebym była gryziopórką i najlepiej nie wstawiała od biurka.

A ja doskonale radziłam sobie na ulicy.

Ostatnim razem, gdy powiedziałam Tracchiowi, że chcę osobiście wsadzić łapy w pracę ekipy śledczej, odparł, że jestem niewdzięcznikiem i że muszę dużo się nauczyć o

zarządzaniu procesem śledczym i odpowiedzialności za dowodzenie inspektorami. Na zakończenie dodał, że powinnam robić to, co mi przypisano, i cholernie cieszyć się z awansu na porucznika.

Teraz też nie omieszkał przypomnieć mi ostrym tonem, że jednego z moich partnerów zabito na ulicy zaledwie kilka miesięcy temu, a Jacobi i ja zostaliśmy postrzeleni w opuszczonym zaułku w Tenderloin. Miał rację. Prawie witaliśmy się z kostuchą.

Dzisiaj jednak zdał sobie sprawę, że nie może mi odmówić. Moją najlepszą przyjaciółkę postrzelono w pierś, a zabójca był na wolności.

- Będę pracowała w trzyosobowym zespole z Jacobim i Conklinem. Jako wsparcie weźmiemy McNeila i Chi. Resztę ekipy będziemy angażować, jeśli zajdzie taka konieczność.

Tracchio niechętnie skinął głową, w końcu dostałam zielone światło. Podziękowałam mu i od razu zadzwoniłam z komórki do Jacobiego. Potem zadzwoniłam do szpitala. Uprzejma pielęgniarka, która odebrała telefon, poinformowała mnie, że Claire jest jeszcze na sali operacyjnej.

Opuściłam miejsce przestępstwa z kamerą Jacka Rooneya; zamierzałam obejrzeć nagranie na komendzie. Schodząc po trapie, zauważyłam czekających już na mnie reporterów z lokalnej telewizji i z „Chronicie”. Niech to szlag, mruknęłam do siebie. Nie mogłam im odmówić, tym bardziej że każdego z nich znałam osobiście.

Obiektywy kamer skierowały się w moją stronę; mikrofony podetknięto pod moje usta.

- Pani porucznik, czy był to atak terrorystyczny?

- Kto strzelał?

- Ilu ludzi zginęło?

- Ludzie, dajcie mi chwilę!... To wszystko dopiero co się wydarzyło - odpowiedziałam, żałując, że reporterzy nie dorwali Tracchia albo kogoś innego spośród ponad czterdziestu kotłujących się na pokładzie gliniarzy, którzy z radością obejrzeliby swoje facjaty w wiadomościach o szóstej. - Nazwiska ofiar podamy po skontaktowaniu się z ich rodzinami. I znajdziemy sprawcę tej straszliwej zbrodni - zakończyłam z nadzieją i przekonaniem w głosie. - Nie uda mu się uchylić od odpowiedzialności.

## Rozdział 8

Była druga po południu, gdy witałam się z lekarzem opiekującym się Claire, Alem Sassoonem, który z jej kartą chorobową w ręce stał przy stanowisku pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii.

Sassoon był sporo po czterdziestce, miał ciemne włosy i zmarszczki od śmiechu w kącikach ust. Wyglądał na człowieka pewnego siebie i kogoś, komu z pewnością można zaufać.

- To pani prowadzi śledztwo związane z tą strzelaniną? - zapytał na powitanie.

- Tak. A poza tym Claire jest moją przyjaciółką.

- Moją też. - Uśmiechnął się. - Oto, co ustaliliśmy: kula złamała żebro i rozpruła lewe płuco, ale na szczęście nie tknęła serca ani głównych arterii. Będą bolały ją żebra i musimy ją intubować do momentu wyleczenia płuca. Jest w dobrej formie i ma dużo szczęścia. A także dobrych opiekunów wokół siebie.

Łzy, które powstrzymywałam przez cały dzień, znowu groziły powodzią, więc pochyliłam głowę i wychrypiałam:

- Chciałabym ją zobaczyć. Napastnik Claire zabił troje ludzi.

- Wkrótce się obudzi - odpowiedział lekarz. Poklepał mnie po ramieniu i otworzył przede mną drzwi do pokoju Claire.

Wezglowie łóżka Claire było podniesione, by mogła łatwiej oddychać. Do górnej wargi przymocowano jej rurkę podającą tlen, a kroplówka dostarczała sól fizjologiczną do żył. Pod szpitalną koszulą widać było obandażowaną klatkę piersiową. Przymknięte powieki Claire były napuchnięte. Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek widziała ją chorą.

Mąż Claire, Edmund, siedział w fotelu przy łóżku i zerwał się na równe nogi, gdy tylko pojawiłam się w drzwiach. Wyglądał okropnie, jego twarz była wykrzywiona ze strachu i niedowierzania. Odstawiłam torbę na zakupy, podeszłam do niego i przywitałam serdecznie, obejmując go mocno ramionami.

- Boże, Lindsay, ledwie daję sobie radę...

Mrucząc coś pod nosem, przemilczałam wszystkie wyświechtane zwroty i wyrażenia, które w takiej sytuacji i tak nie mogłyby ukoić czyjś bólu.

- Niedługo znów będzie na nogach, Eddie. Przecież wiesz, że w takich sprawach nigdy się nie mylę.

- Zastanawiam się - zaczął nieskładnie Edmund. - Nawet jeśli ciało się zagoi... Czy ty ostatecznie wyleczyłaś się psychicznie z postrzału?

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Tak naprawdę nadal budziłam się zrana zimnym potem, wiedząc, że we śnie przeżywam wydarzenia tamtej nocy na Larkin Street. Czułam uderzenia kul i pamiętałam to specyficzne poczucie bezsilności i świadomość, że za chwilę mogę umrzeć.

- A co z Williem? - zapytał retorycznie Edmund. - Dziś rano cały jego świat stanął na głowie. Pozwól, że ci pomogę... - Przytrzymał brzegi mojej torby, żebym mogła wyciągnąć z niej wielki srebrny balon z napisem Wracaj do zdrowia! Przywiązałam go do poręczy łóżka, po czym dotknęłam dłoni Claire.

- Czy coś mówiła?

- Otworzyła na chwilę oczy i zapytała „Gdzie Willie?”, więc odpowiedziałem, że jest już w domu. A ona na to, że musi wracać do pracy. I zaraz zasnęła. To było pół godziny temu.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam się z Claire przed postrzałem. To było wczoraj. Wychodząc z pracy, pomachałyśmy sobie na do widzenia na parkingu przed Budynkiem Sprawiedliwości. Takie zwykłe „pa, pa”.

- Do zobaczenia, pszczołko!

- Miłego wieczoru, motylku!

To była taka najzwyczajniejsza wymiana uprzejmości. Brałyśmy życie jako pewnik. A co by się stało, gdyby Claire dzisiaj zginęła? A co by było, gdyby umarła na naszych oczach?

## Rozdział 9

Ścisnęłam dłoń Claire, gdy tymczasem Edmund zanurzył się w fotelu i włączył pilotem telewizor umieszczony nad naszymi głowami. Przyciszył głos i zapytał:

- Widziałaś to już, Lindsay?

Spojrzałam do góry i przeczytałam ostrzeżenie przebiegające przez pasek z informacją w dole ekranu: Materiał, który Państwo za chwilę zobaczą, zawiera drastyczne sceny. Zalecana jest zgoda rodziców na oglądanie przez nieletnich.

- Widziałam to zaraz po strzelaninie, ale chętnie obejrzę jeszcze raz.

Edmund skinął głową.

- Ja też.

W telewizji wyświetlono amatorski film Jacka Rooneya nakręcony podczas wydarzeń na promie. Kolejny raz obejrzelśmy, przez co zaledwie kilka godzin temu przeszła Claire. Film Rooneya był trochę nieostry, a kamera najwyraźniej lekko drżała w jego rękach.

Najpierw nakręcono scenę z trojgiem uśmiechających się i machających do kamery turystów, potem żagłówek za promem, a później cudowne ujęcie mostu Golden Gate.

Obraz z kamery prześlizgnął się po otwartym pokładzie promu, rejestrując grupkę dzieci karmiących mewy hot dogami małego chłopca w czerwonej czapeczce baseballowej z daszkiem do tyłu, rysującego coś mazakiem na stoliku. To był Tony Canello. Obok relingu siedział tyczkowaty facet z bródką, ciągnąc się za włoski przedramienia, jakby był w jakimś transie.

Nadawany obraz zatrzymał się i realizator wiadomości rozświetlił twarz mężczyzny, otaczając ją okręgiem.

- To on! - wykrzyknął Edmund. - Czy to wariat, Lindsay? Czy może działający z premedytacją zabójca czekający na właściwy moment?

- Może jedno i drugie - odpowiedziałam, wpatrując się w kolejne ujęcie, na którym podniecony podróżą tłum uczeplił się relingu, gdy prom wchodził do doku. Nagle kamera skierowała się w lewo i obiektyw zatrzymał się na kobiecie z twarzą wykrzywioną z przerażenia, gdy chwyciła się za pierś i upadała na ziemię.

W stronę kamery odwrócił się mały chłopiec, Tony Canello. Realizator wiadomości rozmazał pikselami rysy jego twarzy.

Skrzywiłam się z bólu, widząc, jak chłopca odrzuca od zabójcy.

Obraz z kamery nagle zawirował, jakby ktoś popchnął Rooneya, po czym znowu się ustabilizował.

Przysłoniłam dłonią usta, a Edmund złapał się podłokietników fotela. Zobaczyliśmy, jak Claire wyciąga rękę w stronę zabójcy. Mimo że nie słyszeliśmy jej słów zagłuszonych krzykiem tłumu, było oczywiste, że prosi o oddanie jej broni.

- Mój Boże! Co za odwaga... - skomentowałam.

- To głupota, nie odwaga - mruknął Edmund, przeczesując nerwowo palcami szpakowate włosy.

Zabójca stał tyłem do obiektywu kamery, gdy pociągał za spust. Zobaczyliśmy jedynie odrzut jego broni. Claire chwyciła się za pierś i upadła.

Kamera skierowała się na przerażone twarze. Po chwili ujrzeliśmy zabójcę pochylającego się nad Claire. Widać było, jak nadeptuje jej na nadgarstek i wrzeszczy jej prosto w twarz.

- Co za chory sukinsyn! - wykrzyknął Edmund.

Za moimi plecami stęknęła Claire. Odwróciłam się, by sprawdzić, co się dzieje, ale nadal głęboko spała. Znowu spojrzałam na ekran telewizora. Zabójca wreszcie odwrócił się w stronę kamery i mogliśmy zobaczyć jego twarz.

Oczy miał spuszczone, broda osłaniała szczękę. Zbliżał się do filmującego, który zapewne stracił zimną krew i wyłączył kamerę.

- Zaraz po tym strzelił do Williego - wyjaśnił Edmund. I wtedy na ekranie pojawiłam się ja, z włosami rozwianymi od wcześniejszego pościgu po rynku, z plamą krwi Claire na kurtce, którą ubrudziłam się, obejmując Williego, i z szeroko otwartymi oczami, wyrażającymi głębokie przejęcie wydarzeniami.

Mówiłam: „Prosimy wszystkich o przekazywanie policji wszelkich informacji mogących prowadzić do ujęcia tego człowieka”.

Moją twarz zastąpiło stop-klatką z twarzą zabójcy. Na dole ekranu przesuwały się numery telefonów Departamentu Policji San Francisco oraz adres strony internetowej policji.

„Czy znacie tego mężczyznę?”

Edmund odwrócił się do mnie; na jego twarzy widać było ogromne napięcie.

- Macie już coś, Lindsay?

- Mamy nagranie Jacka Rooneya - odparłam, wskazując palcem telewizor. - Pokazują je non stop na różnych kanałach. Oprócz tego mamy około dwustu świadków. Znajdziemy go, Eddie, przysięgam, że go znajdziemy.

Nie dopowiedziałam tego, co miałam na końcu języka: Jeśli nie dorwiemy tego faceta, to ja nie nadaję się na glinę. Wstałam i podniosłam z podłogi torbę na zakupy.

- Nie możesz jeszcze chwilę posiedzieć? - zapytał Eddie. - Claire na pewno chciałaby cię zobaczyć.

- Wkrótce wpadnę - odparłam. - Ale teraz muszę koniecznie się z kimś spotkać.

## **Rozdział 10**

Wyszłam z pokoju Claire na czwartym piętrze i zesłam schodami na pierwsze piętro, gdzie mieścił się pediatryczny oddział intensywnej opieki medycznej. Zbierałam siły na coś, co na pewno miało być okropnym, ściskającym serce przesłuchaniem.

Myślałam o Tonym Canello, który widział, jak zabito jego matkę, zanim sam został postrzelony. Musiałam zapytać chłopca, czy już kiedyś nie spotkał zabójcy, czy mężczyzna nie powiedział czegoś, zanim nacisnął spust, oraz czy istniał jakiś powód, dla którego on i jego mama stali się celami.



Przełożyłam torbę na zakupy z prawej ręki do lewej i pokonałam ostatnie półpiętro, zdając sobie sprawę z tego, że sposób, w jaki przeprowadzę tę rozmowę, wpłynie na pamięć chłopca o tym wydarzeniu i zostanie z nim przez całe życie.

Departament policji przechowuje zapas pluszowych misiów dla dzieci, które brały udział w jakichś przykrych wydarzeniach, ale te niewielkie zabawki wydawały mi się zbyt tanie dla dziecka, które było świadkiem brutalnego zabójstwa własnej matki. Przed wizytą w szpitalu wstąpiłam zatem do sklepu Zaprojektuj Własnego Misia i kupiłam pluszaka specjalnie dla Tony'ego. Zanim ubrano go w strój piłkarza, przyszyto mu serduszko z życzeniami powrotu do zdrowia.

Otworzyłam drzwi pierwszego piętra i weszłam do pomalowanego pastelowymi kolorami holu Oddziału Pediatrycznego. Ściany przyozdobione były wesołymi rysunkami tęczy i bawiących się dzieci.

Dotarłam do dziecięcego OIOM-u i pokazałam odznakę policyjną pielęgniarce za kontuarem, która miała ponad czterdzieści lat, siwiejące włosy i wielkie brązowe oczy. Wspomniałam, że muszę porozmawiać ze świadkiem i że zajmie mi to niespełna kilka minut.

- Ma pani na myśli Tony'ego Canello? Tego małego chłopca postrzelonego na promie?

- Mam do niego tylko trzy pytania. Nie będę go dłużej męczyć.

- Niestety, pani porucznik - odparła pielęgniarka, patrząc mi prosto w oczy. - Operacja była bardzo trudna. Postrzał uszkodził wiele głównych organów ciała. Przykro jest mi to mówić, ale chłopiec zmarł dwadzieścia minut temu.

Nogi ugięły się pode mną dosłownie zawisłam na kontuarze oddzielającym mnie od pielęgniarki.

Pielęgniarka zapytała, czy może coś mi podać albo czy chciałabym porozmawiać z kimś innym. Wręczyłam jej torbę z misiem i poprosiłam, by podarowała go pierwszemu następnemu dziecku, które pojawi się na OIOM-ie.

Nie wiem, jakim cudem odnalazłam na parkingu swój samochód i ruszyłam do Budynku Sprawiedliwości.

## **Rozdział 11**

Budynek Sprawiedliwości stoi przy Bryant Street i jest szarą granitową kostką, zajmującą cały kwartał ulic. Jego obrzydliwe i posępne dziesięć kondygnacji mieści w sobie

Sąd Najwyższy, prokuraturę, południowy oddział Departamentu Policji San Francisco oraz areszt rozlokowany na najwyższym piętrze.

Biuro eksperta medycyny sądowej znajduje się w przylegającym budynku, ale można się do niego dostać tylnym wyjściem z holu głównego. Pchnęłam szklane drzwi w metalowych ramach, wyszłam na podwórze i ruszyłam łącznikiem do kostnicy. Po chwili znalazłam się w pomieszczeniach, w których przeprowadzano sekcje zwłok, i momentalnie owionęło mnie charakterystyczne lodowate powietrze. Szłam przez laboratoria, jakbym to ja tu rządziła - był to zwyczaj, którego nauczyła mnie Claire, główny ekspert medycyny sądowej.

Oczywiście to nie Claire stała na drabinie, fotografując zwłoki kobiety na stole. Był to jej zastępca, biały mężczyzna po czterdziestce, mający jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, o popielatych włosach i w czarnych okularach w rogowej oprawce.

- Dzień dobry, doktorze G.! - zawołałam, wkraczając do laboratorium.

- Niech pani uważa, gdzie pani stawia nogi, pani porucznik.

Doktor Humphrey Germaniuk rządził się tu dopiero od sześciu godzin, a już w równiutkich szeregach porozkładał wzdłuż ścian stosy swoich papierów. Czubkiem buta wyrównałam kupkę, którą niechcący potrafiłam.

Germaniuk był perfekcjonistą, żartownisiem i doskonałym ekspertem przed ławą przysięgłych. Miał wystarczające kwalifikacje, żeby zostać głównym ekspertem medycyny sądowej, i niektórzy uważali, że jeśli Claire zrezygnowałaby ze stanowiska, to on byłby najlepszym kandydatem na jej miejsce.

- Jak panu leci z Andrea Canello? - zapytałam, podchodząc do stołu operacyjnego. „Pacjentka” doktora G. leżała nago na plecach, między piersiami widoczna była rana wlotowa po kuli.

Posuwałam się coraz bliżej, by móc się jej lepiej przyjrzeć, ale doktor Germaniuk wskoczył pomiędzy mnie a ciało denatki.

- To teren prywatny, pani porucznik. Strefa wolna od działania służb policyjnych - próbował żartować, ale wyczułam, że wcale nie było mu do śmiechu. - Mam tu już podejrzenie o molestowanie dziecka, śmierć w wypadku drogowym i kobietę, której głowę rozłupano żelazkiem. Ofiarami z promu będę zajmował się przez cały dzień, a dopiero zacząłem. Jeśli ma pani jakieś pytania, to proszę pytać teraz. Jeśli nie, to proszę zostawić na moim biurku numer komórki. Zadzwoń do pani, gdy się z tym wszystkim uporam. - Co powiedziawszy, odwrócił się do mnie plecami i zaczął mierzyć ranę postrzałową Andrei Canello.

Zrobiłam krok do tyłu; w głowie kłębiły mi się kąśliwe odpowiedzi, z trudem udawało mi się utrzymać język za zębami. Nie mogłam sobie jednak pozwolić na zniechęcenie do siebie doktora G. Poza tym, niestety, miał rację. Bez Claire i tak już cierpiący na niedobory kadrowe wydział medycyny sądowej gonił w piętę. Germaniuk nawet dobrze mnie nie znał, a musiał bronić swojego biura, swojego stanowiska, praw swoich pacjentów i spójności całego śledztwa.

Musiał sam przeprowadzić sekcje zwłok wszystkich ofiar z promu.

Gdyby do sekcji ofiar wielokrotnego morderstwa przystąpił jeszcze inny patolog, to dobry obrońca procesowy mógłby próbować nastawić ich przeciwko sobie; szukałby niekonsekwencji, które podminowałyby znaczenie orzeczeń medycznych.

Oczywiście, zakładając, że znajdziemy psychola, który dokonał tej zbrodni.

Oraz zakładając, że doprowadzimy go do sali sądowej.

Dochodziła czwarta po południu. Jeśli Andrea Canello była pierwszą ofiarą z promu, którą zajął się doktor, jego całodzienna praca łatwo może zmienić się w całonocną.

Miałam dość swoich kłopotów. Czworo ludzi straciło życie.

Im więcej czasu mijało, tym bardziej było prawdopodobne, że zabójcy z promu uda się nawiać.

- Doktorze G.?

Patolog odwrócił się od swoich wykresów i zmarszczył brwi.

- Przepraszam, że tak obcesowo zaczęłam, ale morderca zabił czworo ludzi, a my nie wiemy, kim jest i gdzie go szukać.

- A nie troje? - zdziwił się Germaniuk. - Ja mam tylko trzy ofiary.

- Dziecko tej kobiety, Tony Canello, zmarło pół godziny temu w szpitalu miejskim - wyjaśniłam. - Chłopiec miał dziewięć lat. To czworo denatów, a Claire Washburn oddycha dzięki intubacji.

Fala współczucia zmyła święte oburzenie z twarzy doktora Germaniuka. Ostrość jego głosu gdzieś zniknęła.

- Jak mogę pani pomóc?

## **Rozdział 12**

Doktor Germaniuk badał ranę postrzałową Andrei Canello miękkim próbnikiem.

- Ta rana to dziura jak po przelocie pocisku raketowego K-pięć prosto przez serce. Nie dam sobie za to w tej chwili ręki uciąć, ale chyba każdy ekspert zgodzi się ze mną, że użyto broni kaliber trzydzieści osiem.

Tak właśnie podejrzewałam, oglądając nagranie, ale chciałam się upewnić. Obiektyw kamery Jacka Rooneya odjechał od Andrei Canello w momencie, gdy została postrzelona. Gdyby jeszcze żyła choć przez chwilę, gdyby знаła swojego zabójcę, mogłaby go zawołać po imieniu.

- Czy ona mogła jeszcze żyć po postrzale?

- Zero szansy - odparł Germaniuk. - Postrzelona w serce w taki sposób, umarła, zanim upadła na ziemię.

- To była potworna jatka - oświadczyłam. - Sześć strzałów, pięć bezpośrednich trafień. I to z rewolweru.

- Zatłoczony prom, pełno ludzi. Zawsze by w kogoś trafił - stwierdził rzeczowo doktor G.

Oboje podnieśliśmy głowy, gdy na tyłach laboratorium otworzyły się z łomotem stalowe drzwi i laborant wepchnął do środka nosze na kółkach, wołając od progu:

- Doktorze G., gdzie mam to odstawić?

Ciało na noszach zostało przykryte prześcieradłem i miało niespełna sto trzydzieści centymetrów. To jego „to” było dzieckiem.

- Zostaw go właśnie tam - odparł Germaniuk. - Sami się nim zajmujemy.

Lekarz i ja podeszliśmy do noszy. Germaniuk odchylił prześcieradło.

Samo patrzenie na martwe dziecko wystarczyło, by pękło mi serce. Skórę Tony'ego pokrywały sine wybroczyny, a na jego chudziutkiej klatce piersiowej widoczna była trzydziesto-centymetrowa blizna po operacji. Zwalczyłam odruch pogłaskania jego twarzy, włosów, zrobienia czegokolwiek, aby pocieszyć dziecko, które nie miało w życiu szczęścia i przypadkowo stanęło na drodze szaleńca rozsiewającego kule gdzie popadnie.

- Tak mi przykro, Tony.

- Oto moja wizytówka. - Germaniuk wygrzebał ją z kieszeni laboratoryjnego fartucha i włożył mi do ręki. - Proszę zadzwonić na moją komórkę, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała. A jeśli spotka się pani z Claire... proszę jej przekazać, że odwiedzę ją w szpitalu najszybciej, jak tylko będę mógł. Proszę jej powiedzieć, że trzymamy za nią kciuki i że jej nie zawieziemy.

## Rozdział 13

Ekipa dochodzeniowa przysunęła krzesła i zebrała się wokół mnie. Zadawali pytania i próbowali wysnuwać teorie na temat zabójcy z Del Norte, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy. Rozpoznałam numer Edmunda i nacisnęłam guziczek z zieloną słuchawką.

Głos Edmunda był zachrypnięty i łamał się, gdy mówił:

- Claire zrobiono właśnie prześwietlenie. Ma krwotok wewnętrzny.

- Eddie, nie rozumiem. Co się stało?

- Kula drasnęła wątrobę. Znowu muszą ją operować...

Tak się uspokołam, gdy doktor Sassoon z uśmiechem powiedział, że Claire ma się świetnie i że pewnie wkrótce wypisz ją do domu. A teraz zrobiło mi się słabo ze strachu.

Poczekalnia przed OIOM-em była w połowie wypełniona przyjaciółmi i rodziną Claire. Wśród nich dostrzegłam Edmunda, Williego i Reggiego Washburna - dwudziestojednoletniego syna Claire i Edmunda, który przyleciał prosto z Florydy, gdzie studiował na Uniwersytecie w Miami.

Wymieniłam się ze wszystkimi uściskami i usiadłam obok Cindy Thomas i Yuki Castellano, najlepszych przyjaciółek moich i Claire. Razem tworzyłyśmy Kobięcy Klub Zbrodni i byłyśmy jego jedynymi członkiniami. Zabijałyśmy długie godziny oczekiwania na wiadomości, przypominając sobie świetne historyjki, którymi zawsze raczyła nas Claire. Popijałyśmy fatalną kawę i pogryzałyśmy snickersy z automatu. Nad ranem Edmund poprosił, żebyśmy się wspólnie pomodlili. Chwyciliśmy się za ręce i Eddie poprosił Boga, żeby oszczędził Claire. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że jeśli będziemy przy niej czuwać i zachowamy wiarę, to ona nie umrze.

Podczas tych wyczerpujących godzin przypominałam sobie, jak sama zostałam postrzelona i jak Claire i Cindy przy mnie czuwały. Przypominałam też sobie wszystkie pozostałe chwile spędzane w takich poczekalniach jak ta. Gdy moja mama chorowała na raka. Gdy mężczyzna, którego kochałam, został postrzelony na służbie. Gdy mama Yuki miała wylew.

Oni wszyscy odeszli.

- Gdzie jest teraz ten sukinyński morderca? Pali sobie papieroska po obiedzie? Śpi w łóżku na mięciutkim posłanku, planując kolejną jatkę?

- On nie śpi w łóżku - powiedziała Yuki. - Założę się, że ten gnojek śpi w kartonie po pralce automatycznej.

Około piątej rano wyszedł do nas przejęty doktor Sassoon, by przekazać nowiny.

- Stan Claire jest stabilny. Naprawiliśmy rozdartą wątrobę i wraca jej naturalne ciśnienie krwi. Objawy czynności życiowych są prawidłowe.

Przez tłumek przeszło westchnienie ulgi i wszyscy zaczęli klaskać z radości. Edmund przytulił synów - cała trójka miała łzy w oczach.

Lekarz uśmiechnął się, a ja musiałam przyznać, że był niezłym bojownikiem za sprawę.

Szybko pojechałam do domu, by o wschodzie słońca przebiec się dookoła Potrero Hill z Martha, moim owczarkiem border collie. Gdy słońce wzniosło się nad dach mojego samochodu, zadzwoniłam do Jacobiego, by umówić się z nim i Conklinem w holu windowym Budynku Sprawiedliwości na ósmą.

Była niedziela.

Przyniosą kawę i pączki.

Uwielbiam tych facetów.

- No to do pracy - powiedziałam do siebie.

## Rozdział 14

Conklin, Jacobi i ja właśnie usiedliśmy w moim biurowym akwarium w rogu sali wydziału zabójstw, gdy do obskurnego pokoju sześć na dziewięć metrów wcisnęli się jeszcze inspektorzy Paul Chi i Cappy McNeil. Cały wydział zabójstw stanowiło dwanaście osób.

Cappy z pewnością waży jakieś sto piętnaście kilo, więc krzesło, na które się wladował, zaskrzypiało. Chi jest z kolei szczupły. Zaparkował swój chudy tyłek na niskim kredensie obok Jacobiego, którego naszedł wcale nie taki rzadki w jego przypadku atak kaszlu. Widząc, że wszystkie miejsca siedzące są zajęte, Conklin stanął za mną, tyłem do okna, które wychodziło na dojazdówkę do autostrady.

W moim biurze zrobiło się ciasno jak w piórniku pełnym kredek.

Czułam ciepło bijące z ciała Conklina, co uświadamiało mi bliskość jego doskonale proporcjonalnej sylwetki o wzroście metr osiemdziesiąt dwa. Z jego jasnobrązowymi włosami opadającymi na piwne oczy i wysportowanym wyglądem dwudziestodwuletnika przypominał mi krzyżówkę jednego z Kennedych z komandosem piechoty morskiej.

Chi przyniósł niedzielne wydanie „Chronicie” i położył je przede mną na stole. Na pierwszej stronie zamieszczono nie zbyt wyraźną fotografię zabójcy zeskanowaną z filmu Jack-Rooneya. Opatrzono ją podpisem: Czy znacie tego mężczyznę? Pochyliliśmy się nad

gazetą, by raz jeszcze przyjrzeć się dokładnie twarzy zabójcy. Jego ciemne włosy opadały aż do szczęki, a broda zakrywała wszystko od górnej war do jabłka Adama.

- Jezus Chrystus - stwierdził Cappy. Musieliśmy na niego jakoś dziwnie popatrzeć, bo natychmiast pospieszył z wyjaśnieniami: - No co? Powiedziałem tylko, że jest podobny do Jezusa Chrystusa.

- W niedzielny poranek nie dostaniemy już niczego z laboratorium, ale mamy przynajmniej to - odrzekłam i wyjęłam z mojego korytka z pocztą przychodzącą kserokopię brązowego opakowania papierosów Turkish Specials. - No i jeszcze to. - Położyłam rękę na stercie zeznań świadków, sprawozdań z rozmów telefonicznych i wydruków e-maili, ściągniętych wczoraj z witryny internetowej Departamentu Policji przez Brendę,; naszą asystentkę do spraw kontaktów zewnętrznych.

- Możemy się podzielić pracą - zaproponował Jacobi. Wszyscy zaczęli głośno dyskutować, jak się do tego zabrać i trwało to dopóty, dopóki Chi nie stwierdził autorytatywnie

- Hej! Papierosy to dobry biznes. Sklepiki sprzedające fajki tak nietypowej marki jak Turkish Specials to zapewne rodzinne interesy prowadzone przez ich właścicieli, a oni zawsze wszystko wiedzą i pamiętają, więc może skojarzą twarz zabójcy.

- Dobry pomysł - zgodziłam się. - Zajmijcie się tym. Jacobi i Conklin wzięli dwie trzecie zeznań świadków, udali się do swoich biur na sali wydziału i zawisli na telefonach; Chi i McNeil też wykonali po parę telefonów, zanim wyruszyli w miasto.

Zostałam sama w swoim biurze i przejrzałam zebrany przez Brendę materiał dotyczący ofiar. Wszyscy zabici na promi byli porządnymi obywatelami. Zadałam sobie pytanie, czy mogło istnieć jakieś powiązanie pomiędzy zabójcą a jego ofiarami. Zaczęłam wykręcać numery telefonów do świadków wydarzeń, ale przez pierwsze kilka rozmów nie wpadło mi w ucho nic takiego, co poderwałoby mnie z fotela. Zadzwoiłam też do strażaka, który stał zaledwie trzy metry od Andrei Canello, gdy zabójca zaczął strzelać.

- Ona krzyczała na swoje dziecko, a ten facet po prostu podszedł i pociągnął za spust - zeznał strażak. - Chciałem jej powiedzieć, żeby nie przesadzała, ale po chwili już nie żyła.

- A słyszał pan, co takiego mówiła do dziecka?

- „Chyba zwariuję przez ciebie” albo coś w tym stylu. Aż ciężko o tym myśleć... Czy chłopiec przeżył?

- Niestety, umarł.

Sporządzałam notatki z rozmów, próbując poskładać kawałki tej układanki w całość. Wysączyłam ostatni łyżeczek kawy i wybrałam numer do następnej osoby z mojej listy.

Świadek nazywał się Quintana i zadzwonił na policję wczoraj późnym popołudniem, mówiąc, że przyjaźnił się z zabójcą jakieś piętnaście lat temu.

- Wygląda mi na tego samego faceta. Jeśli to on, to byliśmy razem w Szpitalu Stanowym w Napa pod koniec lat osiemdziesiątych.

Przycisnęłam mocniej słuchawkę do ucha, nie chcąc uronić ani sylaby.

- Rozumie pani? - ciągnął Quintana. - Siedzieliśmy razem w wariatkowie.

## Rozdział 15

Obok numeru telefonicznego Quintany narysowałam gwiazdkę.

- Jak nazywał się pana przyjaciel? - zapytałam, przyciskając słuchawkę do ucha. Ale Quintana nagle zaczął kręcić.

- Nie powiem, bo przecież może się okazać, że to nie on - I oświadczył. - Mam jego zdjęcie. Może pani teraz przyjechać i je obejrzeć. Przez resztę dnia będę bardzo zajęty.

- Niech pan, broń Boże, nie wychodzi z domu! Już jadę! Wysłałam na salę śledczych i rzuciłam:

- Mamy trop! Musimy sprawdzić adres przy San Carlos Street.

- Ja jeszcze muszę posłuchać nad telefonem. Na naszą stronę internetową świadkowie przesłali e-mailem nowe nagrania wideo - powiedział Conklin.

Jacobi wstał i włożył marynarkę.

- Ja prowadzę, Boxer.

Znam Jacobiego od dziesięciu lat; byłam jego partnerką, zanim dostałam awans na porucznika. Gdy pracowaliśmy w zespole, nawiązała się między nami głęboka przyjaźń, wsparta jakimś niemalże telepatycznym porozumieniem. Jednak żadne z nas nie zdawało sobie sprawy z więzi między nami, aż do nocy, gdy obydwójce zostaliśmy postrzeleni przez nawalonych koka nastolatków. Otarcie się o śmierć zbliżyło nas jeszcze bardziej.

Teraz on siądzie za kierownicą i pojedziemy do jakiegoś paskudnego miejsca na peryferiach Tenderloin.

Sprawdziliśmy adres, który dał mi Ike Quintana. Był to jednopiętrowy budynek, w którym na parterze od frontu mieścił się jakiś kościół, a na piętrze było kilka mieszkań.

Nacisnęłam dzwonek, zabrzączała elektryczna zapadka zamka i pociągnęłam za wytartą metalową gałkę do drzwi. Weszliśmy do niewielkiego ciemnego holu i po trzeszczących schodach dostaliśmy się na cuchnący stęchlizną korytarz, który wyłożono wykładziną.



Zapukałam do mieszkania 2R i po chwili skrzypnęły otwierane drzwi.

Ike Quintana był białym mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat. Czarne włosy sterczały mu we wszystkie strony, a jego ubiór składał się z wielu dziwnych warstw. Spod flanelowej koszuli wystawała koszulka z wycięciem w serek. Na koszuli miał kamizelkę z dzianiny zapiętą na wszystkie guziki, a całość okrywał rudy kardigan wiszący aż do bioder. Stroju dopełniały spodnie od pizamy w biało-niebieskie pasy i brązowe półbuty. Za to na jego twarzy widoczny był nawet dosyć przyjemny, gapciowaty uśmiech. Wyciągnął rękę, potrząsnął naszymi na powitanie i zaprosił nas do środka.

Jacobi szedł pierwszy, a ja kroczyłam za nim sięgającym sufitu tunelem o ścianach zbudowanych z chwiejących się stosów gazet i przezroczystych worków na śmieci wypełnionych butelkami z wodą mineralną. W salonie walały się kartonowe pudła z drobnymi monetami, puste kartonowe opakowania po proszkach do prania i stopy długopisów.

- Chyba jest pan przygotowany na wszystko - mruknął Jacobi.

- O to właśnie chodzi - oświadczył Quintana. Gdy dotarliśmy do kuchni, zobaczyłam garnki i patelnie porozstawiane na każdym wolnym skrawku miejsca; stół wyłożony był warstwami wycinków z gazet i obrusów, które osiągnęły łączną grubość około trzydziestu centymetrów.

- Jestem kibicem drużyny Giants, odkąd tylko pamiętam oświadczył nieśmiało Quintana, tłumacząc się z tych gazet na stole. Zaproponował nam kawę, ale grzecznie odmówiliśmy. Quintana i tak wstawił na gaz czajnik z wodą.

- Ma pan to zdjęcie, które chciał pan nam pokazać? zapytałam.

Quintana podniósł z podłogi starą drewnianą skrzyneczkę na środki czystości i postawił na „zaścielony” stół. Następnie zaczął grzebać palcami między stosami fotografii, kart dań z restauracji i całego zbioru „pamiątek”, których nawet nie potrafiłabym nazwać.

- Znalazłem - oświadczył, wyciągając zdjęcie formatu dziewięć na trzynaście centymetrów. - Jest chyba z osiemdziesiątego ósmego.

Fotografia przedstawiała pięcioro nastolatków - dwie dziewczyny i trzech chłopców - oglądających telewizję na sali, która rzeczywiście wyglądała tak, jakby znajdowała się w jakimś szpitalu psychiatrycznym.

- To ja. - Quintana wskazał na swoją młodszą wersję rozwaloną w pomarańczowym fotelu. Nawet wtedy ubierał się w wiele warstw odzieży. - Widzicie tego gościa siedzącego pod oknem?

Intensywnie wpatrywałam się w fotografię. Chłopiec był szczupły, miał długie włosy i usiłował zapuścić bródkę. Jego twarz była ujęta z profilu. To mógł być zabójca, ale niekoniecznie.

- Widzicie, jak skubie włosy na ramieniu? - odezwał się Quintana.

Skinęłam głową.

- Właśnie dlatego pomyślałem, że to mógł być on. Robił to godzinami. Uwielbiałem tego gościa. Nazywałem go Fred-a-lito-lindo. To z piosenki, którą sobie podśpiewywał.

- A jak się naprawdę nazywa? - zapytałam.

- Był w strasznej depresji - ciągnął Quintana. - Dlatego właśnie znalazł się w Napa. Został tam skierowany z przymusu, przeżył jakiś wypadek. Jego siostra zginęła, chyba na żaglówce.

Quintana wyłączył gaz i odszedł na bok. Dręczyło mnie pytanie, jaki to cud sprawiał, że ten budynek do tej pory się nie spalił.

- Panie Quintana, niech pan nas nie zmusza, żebyśmy pana powtórnie o to samo prosili, okay? - odezwał się Jacobi ostrzejszym głosem. - Jak nazywa się ten mężczyzna?

Quintana wrócił do stołu z wyszczerbionym kubkiem do kawy, niosąc go z miną hrabiego na swoich włosciach.

- Nazywa się Alfred Brinkley. Ale naprawdę nie rozumiem, jak mógł zabić tylu ludzi. Fred jest najsympatyczniejszym człowiekiem na świecie...

## Rozdział 16

W drodze powrotnej na Bryant Street zadzwoniłam do Richa Conklina, podałam mu nazwisko domniemanego sprawcy i poprosiłam, by sprawdził je w bazie danych Krajowego Rejestru Przestępstw.

Chi i McNeil czekali na nas w MacBain's Beers On the World Pub, przyjemnej knajpce wciśniętej pomiędzy dwa biura poręczycieli za kaucją, po przeciwnej stronie ulicy, gdzie stał Budynek Sprawiedliwości. Gdy do nich dobiliśmy, zamówiłam beczkowego fostera i poprosiłam Chi i McNeila o złożenie raportu.

- Przesłuchaliśmy faceta ze sklepiku Smoke Shop on Polk w Vallejo - zaczął Chi, przechodząc od razu do sedna sprawy. - Ten stary buc, który jest jego właścicielem, mówi, że ma stałego klienta, który raz na miesiąc kupuje dwie paczki Turkish Specials. Zdejmuje z półki karton z papierosami i pokazuje, że dwóch pudełek nie ma już w sztrandze...

Wszedł Conklin, usiadł, zamówił piwo Dos Equis i niewysmażonego hamburgera. Wyglądał, jakby cały czas się nad czymś zastanawiał.

- Więc mój partner zaczyna się podniecać tym kartonem papierosów... - wtrącił Cappy.

- I kto tu jest głupolem? - odezwał się Chi.

- Do sedna, dobra? - burknął Jacobi.

Na stole wylądowało piwo. Jacobi, Conklin i ja podnieśliśmy szklanki, salutując nimi w stronę wiszącego na ścianie portretu Dona MacBaina - właściciela lokalu, nieugiętego gliniarza i emerytowanego kapitana policji San Francisco.

Chi opowiadał dalej.

- Więc ten piernik, właściciel sklepiku, mówi, że tym klientem jest stary Grek, który ma osiemdziesiąt kilka lat, i nagle rzuca: „Chwilka, pokażcie jeszcze raz to zdjęcie”.

- Więc podsuwam mu pod nochal zdjęcie zabójcy - Cappy kontynuował przerwane opowiadanie Chi. - „To ten facet?”, pyta staruch. „Ten gość bywał tu codziennie ranno i kupował gazetę. To on strzelał?”.

Jacobi znowu przywołał kelnerkę.

- Syd, ja też chcę średnio wysmażonego burgera, z frytkami.

Chi starał się go zagłuszyć.

- Więc ten piernik ze sklepiku z tytoniem mówi, że nie zna nazwiska podejrzanego, ale twierdzi, że mieszkał kiedyś po drugiej stronie ulicy pod numerem tysiąc pięćset trzynastym.

- Więc idziemy tam... - wtrącił Cappy.

- Proszę, skończcie albo oszczędźcie sobie wstydu - odezwał się Jacobi. Oparty łokciami o stół przecierał rękami oczy, czekając ze zniecierpliwieniem na koniec ich fascynującej relacji.

- Mamy jego nazwisko - streścił się Cappy. - Administrator kamienicy potwierdził, że podejrzany tam mieszkał. Dodał, że dostał nakaz eksmisji dwa miesiące temu, zaraz po tym, jak stracił pracę.

- Prosimy o werble: tam-tara-ram - wtrącił Chi. - Zabójca nazywa się Alfred Brinkley.

Przykro mi było patrzeć na rozczarowanie malujące się na twarzach McNeila i Chi, gdy im przerywałam.

- Dzięki, Paul. Wiemy już, kto to jest. Dowiedzieliście się, gdzie wcześniej pracował?

- Jasne. W tej księgarni... jak tam się nazywała... Sam's Book Emporium przy Mason Street.

- Richie, uśmiechasz się jak kot z Cheshire. Co masz? - zwróciłam się do Conklina.

Conklin siedział rozparty na krześle, bujając się na tylnych nogach i najwyraźniej bawiąc się słuchaniem tej przekomarzanki. Opuścił przednie nogi krzesła na podłogę i pochylił się nad stołem.

- Brinkley nie figuruje w rejestrze. Ale... przez dwa lata służył w wojsku, w bazie Presidio. Został zwolniony z powodów zdrowotnych w dziewięćdziesiątym czwartym.

- Dostał się do wojska po pobycie w domu wariatów? - zapytał z niedowierzaniem Jacobi.

- W szpitalu w Napa praktycznie był jeszcze dzieckiem - wyjaśnił Conklin. - Jego dokumentacja medyczna została zarchiwizowana i wymazana z oficjalnych rejestrów. Poza tym wojskowe biura rekrutacyjne za bardzo wtedy nie wybrzydzały...

Zamazany obraz zabójcy z fotografii na promie zaczął się nam wszystkim wyostrzać. Moja konstatacja była przerażająca, ale dawała odpowiedź na pytanie dręczące mnie od czasu strzelaniny na promie aż do teraz.

Brinkley celnie strzelał, bo otrzymał staranne przeszkolenie wojskowe.

## **Rozdział 17**

O dziewiątej rano następnego dnia Jacobi, Conklin i ja zaparkowaliśmy nasze nieoznakowane radiowozy przy Mason Street, niedaleko North Point. Byliśmy zaledwie dwie przecznice od Fisherman's Wharf - turystycznego kurortu wypełnionego wielkimi hotelami, restauracjami, wypożyczalnią rowerów, sklepami z upominkami i chodnikami zastawionymi stolikami, na których obwoźni handlarze oferowali markowe produkty po znacznie niższej cenie.

Czułam podniecenie, gdy wchodziliśmy do chłodnej sali wielkiej księgarni. Jacobi pokazał legitymację policyjną stojącej przy drzwiach ekspedientce i zapytał, czy zna Alfreda Brinkleya. Dziewczyna zadzwoniła do kierownika piętra, który poprowadził nas do windy, i zjechaliśmy do piwnicy, gdzie zostaliśmy przedstawieni kierownikowi magazynu, Edisonowi Jonesowi - trzydziestoletniemu mężczyźnie o dość ciemnej karnacji, w koszulce z zespołem Duran Duran na piersiach i ćwiekiem w nosie.

Rozejrzeliśmy się - betonowe ściany z półkami o regulowanych wysokościach, brama z blachy falistej wiodąca do rampy wyładowniczej i pełno facetów rozwożących książki wózkami po całym magazynie.

- Kolegowałem się z Fredem - przyznał Jones. - Nie do tego stopnia, żeby gdzieś tam bywać po pracy, ale po prostu i był to dość bystry facet i lubiłem go. Jednak w pewnym momencie zaczęło się z nim dziać coś dziwnego. - Jones przyciszył telewizor stojący na metalowym blacie biurka zawalonego fakturami i artykułami biurowymi.

- Dziwnego? W jakim sensie? - zapytał Conklin.

- Czasem rzucał do mnie coś takiego: „Słyszałeś, co Wolf Blitzer właśnie do mnie powiedział?”. Zupełnie jakby facet z telewizora gadał do niego! I stał się taki dziwnie niespokojny, ciągle coś mruzczał pod nosem, podśpiewywał. Trudno było złapać z nim kontakt. - Jones przeciągnął ręką po koszulce. - Gdy zaczął opuszczać swoje zmiany, kierownictwo miało wreszcie powód, żeby wyłączyć go z roboty. Przechowałem jego książki - zakończył Jones. Ściągnął z półki karton i postawił go na stole.

Otworzyłam zakładki pudła i zobaczyłam poważną literaturę: Junga, Nietzschego i Wilhelma Reicha. Znalazłam I też zacytowaną książkę Juliana Jaynesa w zniszczonej papierowej okładce: Początki świadomości ludzkiej w załamaniu I dwuczęściowego mózgu.

Wyjęłam ją z pudła.

- Nigdy się z nią nie rozstawał - oświadczył Jones. - Aż dziwne, że po nią nie przyszedł.

- O czym jest?

- Fred opowiadała, że książka przedstawia teorię Jaynesa, I według której do trzech tysięcy lat temu półkule ludzkiego mózgu nie miały między sobą połączenia.

- I jaki z tego miałyby być wnioski? - dopytywał się i Jacobi.

- Zdaniem psychologa Jaynesa w tamtych czasach ludzie wierzyli, że ich własne myśli pochodzą z zewnątrz, że są i poleceniami od bogów.

- Zatem Brinkley... niby co? - zastanawiał się Jacobi. - Słuchał głosów telewizyjnych bogów? - ja sądzę, że on cały czas słyszał jakieś głosy. I że one mówiły mu, co ma robić.

Słowa Jonesa zmroziły mnie do szpiku kości. Od strzelaniny na promie minęło już ponad czterdzieści osiem godzin. Pakowaliśmy się w kolejne ślepe zaułki, a Brinkley stał na wolności. I wsłuchiwał się w głosy z zewnątrz. I miał śmiertelnie ostrą broń.

- Czy przypadkiem pan wie, gdzie jest teraz Brinkley? - zapytałam.

- Widziałem go przed barem miesiąc temu. Wyglądał jak szmaciarz. Zapuścił dłuższą brodę. Zażartował, że wraca na łono natury, ale jego twarz miała jakiś dziwny wyraz. W ogóle nie patrzył mi w oczy.

- Gdzie to było?

- Przed Double Shot Bar przy Geary. Fred nie pije, więc może mieszka w hoteliku nad barem.

Znałam to miejsce. Hotel Barbary był jednym z kilkunastu „turystycznych hosteli” w Tenderloin, wynajmowanych na godziny przez prostytutki, zamieszkiwanych przez narkomanów i ludzi staczających się na dno. Miejsce zaledwie ciut lepsze od rynsztoku.

Jeśli Fred Brinkley był w Hotelu Barbary miesiąc temu, to równie dobrze może tam mieszkać jeszcze teraz.

## Rozdział 18

Pogodynka zapowiadała deszcz, ale mimo to słońce stało wysoko nad horyzontem i świeciło otoczone mgiełką rozgrzanego powietrza. Fred Brinkley ruszył w stronę ciemnego przejścia podziemnego i zbiegł po schodach stacji Civic Center - miejskiej kolei dojazdowej BART. Przychodził tu często, gdy jeszcze miał pracę.

Spuścił oczy i uważnie stawiał stopy na znanej mu, wyłożonej białymi kaflami podłodze okolonej paskami z czarnego granitu. Szedł po antresoli, nie spoglądając nawet na korporacyjnych niewolników kupujących bilety, kwiaty i wodę w butelkach na drogę. Nie chciał przejąć żadnych myśli z ich ptasich mózdków, nie chciał widzieć ich wścibskich spojrzeń.

Zjechał ruchomymi schodami do tunelu, ale zamiast się uspokoić, zauważył, że im głębiej zjeżdża, tym bardziej staje się pobudzony i zły.

Znowu docierały do niego te głosy i ubliżały mu.

Jeszcze bardziej pochylił głowę i patrzył w dół. Podśpiewując sobie pod nosem Ay, ay, ay, BART-a-lito-lindo, próbował zagłuszyć te głosy, wyłączyć je.

Gdy tylko zszedł z ruchomych schodów na trzeci poziom podziemia, zrozumiał swój błąd. Peron zapchany był pacholkami wracającymi po pracy do domu. Przypominali chmury burzowe - w tych swoich ciemnych płaszczach, ze świdrującego wzrokiem; sunęli w jego stronę i otaczali go, zamykając w pułapce.

Obrazy na ekranach telewizorów, które widział przez szybę wystawową sklepu z elektroniką, stały Fredowi przed oczami: widok siebie samego zabijającego ludzi na promie.

Jednak to zrobił!

Przeciskał się przez tłum, pomrukując i podśpiewując sobie pod nosem, aż dotarł do krawędzi peronu. Stał na jednej płytce podłogowej, podkurczając palce, by nie nadeptać na

linię łączenia. Wokół siebie nadal czuł nienawiść i potępienie. Rosła w nim też jego własna wściekłość. Białe kafelki na ścianach zaczęły pulsować i falować. Katem oka Fred widział, że ludzie odwracali się w jego stronę i czytali w jego myślach.

Chciał wykrzyknąć: „Musiałem to zrobić! Uważajcie, bo możecie być następni!”.

Spoglądał na tory kolejowe, bez ruchu, nie patrząc na nikogo. Trzymał ręce w kieszeniach, prawa ścisnęła Bucky'ego.

„Oni już wiedzą! - zawołały głosy unisono. - Oni poznali się na tobie!”.

- Hej! - krzyknął ktoś za jego plecami. Brinkley odwrócił się i zobaczył kobietę ze szpiczastą brodą i małymi czarnymi oczami. Wskazywała na niego palcem. - To on! On był wtedy na promie! On tam był! To morderca z promu! Niech ktoś zadzwoni na policję!

Wszyscy dowiedzieli się, co zrobił.

„Gównojad. Nieudacznik”.

Ay, ay, ay, ayyy.

Fred wyciągnął Bucky'ego z kieszeni i pomachał nim w powietrzu, ponad tłumem. Ludzie wokół niego zaczęli wrzeszczeć i uciekać.

Nagle tunel zawył.

Srebrno-niebieskie wagony wpadły na peron jak pociski. Ich hałas zagłuszył wszelkie inne dźwięki i myśli.

Pociąg zatrzymał się, a masa ludzi wylała się z wagonów na peron jak szczury. Wsiadający wlewali się do wagonów, miotając Fredem niczym przyływy i odpływy morza, wciskając go w filar.

Aż tracił oddech.

Oswobodził się wreszcie i rozpychając się rękami w tłumie, dotarł do ruchomych schodów. Długimi susami wspinał się po nich, mijając ludzkie gryzonie, aż w końcu wy dostał się na ulicę, na powietrze.

Głos w jego głowie krzyczał: „Uciekaj! Zabieraj stąd swój tyłek!”.

## **Rozdział 19**

Cyfrowy zegar na kuchence mikrofalowej wskazywał dziewiętnastą osiem. Byłam wypompowana fizycznie i wycieńczona psychicznie po całodziennym przeczesywaniu dzielnicy Tenderloin. I udało nam się jedynie stworzyć listę miejsc, w których Alfred Brinkley nie mieszka. To nie była zwykła frustracja. Czułam, jak ogarnia mnie panika, bo tymczasem gdzieś tam włóczył się Fred Brinkley.

Wrzuciłam gotowe danie z makaronu z serem do mikrofalówki i nastawiłam na pięć minut. W czasie gdy mój obiad się podgrzewał, analizowałam dzisiejsze działania, starając się odkryć coś, co mogliśmy przeoczyć podczas wycieczki krajoznawczej po sześciu obleśnych hotelikach, rozmowach z recepcjonistami i spotkaniach z mieszkańcami tych przybytków.

O moje nogi otarła się Martha; podrapałam ją za uszami i wsypałam psie żarcie do jej miski. Pochyliła głowę nad jedzeniem, machając długowłosym ogonem.

- Dobra z ciebie psina - szepnęłam. - Jesteś światłem mojego życia.

Otworzyłam właśnie butelkę piwa, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. A któż to może być?

Dotoczyłam się do okna, by sprawdzić, kto miał czelność naciskać mój dzwonek - nie znałam jednak mężczyzny spoglądającego na mnie z chodnika.

Był gładko ogolony, stał nieco w cieniu i trzymał w ręce kopertę.

- Czym mogę służyć? - zawołałam.

- Mam coś dla pani porucznik. To pilne. Muszę to pani dostarczyć osobiście.

Kim był ten facet? Posłannikiem sądowym? Prognostą z wyścigów konnych? Za moimi plecami zaczęła pikać mikrofalówka, powiadamiając mnie, że obiad jest gotowy.

- Proszę zostawić przesyłkę w skrzynce na listy - za wołałam.

- Mógłbym tak zrobić, ale zapytała pani w telewizji: „Czy znacie tego mężczyznę?”.

Pamięta pani?

- A pan go zna?

- Ja nim jestem. To ja to zrobiłem.

## Rozdział 20

W jednej chwili poczułam totalny zamęt w głowie. Zabójca z promu stał pod moimi drzwiami? Wzięłam się w garść.

- Już schodzę! - krzyknęłam z góry.

Złapałam broń z kabury wiszącej na krześle i włożyłam kajdanki za pasek. Gdy zbiegałam po schodach, zadzwoniłam do Jacobiego z komórki, doskonale wiedząc, że i tak nie będę czekała, aż przyjedzie.

Równie dobrze mogłabym wychodzić przed pluton egzekucyjny, ale jeśli ten człowiek na dole był Alfredem Brinkleyem, nie mogłam pozwolić na to, by uciekł.

Trzymając glocka w dłoni, uchyliłam nieco frontowe drzwi, używając ich jako tarczy.

- Podnieś ręce, tak bym mogła je widzieć! - krzyknęłam.



Mężczyzna wyglądał na kogoś kompletnie niezrównoważonego psychicznie. Wydawało się, że się waha, robi krok do tyłu na ulicę, po czym znowu do przodu w stronę drzwi. Jego oczy latały we wszystkie strony. Usłyszałam, że podśpiewuje pod nosem.

Boże, to wariat - i do tego niebezpieczny! Gdzie ma broń?

- Ręce do góry! Nie ruszaj się! - krzyknęłam ponownie. Mężczyzna znieruchomiał. Podniósł ręce, łopocząc koperta jakby była to biała flaga.

Przyglądałam się jego twarzy, próbując połączyć to, co widziałam przed sobą, ze stworzonym przeze mnie mentalnym obrazem zabójcy. Facet, na którego patrzyłam, ogolił się, ale kiepsko mu to wyszło. Na jego bladej cerze tu i ówdzie widoczne były ciemniejsze kępki włosów.

Reszta pasowała. To był on. Wysoki, szczupły, miał na sobie ubranie podobne do tego lub wręcz identyczne z tym, które noszone było przez zabójcę około sześćdziesięciu godzin wcześniej.

Czy to naprawdę Alfred Brinkley? Czy brutalny morderca tak po prostu zadzwonił do moich drzwi, by się poddać? Czy może był to jakiś inny wariat szukający sławy?

Wysłałam na zacieniony chodnik, trzymając w obu dłoniach glocka wycelowanego w jego klatkę piersiową. Uderzyła mnie woń niemytego ciała.

- To ja - przyznał jeszcze raz, patrząc w dół, na swoje buty. - Powiedziała pani, że będzie mnie pani szukać. Widziałem panią w telewizji. W sklepie z telewizorami.

- Na ziemię! - warknęłam. - Twarzą w dół, ręce na karku!

Zakołysał się na nogach.

- Na ziemię! Już! Mężczyzna rozciągnął się na chodniku i splótł dłonie na karku.

Przyciskając lufę do jego głowy, drugą ręką przeszukiwałam go, sprawdzając, czy ma broń. Przed oczami przewijały mi się obrazy z filmu nagranych na promie przez Rooneya.

Z kieszeni kurtki wyciągnęłam rewolwer i wsunęłam go za pasek spodni. Nie miał innej broni.

Schowałam glocka do kabury i wyszarpnęłam kajdanki zza paska.

- Jak się nazywasz? - zapytałam, ściągając jego kościste ramiona na plecy, by skuć mu nadgarstki. Podniosłam kopertę z chodnika i wcisnęłam ją do kieszeni.

- Fred Brinkley - odpowiedział drżącym głosem. - Zna mnie pani. Powiedziała pani, że bym przyszedł, pamięta pani? Znajdziemy sprawcę tej straszliwej zbrodni". Wszystko sobie zapisałam.

Obrazy nagrane kamerą Rooneya wirowały mi w głowie. Widziałam, jak ten facet strzela do pięciorga ludzi. Widziałam, jak strzela do Claire.

Trzęsącymi się rękami wyciągnęłam jego portfel z kieszeni na biodrach, otworzyłam i w słabym świetle lampy stojącej po drugiej stronie ulicy zobaczyłam prawo jazdy.

To rzeczywiście był Alfred Brinkley.

Miałam go.

Poinformowałam Brinkleya o jego prawach, a on, zupełnie jakby nic do niego nie dotarło, jeszcze raz przyznał się do winy.

- Ja to zrobiłem. Ja jestem zabójcą z promu.

- Jak mnie znalazłeś?

- Pani adres jest w Internecie. Proszę mnie zamknąć, okay? Boję się, że mógłby to zrobić jeszcze raz.

Samochód Jacobiego zatrzymał się z piskiem opon, a on sam wyskoczył z siedzenia kierowcy z bronią gotową do strzału.

- Nie mogłaś na mnie zaczekać, Boxer?

- Pan Brinkley sam się poddał, Jacobi. Wszystko jest pod kontrolą.

Widząc Jacobiego i wiedząc, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, poczułam ogromną ulgę. Chciało mi się na przemian śmiać się i płakać, i krzyczeć „u-huuu”.

- Dobra robota - przyznał Jacobi. Poczułam jego dłoń na ramieniu. Powoli wciągałam powietrze w płuca, starając się uspokoić, gdy podnosiliśmy Brinkleya z ziemi i pakowaliśmy na tylne siedzenie samochodu Jacobiego.

- Dziękuję, pani porucznik - odezwał się do mnie Brinkley w samochodzie. Jego szalone oczy nadal błędziły dookoła, a twarz skrzywiła się, gdy wybuchnął płaczem. - Wiedziałem, że mi pani pomoże.

## **Rozdział 21**

Jacobi wszedł za mną do mojego biura. Nasze nerwy były tak napięte, że moglibyśmy na nich grać jak na gitarze. Czekając na zakończenie procedur związanych z aresztowaniem Brinkleya, padliśmy na krzesła przy biurku, piliśmy kawę i rozmawialiśmy o tym, czym będziemy zajmować się dalej.

Brinkley przyznał się, że jest zabójcą z promu, i nie chciał adwokata. Jego pisemne przyznanie się do winy było jakimś rozwlekłym elaboratem, opisującym białe światło, szczerowatych ludzi i rewolwer o imieniu „Bucky”.

Musieliśmy zdobyć przyznanie się do winy Brinkleya na taśmie, by udowodnić, że choć ogólnie może być psychicznie osłabiony, to w momencie składania zeznań jest w pełni poczytalny.

Po telefonicznym poinformowaniu Tracchia o wynikach naszego działania zadzwoniłam też do Cindy, która była nie tylko moją przyjaciółką, ale też czołowym reporterem sekcji kryminalnej gazety „Chronicie”. Przekazałam jej najświeższe wieści o aresztowaniu Brinkleya. Potem pokręciłam się trochę po sali wydziału zabójstw, co rusz spoglądając na wskazówki zegara w oczekiwaniu na Tracchia.

Do dwudziestej pierwszej piętnaście wypełniono odpowiednie papiery i obfotografowano Alfreda Brinkleya. Jego ubranie zamieniono na więzienny kombinezon, żeby można było przeprowadzić badanie odzieży pod kątem śladów krwi i prochu strzelniczego.

Poprosiłam aresztanta, by pozwolił sobie pobrać krew do analizy, i wyjaśniłam, dlaczego to robię.

- Chcę się upewnić, że podczas składania zeznań nie jesteś pod wpływem alkoholu albo narkotyków.

- Jestem czysty - wyznał Brinkley, podwijając rękaw. Teraz Brinkley czekał na nas w pokoju przesłuchań numer dwa, gdzie była kamera wideo.

Weszłam z Jacobim do pokoju wyłożonego szarymi płytkami, przystawiliśmy sobie krzesła do metalowego stołu i usiedliśmy naprzeciwko mordercy.

Zadrżałam, gdy spjrzałam na jego bladą i brudną twarz.

Dobrze pamiętałam, co powiedział.

„Ja jestem tym, który to zrobił”.

## **Rozdział 22**

Brinkley zachowywał się nerwowo. Jego nogi drżały niespokojnie. Skute kajdankami ręce skrzyżował w taki sposób, by skubać włoski na przedramieniu.

- Panie Brinkley, czy zdaje pan sobie sprawę, że ma pan prawo zachować milczenie? - zapytałam. Gdy ponownie odczytałam mu jego prawa, kiwał ze zrozumieniem głową. Powiedział „Tak”, gdy jeszcze raz zapytałam, czy rozumie swoje prawa.

Położyłam przed nim na stole formularz zrzeczenia się prawa do nieskładania zeznań, który podpisał. Usłyszałam szuranie nóg krzesła dochodzące z pokoju obserwacyjnego za szybą i ciche mruczenie kamery wideo nad głową. Rozpoczęło się przesłuchanie.

- Czy wie pan, jaki jest dzisiaj dzień tygodnia?

- Poniedziałek.

- Gdzie pan mieszka?

- Na stacjach kolejki BART. W sklepach komputerowych. Czasem w bibliotece.

- Czy wie pan, gdzie się w tej chwili znajduje?

- W Budyńku Sprawiedliwości przy Bryant Street.

- Bardzo dobrze, panie Brinkley. Czy płynął pan promem Del Norte w niedzielę, czyli przedwczoraj?

- Tak. To był ładny dzień. Znalazłem bilet, gdy chodziłem po rynku warzywnym. To chyba nie jest przestępstwo, że wykorzystałem znaleziony bilet, prawda?

- Czy komuś go pan zabrał?

- Nie, znalazłem na ziemi.

- Mniejsza o to - wtrącił się Jacobi. Brinkley już się uspokoił i wyglądał znacznie młodziej, niż wskazywałyby na to jego wiek. Zaczęło mnie to nawet irytować, że był taki wręcz dziecinny, na pozór zupełnie nieszkodliwy. Jakby to on sam stał się ofiarą przestępstwa. Zastanawiałam się, jakie wrażenie wywrze na sędziach przysięgłych. Czy uznają, że zasługuje na sympatię?

Czy mógłby otrzymać uniewinnienie tylko dlatego, że jest sympatyczny, a do tego ostro szajbnięty? To nie do pomyślenia!

- A w drodze powrotnej, panie Brinkley... - zaczęłam.

- Proszę mówić do mnie Fred.

- Okay, Fred. Gdy Del Norte wchodził do doku w San Francisco, czy wyciągnąłeś broń i strzelałeś do pasażerów?

- Musiałem to zrobić - odpowiedział łamiącym się głosem, spinając się w sobie. - Ta matka była... Zrobiłem potworną rzecz. Wiem o tym i chcę zostać ukarany.

- Czy strzelałeś do ludzi? - ponowiłam pytanie.

- Tak, strzelałem! Strzeliłem do matki i jej syna. I jeszcze do dwóch mężczyzn. I tej innej kobiety, która widziała, co dzieje się w mojej głowie. Bardzo mi przykro. Bardzo dobrze się bawiłem, dopóki wszystko się nie rozwaliło.

- Ale planowałeś użycie broni, tak? - zapytałam, kontrolując ton swojego głosu, a nawet zachęcając go do odpowiedzi lekkim uśmiechem.

- Zawsze mam przy sobie Bucky'ego - odparł Brinkley. - Lecz ja nie chciałem zrobić tym ludziom krzywdy. Nawet ich nie znałem. Nawet nie wiedziałem, że oni istnieją naprawdę, dopóki nie zobaczyłem tego nagrania w telewizji.

- No proszę. Więc dlaczego do nich strzelałeś? - zapytał Jacobi.

Brinkley wpatrywał się w lustro weneckie za moją głową.

- Głosy kazały mi tak zrobić.

Czy to była prawda? Czy Brinkley tylko udawał niepoczytalność, stosując ten wybieg jako linię obrony?

Jacobi zapytał go, jakie to były głosy, ale Brinkley nagle zamilkł. Opuścił głowę i zaczął mruzczyć pod nosem.

- Chcę, żebyście mnie zamknęli. Zrobicie to? Naprawdę chce mi się spać.

- Jestem pewna, że znajdziemy dla ciebie jakąś pustą celę na dziewiątym piętrze.

Zapukałam w drzwi. Do pokoju przesłuchań wszedł sierżant Steve Hall i stanął za aresztantem.

- Panie Brinkley - odezwałam się na koniec, gdy wstaliśmy - oskarżamy pana o zamordowanie czterech osób, usiłowanie zabójstwa jednej osoby i czternaście pomniejszych przestępstw. Radzę wziąć dobrego adwokata.

- Dziękuję pani - odparł Brinkley, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy. - Jest pani honorową osobą. Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła.

## Rozdział 23

Następnego dnia rano pod moimi drzwiami leżała gazeta z wydrukowanym wielkimi literami tytułem artykułu Cindy: Zabójca z promu w suchym doku.

Gdy pojawiłam się przed Budynkiem Sprawiedliwości, czekała już tam na mnie grupa reporterów.

- Jak się pani czuje, pani porucznik?

- Fantastycznie - odparłam, szczerząc zęby w uśmiechu. - To wspaniała chwila.

Odpowiedziałam na ich pytania, pochwaliłam swój zespół i uśmiechnęłam się do fotoreporterów. Po wywiadzie złapałam windę i wjechałam na drugie piętro.

Gdy wchodziłam na salę wydziału zabójstw, Brenda uderzyła w mały dzwonek, który zawsze trzymała pod ręką, wstała i uściskała mnie. Z daleka dostrzegłam kwiaty na moim biurku. Zebrałam wszystkich i podziękowałam im za udział w śledztwie, a gdy inspektor Lemke zapytał, czy mogłabym przeprowadzić szkolenie, w jaki sposób przywoływać do siebie morderców, wszyscy wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

- Ja w tym celu nieźle dopracowałem ruszanie nozdrzami - dodał Lemke - ale na razie nie dało to żadnych rezultatów.

- No widzisz. A to trzeba jednocześnie poruszać nozdrzami, skrzyżować ramiona na piersiach i mrugać oczami! - krzyknął Rodriguez.

Właśnie nalewałam sobie kawę w wydziałowej kuchence, zamierzając zanurzyć się w stercie papierów zalegających na moim biurku, gdy Brenda wsadziła głowę w drzwi i poinformowała mnie, że szef chce ze mną rozmawiać i czeka na pierwszej linii.

Poszłam do swojego biurka i zestawiałam na ziemię wielki kosz kwiatów. Rzuciłam okiem na karteczkę wystającą spomiędzy róż. Było tam wiele „X” oznaczających całuski i „O” oznaczających uściski. Kwiaty dostałam od mojego wspaniałego mężczyzny - Joego.

Naciskając mrugający guzik na aparacie telefonicznym, nie przestawałam się uśmiechać. Komendant miłym głosem zaprosił mnie do siebie na górę.

- Wezmę cały zespół - odparłam, ale on szybko dodał:

- Nie, przyjdź sama.

Poinformowałam Brendę, że wrócę za kilka minut, i ruszyłam schodami na czwarte piętro, do obitego panelami z drewna orzechowego gabinetu Tracchia.

Gdy wchodziłam, szef wstał i wyciągnął przez biurko swoją mięsistą rękę. Potrząsając moją dłońią, powiedział:

- Boxer, aresztowanie tego świra sprawiło, że był to udany dzień dla całego Departamentu Policji San Francisco. Jeszcze raz chcę ci podziękować za wspaniałą pracę.

- Dziękuję, panie komendancie. I dziękuję za wsparcie. - Zbierałam się do wyjścia, gdy wtem dostrzegłam pewne skrepowanie na jego twarzy; patrzył na mnie w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

Ruchem ręki wskazał mi krzesło i sam też usiadł. Pojeździł przez chwilę krzesłem biurowym do tyłu i do przodu po plastikowej macie chroniącej wykładzinę dywanową, po czym zatrzymał się i splótł dłonie na brzuchu.

- Lindsay, długo biłem się z myślami, ale ostatecznie podjąłem pewną decyzję.

Czyżby chciał mi przydzielić dodatkowych ludzi? A może dostanę większy budżet?

- Obserwowałem cię, jak pracowałaś nad tą sprawą, i jestem pod wrażeniem, ile nieustępliwości i determinacji wkładasz w śledztwo.

- Dzięki...

- I muszę przyznać, że to ty miałaś rację, a ja się myliłem. O co mu chodzi?

Mój mózg starał się wyprzedzić jego słowa, próbując na pół sekundy wcześniej przewidzieć przyszłość, ale przegrał.

- Jest dokładnie tak, jak powiedziałaś - ciągnął Tracenie - Świetnie sprawdzasz się na ulicy, a nie wtedy, kiedy jesteś uwiązana do biurka. Dopiero teraz to zrozumiałem. Po prostu praca administracyjna to marnowanie twojego talentu.

Wpatrywałam się w szefa, gdy kładł przede mną na biurku odznakę policyjną.

- Gratuluję, Boxer. Uczciwie sobie zapracowałaś na degradację do stopnia sierżanta.

## Rozdział 24

Zemdliło mnie z zaskoczenia.

Słyszałam jego słowa, ale wydawało mi się, że jego biurko nagle wystrzeliło przez ścianę i szef mówi do mnie gdzieś z autostrady.

- Możesz nadal raportować bezpośrednio do mnie i oczywiście zachowasz obecny poziom uposażenia...

W mojej głowie rozległ się krzyk: „Cooo?! Degradacja?! Degradujesz mnie? Dzisiaj?”.

Musiałam się czegoś przytrzymać; wyciągnęłam rękę i złapałam za krawędź biurka. Dostrzegłam, że Tracchio rozparł się w fotelu, a wyraz jego twarzy dał mi do zrozumienia, że był kompletnie zaskoczony moją reakcją, tak jak ja jego oświadczeniem.

- O co chodzi, Boxer? Czy nie tego właśnie chciałaś? Marudziłaś mi od miesiący...

- Nie, to znaczy... tak. Marudziłam, ale nie spodziewałam się, że...

- Daj spokój, Boxer. O czym ty mówisz? To ja tyle się namęczyłem, żeby to jakoś formalnie załatwić, bo powiedziałaś, że tego właśnie chcesz...

Otworzyłam usta, ale z powrotem je zamknęłam.

- Daj mi trochę czasu na ochłonięcie, okay, Tony? - wykrztusiłam.

- Poddaję się - odparł Tracchio, podnosząc zszywacz i waląc nim w blat biurka. - Nie rozumiem cię. I nigdy nie zrozumiem. Po prostu się poddaję, Boxer!

Nie pamiętam nawet, kiedy wyszłam z biura komendanta, ale pamiętam, jak szłam do schodów i z przyklejonym uśmiechem dziękowałam mijanym ludziom za składane mi wyrazy uznania.

Mój mózg miał krótkie spięcie.

Co ja, do licha, myślałam?

I czego w ogóle chciałam?

Dotarłam do klatki schodowej i oparłam się ciężko o poręcz. Schodząc do wydziału zabójstw, spotkałam Jacobiego, wspinającego się po schodach w przeciwnym kierunku.

- Warren, nie uwierzysz w to, co ci powiem...

- Wyjdźmy na zewnątrz - odpowiedział.

Zeszliśmy schodami na parter, wyszliśmy na ulicę i ruszyliśmy w stronę giełdy kwiatowej.

- Tracchio zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem - zaczął Jacobi. Nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, ale na jego twarzy malowało się zakłopotanie, którym bardzo się przejęłam. - Zaproponował mi twoje stanowisko, Lindsay. Powiedziałem mu, że nie przyjmę awansu, dopóki ty się nie zgodzisz.

Drżenie chodnika pod nogami pochodziło z kolejki podziemnej, ale mnie się wydawało, że to trzęsienie ziemi.

Wiedziałam, co powinnam była powiedzieć w takiej sytuacji: „Gratulacje. To świetny wybór. Doskonale się sprawdzisz na tym stanowisku, Jacobi”.

Ale te słowa nie mogły mi przejść przez gardło.

- Muszę to wszystko przemyśleć, Jacobi. Biorę dzień wolnego.

Oczywiście, Lindsay. Nie będę pchał się na to stanowisko, jeśli-

Może nawet dwa dni.

- Lindsay, stój! Porozmawiajmy! Nie zatrzymałam się.

Przeszłam na drugą stronę ulicy. Wsiadłam do samochodu i ruszyłam wzdłuż Bryant Street w stronę Szóstej Ulicy, a później skręciłam w drogę numer 280 na południe, w stronę Potrero Hill.

Wyszarpnęłam telefon komórkowy z pochewki przy pasku i zadzwoniłam do Joego. Wcisnęłam pedał gazu i wjechałam na lewy pas.

W Waszyngtonie była pierwsza po południu.

- Joe, odbierz telefon!

W słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka, więc zostawiłam wiadomość: „Proszę, zadzwoń do mnie”. Drugi telefon wykonałam do szpitala. Poprosiłam centralę o połączenie z Claire.

## Rozdział 25

Miałam nadzieję, że usłyszę głos Claire, ale słuchawkę podniósł Edmund. Jego głos brzmiał tak, jakby kolejną noc spędził w fotelu.

- Jak ona się czuje? - zapytałam łamiącym się głosem.

- Robią jej kolejną tomografię komputerową.



- Przekaż Claire, że dorwaliśmy zabójcę. Przyznał się do winy i jest za kratkami.

Powiedziałam Edmundowi, że zadzwonię później, żeby dowiedzieć się co z Claire, i ponownie wykręciłam numer do Joego. Tym razem nagrałam się na sekretarce automatycznej w biurze, po czym zadzwoniłam do jego domu.

Tam też go nie było, więc zostawiłam kolejną nagraną wiadomość.

Zahamowałam na czerwonym przy Osiemnastej Ulicy i czekając na zmianę świateł, niecierpliwie bębniłam palcami po kierownicy. Gdy zmieniły się na zielone, ostro nacisnęłam na gaz.

Przypomniałam sobie obraz z przeszłości - dzień, w którym zostałam awansowana na porucznika dzięki temu, że ujęłam psychotycznego zabójcę pary młodej, który z pewnością zarobił sobie na wpis do rejestru „Najbardziej Zdeprawowanych Kry minalistów”. Wtedy uważałam swój awans za posunięcie polityczne. Do tej pory żadna kobieta nie była jeszcze na takim stanowisku. Wspięłam się na drabinę, zabłysłam w świetle spotów, nie wiedząc nawet, czy władza i odpowiedzialność związane z tą pracą w ogóle były tym, czego pragnęłam. Teraz chyba nadal tego nie wiem.

Sama go przecież prosiłam, by pozwolił mi choć trochę pracować na mieście, nic zatem dziwnego, że Tracchio nie zrozumiał mojej reakcji. Cholera jasna! Przecież nawet ja jej nie rozumiałam!

Czasem jednak człowiek nie zdaje sobie z czegoś sprawy, dopóki nie przeżyje tego osobiście.

To niby-raportowanie bezpośrednio do Tracchia to gówno prawda.

Tracę stopień.

Czy dam sobie radę z przyjmowaniem rozkazów od Jacobiego?

„Powiedziałem mu, że nie przyjmę awansu, dopóki ty się nie zgodzisz”. Musiałam porozmawiać z Joem.

Podniosłam telefon z siedzenia pasażera, gdzie go zostawiłam, i nacisnęłam guzik wybierania ostatniego numeru. Głos Joego na sekretarce automatycznej przypomni mi tyle wspaniałych chwil, które razem przeżyliśmy: podróże jak z bajki, nasze zbliżenia, drobnostki, które w nim uwielbiałam - delektowałam się każdą spędzoną z nim godziną, bo nigdy nie wiedziałam, kiedy znowu się spotkamy.

Mogłabym dać wszystko, by dzisiejszego wieczoru znaleźć się w jego ramionach, by otulił mnie swoją miłością, bym Poczula jego zdolność widzenia mnie taką, jaka jestem naprawdę. Wystarczyłby tylko jego dotyk, aby wszystkie moje problemy gdzieś się

rozmyły...Rozłączyłam się bez pozostawiania nagrania. Zadzwoiłam jeszcze raz pod jego pozostałe dwa numery - to samo.

Zjechałam z drogi i zaparkowałam, zaciągnęłam hamulec ręczny i siedziałam jak głupek, wpatrując się w pustą przestrzeń i marząc o tym, by móc spotkać się z Joem.

Hej, ale przecież to nic straconego!

## Rozdział 26

W poczekalni terminalu nie wyglądałam jak zwykła kura domowa. Wokół mnie byli sami mężczyźni ubrani w szare garnitury i niebieskie albo czerwone krawaty. Ja miałam na sobie nowy jasnożółty sweter z kaszmiru z wycięciem w serek, obcisłe džinsy i tweedową marynarkę ściągniętą w talii. Moje włosy lśniły jak złoto. Mężczyźni taksowali mnie wzrokiem, co dawało mojemu ego niezłego kopa.

Gdy czekałam na wezwanie na pokład, przeleciałam przez listę kontrolną w mózgu: zorganizowałam opiekę dla Marthy, zamknęłam broń i odznakę w szufladzie bieliźniarki, telefon komórkowy zostawiłam w samochodzie. W rzeczywistości to, że nie zabrałam komórki, było przeoczeniem, ale nie potrzebowałam żadnego psychoterapeuty, aby sama przed sobą przyznać, co w ten sposób dawałam do zrozumienia Mojemu Stanowisku: że mam je gdzieś.

Nie zabrałam żadnego bagażu, wzięłam tylko najbardziej niezbędne rzeczy: szminkę i bilet w obie strony w biznes-klasie na lotnisko Reagana, który Joe wręczył mi razem ze swoimi kluczami i liścikiem z zaproszeniem:

*To Twoja przepustka do „Joego”. Jest ważna bezterminowo. Całusy i uściski, Joe.*

Wsiadając do samolotu, pomyślałam, że jestem nieco narwana. Wyjeżdżałam z miasta, nie rozwiązawszy poważnego konfliktu, a do tego miałam lekką nerwową trzęsionkę. Do tej pory to Joe składał mi niezapowiedziane wizyty, a ja nigdy nie wpadałam do niego bez wcześniejszej zapowiedzi.

Lampka szampana przed lotem pozwoliła mi odrobinę ochłonać, a kiedy samolot wystartował, odchyliłam oparcie fotela i zasnęłam, budząc się dopiero wtedy, gdy pilot poinformował o podchodzeniu do lądowania w Waszyngtonie.

Po opuszczeniu hali przylotów podałam taksówkarzowi adres Joego w północno-zachodniej części Dyskryktu Kolumbii.

Pół godziny później taksówka zatrzymała się przy pięknych roślinach ozdobnych i fontannach luksusowego apartamentowca. Po chwili stałam w wyłożonym grubą wykładziną

dywanową korytarzu najwyższego piętra w budynku i naciskałam guzik dzwonka apartamentu Joego.

No i jestem.

Nie otwierał, więc zadzwoniłam jeszcze raz. Wtedy otworzyłam dolny zamek jednym kluczem, drugim odsunęłam język zapadki i nacisnęłam klamkę.

- Joe?! - zawołałam i weszłam do oświetlonego holu. Zawołałam jeszcze raz, gdy skierowałam się do kuchni.

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest Joe.

Dlaczego nie odpowiada na moje telefony?

Kuchnia otwierała się na wielką przestrzeń, która była zarazem jadalnią i salonem. Wyłożone mozaiką z drewna drzew liściastych podłogi błyszcząły w świetle promieni wpadających przez okna na drugim końcu salonu, gdzie znajdował się taras. Spojrzałam na pięknie wykończone i tapicerowane meble z ciemnego drewna. Były idealnie rozlokowane.

Drugie spojrzenie było jak uderzenie obuchem w serce. Na sofie siedziała kobieta zwrócona twarzą w stronę okien. Czytała zasopismo i słuchała muzyki z iPoda. Byłam w zbyt dużym szoku, żeby wykonać jakikolwiek ruch. Albo wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa.

## Rozdział 27

Serce waliło mi jak zwariowane, a obszar mojego widzenia zawężił się do kobiety na sofie oraz kanapki i kubka z herbatą obok na stoliku. Była boso, miała na sobie czarny podkoszulek i spodnie dresowe, a blond włosy uwiązała w kok z tyłu głowy.

Krew chyba całkowicie mi odpłynęła z ciała, czułam jedynie lekkie mrowienie w koniuszkach palców. Czyżby Joe prowadził drugie życie, podczas gdy ja byłam w San Francisco, czekając na jego telefon i odwiedziny? Twarz poczerwieniała mi ze złości, ale też ze wstydu. Nie wiedziałam, czy mam wrzeszczeć, czy uciekać.

Jak Joe mógł mnie tak oszukiwać?

Kobieta na sofie musiała dostrzec moje odbicie w szybie, bo zakryła twarz dłońmi i krzyknęła. Ja też zaczęłam krzyczeć.

- Kim pani jest?

- A kim pani jest?! - odparowała; jej włosy rozsypały się wokół twarzy, gdy zrywała z uszu słuchawki iPoda.

- Jestem przyjaciółką Joego - odparłam. Czułam się, jakbym stała tam całkiem naga; żałowałam, że nie mam przy sobie odznaki, którą mogłabym jej pokazać... jakiegokolwiek odznaki. Och, Joe. Co ty mi zrobiłeś?

- Jestem Milda - odpowiedziała kobieta, zeskakując z sofy. - Ja tu pracuję. Sprzątam mieszkanie pana Molinariego...

Roześmiałam się, ale nie dlatego, że to było śmieszne, tylko z szoku.

Wyciągnęła z kieszeni czek, żeby mi go pokazać.

Ale ja prawie na nią nie patrzyłam. Obrazy z kilku ostatnich dni tańczyły mi przed oczami. I teraz obecność tej młodej kobiety pozbawiła mnie całkowicie kontroli nad emocjami.

- Skończyłam wcześniej sprzątać i pomyślałam sobie, że odpocznę kilka minut - wyjaśniała, myjąc jednocześnie kubek i talerzyk, z których korzystała. - Proszę mu o tym nie mówić, dobrze?

Skinęłam tępo głową.

- Nie powiem.

- Muszę już iść - oświadczyła, zakręcając kran. - Idę odebrać syna. Nie mogę się spóźnić. Do widzenia.

Skinęła mi głową na pożegnanie.

Poszłam do łazienki, otworzyłam szafkę z przyborami toaletowymi i zaczęłam przeglądać pudełka i buteleczki w poszukiwaniu lakieru do paznokci, tamponów i pudru.

Niczego nie znalazłam, więc zajrzałam do sypialni - wielkiego pokoju z widokiem na podwórze. Otworzyłam garderobę Joego i szukałam w niej kobiecych ubrań na wieszakach, butów na podłodze. Przeszukałam wszystko. Żadnych spódnic, żadnych bluzek. Jak ja się, do licha, zachowuję?

Przecież dobrze znam Joego, tak?

Ruszyłam w stronę łóżka i już miałam zacząć grzebać w pościeli, gdy na nocnym stoliku dostrzegłam fotografię. Byliśmy na niej ja i Joe sześć miesięcy temu w Sausalito. Obejmował mnie ramieniem, a wiatr rozwiewał mu włosy. Wyglądaliśmy jak zakochani. Zasłoniłam oczy.

Było mi tak wstyd. Łzy pociekły mi na policzki. Stałam w sypialni Joego i płakałam.

A potem wyszłam i wróciłam do Kalifornii.

## Część druga

## Brązowooka dziewczyna.

### Rozdział 28

Madison Tyler skakała na jednej nodze po płytach chodnikowych, uważając, by nie nadepnąć na spoinę. Przerwała zabawę, pobiegła do opiekunki i złapała ją za rękę. Szły w kierunku parku Alta Plaža.

- Słyszałaś, co mówię, Paola? - zapytała dziewczynka. Paola Ricci ścisnęła malutką dłoń Madison. Wypowiedzi szybko rozwijających się pięciolatek były dla niej niekiedy prawie niezrozumiałe.

- Oczywiście, że słyszałam, kochanie.

- Jak już mówiłam - tłumaczyła w zabawnie dorosły sposób dziewczynka - gdy gram Bagatelle Beethovena, to pierwsze nuty się pną i wyglądają jak jakaś niebieska drabina...

Wyśpiewała te nutki.

- W następnych taktach, gdy gram c-d-c, nuty są różowo-zielono-różowe! - wykrzyknęła radośnie.

- Wyobrażasz sobie kolory tych nut?

- Nie, Paola - odpowiedziała dziewczynka z komiczną powagą. - Te nuty mają takie kolory. A ty nie widzisz kolorów, gdy śpiewasz?

- Nie, nie widzę - odrzekła Paola. - Chyba jestem ciamajdą - westchnęła. - Ciamajdowatą nianią.

- Nie wiem, co znaczy słowo „ciamajdowata”, ale śmiesznie brzmi. - Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, a jej brązowe oczy rozbliły feerią iskierek.

Obie wybuchnęły głośnym śmiechem; Madison objęła Paolę w talii i wtuliła twarz w jej płaszcz. Minęły prywatną szkołę Waldorf School, mieszczącą się zaledwie przecnicę od miejsca, gdzie mieszkała Madison z rodzicami.

- W sobotę to nawet nie muszę patrzeć w stronę szkoły - wyszeptała dziewczynka do opiekunki.

Zbliżały się do parku; widać już było kamienny mur otaczający zieleń i plac zabaw. Madison bardzo się cieszyła i zmieniła temat rozmowy.

- Mama mówi, że jak będę trochę starsza, to dostanę rudego lakeland teriera - wyznała, gdy dochodziły do Divisadero. - Będzie się wabił Wolfgang.

- Czy to nie za poważne imię dla takiego małego pieska? - zapytała Paola, trochę spięta przy przechodzeniu przez ruchliwą ulicę. Nawet nie spojrzała na czarnego minivana

zaparkowanego przy kamiennym murze. Drogie czarne minivany są równie pospolite, jak kruki na wzgórzach Pacific Heights.

Paola trzymała rękę dziewczynki, gdy ta wskakiwała z asfaltu na krawężnik. Nagle drzwi czarnego minivana otworzyły się i ktoś zaczął się do nich zbliżać szybkim krokiem. Opiekunka przystanąła.

- Paola, kto to jest? - zapytała dziewczynka.

- O co chodzi?! - krzyknęła Paola do mężczyzny, który wyszedł z minivana.

- Kłopoty w domu. Musicie obydwie z nami jechać. Madison, twoja mama spadła ze schodów.

Madison wysunęła się zza pleców opiekunki.

- Tata powiedział mi, żebym nigdy nie wsiadała z obcymi do samochodu! - krzyknęła.

- A pan jest obcy, bo pana nie znam!

Mężczyzna podniósł dziecko niczym woreczek karmy dla ptaków i podczas gdy dziewczynka krzyczała: „Pomocy! Zostaw mnie!”, wrzucił ją na tylne siedzenie minivana.

- Wsiadaj - zwrócił się do Paoli, kierując lufę rewolweru w jej pierś. - Albo wsiadasz, albo możesz pożegnać się z dzieckiem.

## Rozdział 29

Rich Conklin i ja wróciliśmy właśnie na komendę po ponurym poranku spędzonym na dochodzeniu w sprawie brutalnych strzałów oddanych z przejeżdżającego samochodu, gdy Jacobi machnął na nas ręką, zapraszając do swojego biura.

Przeszliśmy przez całą salę po szarym linoleum do jego przeszklonego biura i usiedliśmy. Conklin przycupnął na rogu niskiego kredensu, gdzie niegdyś siadywał Jacobi, ja zaś zajęłam krzesło obok biurka Jacobiego, obserwując go, jak mości się wygodnie w fotelu, który kiedyś był mój.

Cały czas próbowałam przyzwyczaić się do tej nieoczekiwanej zmiany miejsc. Rzuciłam okiem na bałagan, który Jacobi zrobił tu w niecałe dwa tygodnie po przejęciu stanowiska: na podłodze i na parapecie walały się w stosach gazety, a z kosza śmierdziało jakimiś resztkami jedzenia.

- Jesteś prosiakiem, Jacobi - stwierdziłam. - Mam na myśli chlew, jaki tu zrobiłeś.

Jacobi się roześmiał - co było u niego rzadkością, chociaż ostatnio robił to o wiele częściej niż kiedyś. I mimo zdruzgotania mojego ego cieszyłam się, że nie musiał już wspinać się z sapaniem na wzgórze San Francisco. Był świetnym gliniarzem i doskonale radził sobie z

rzeczami, których inni nie potrafili tknąć, a ja usilnie pracowałam nad sobą, żeby móc znowu go uwielbiać.

- Mamy uprowadzenie - rzucił krótko.

- I teraz my mamy się tym zająć? - zdziwił się Conklin.

- Wydział śledczy zajmował się tą sprawą przez kilka godzin, ale pojawił się świadek i wygląda na to, że mogło dojść do zabójstwa - wyjaśnił Jacobi. - Będziemy koordynować postępowanie z porucznikiem Macklinem.

Byłam zaskoczona, kiedy usłyszałam szum uruchamianego komputera - Jacobi, zanim otrzymał nową odznakę, nigdy samodzielnie nie korzystał z komputera. Teraz z kupy śmieci na biurku wyciągnął płytę CD i niezdarnie położył ją na wysunięty podajnik stacji dysków.

- Chodzi o dziewczynkę w wieku pięciu lat. Uprowadzono ją wraz z opiekunką dziś rano, gdy szły do parku. Niania nazywa się Paola Ricci. Pochodzi z Cremony we Włoszech i ma wizę z pozwoleniem na pracę. Dziecko to Madison Tyler.

- Córka właścicieli „Chronicie”? - zapytałam.

- Tak. Henry Tyler jest ojcem dziewczynki.

- Powiedziałaś, że jest świadek porwania...

- Tak. Pewna kobieta przed pójściem do pracy wyprowadzała swojego sznaucera na spacer i zobaczyła osobę w szarym płaszczu wychodzącą z czarnego minivana, zaparkowanego obok parku Alta Plaža przy Scott Street.

- Jaką „osobę”? - zapytał Conklin.

- Zeznała jedynie, że był to ktoś w szarym płaszczu, ale nie mogła stwierdzić, czy mężczyzna, czy kobieta, bo ta osoba stała do niej tyłem. Nie potrafiła też określić marki samochodu. Powiedziała, że wszystko stało się bardzo szybko.

- A skąd podejrzenie, że doszło do morderstwa? - zapytałam.

- Świadek zeznała, że gdy tylko samochód zawrócił na Divisadero, usłyszała głuchy odgłos i dostrzegła rozbryzg krwi na tylnej szybie minivana.

### **Rozdział 30**

Jacobi kliknął kilka razy myszką i obrócił laptop, umożliwiając Conklinowi i mnie obejrzenie filmu na monitorze.

- To jest Madison Tyler - powiedział.

Na ekranie pojawiła się dziewczynka o blond włosach, wychodząca na scenę zza kurtyny. Miała na sobie zwykłą granatową sukienkę z aksamitu z koronkowym

kołnierzykiem, skarpetki i sandały z czerwonej lakierowanej skóry z zakrytymi palcami. Była absolutnie najpiękniejszą pięciolatką, jaką kiedykolwiek widziałam, o inteligentnym spojrzeniu, które kasowało wszelkie podejrzenia, że mogła występować w dziecięcych konkursach piękności.

Gdy dziewczynka wdrapywała się na stołek ustawiony przed klawiaturą fortepianu Steinway, biuro Jacobiego wypełniło się oklaskami. Oklaski przebrzmiały i dziewczynka zaczęła grać jakiś utwór klasyczny, którego nie rozpoznałam. Był trudny, ale dziewczynka nie pomyliła się ani razu. Zakończyła grę, wyciągając ręce, jak najdalej mogła, i z rozmachem uderzając ostatni akord, który wywołał głośne brawa i aplauz publiczności.

- Będę grała jeszcze lepiej, gdy urosną mi dłonie - zwróciła się do publiczności, wstając od fortepianu.

Na widowni rozległ się szczery śmiech, a zza kulis wyszedł dziewięcioletni chłopiec i wręczył Madison bukiet kwiatów.

- Czy porywacze dzwonił już do rodziców dziewczynki? - zapytałam, odrywając wzrok od obrazu na monitorze.

- Jeszcze nie - odpowiedział Jacobi. - Nikt jeszcze się nie odezwał. Nadal nie padło ani jedno słowo o okupie.

### **Rozdział 31**

Cindy Thomas pracowała w domu, w pokoju gościnnym, który przerobiła na biuro. Pisząc artykuł na temat zbliżającej się rozprawy sądowej Alfreda Brinkleya, słuchała jednocześnie wiadomości CNN. Przez chwilę nie chciała odbierać telefonu, który stał tuż przy niej, ale spojrzała na numer dzwoniącego i podniosła słuchawkę z widełek.

- Tak, panie Tyler?

Głos Henry'ego Tylera brzmiał niezwykle obco, aż trudno było go rozpoznać. Przez ułamek sekundy Cindy wydało się, że może to jakiś żart, ale przecież żarty nie były w jego stylu. Słuchając w napięciu, wydając okrzyki zdumienia i powtarzając: „Nie... to nie może być prawda...”, starała się jak najlepiej go zrozumieć, co było o tyle trudne, że płakał i co chwila gubił wątek.

- Miała na sobie granatowy płaszczyk - podpowiedziała Cindy.

- Tak, tak... Granatowy. I czerwony sweter, niebieskie spodnie i czerwone buciki.

- Dostanie pan materiał za godzinę - odpowiedziała Cindy. - A do tego czasu te dranie na pewno odezwą się w sprawie okupu. Wierzę, że odzyska pan Maddy.



Cindy pożegnała się z głównym udziałowcem i wydawcą gazety „Chronicie” i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała bez ruchu, kurczowo ściskając podłokietniki fotela i czując mdłości ze strachu o los dziewczynki. Napisała wiele artykułów o porwaniach i wiedziała doskonale, że jeśli dziecko nie wróci do domu tego samego dnia, to szanse na jego odzyskanie maleją o połowę. A spadną jeszcze o połowę, jeśli dziewczynka nie zostanie odnaleziona następnego dnia.

Wróciła pamięcią do ostatniego razu, gdy widziała Madison. To było na początku wakacji, gdy dziewczynka przyszła do redakcji z ojcem. Madison wirowała wokół fotela Cindy przez dwadzieścia minut, pisząc coś na bloku do stenotypii i udając, że jest reporterką przeprowadzającą wywiad z Cindy na temat jej pracy.

- Dlaczego to się nazywa „napięty termin”? Czy pisząc o złoczyńcach, nigdy się nie boisz? O czym była najgłupsza historia, jaką napisałaś?

Maddy była wspaniałym dzieckiem, wesołym i niezepsutym. Cindy poczuła się wręcz niezadowolona, gdy pojawiła się sekretarka pana Tylera, żeby ją zabrać.

- No, chodź już, Madison, nie możemy przeszkadzać pani Thomas w pracy.

Cindy pocałowała dziewczynkę w policzek, mówiąc:

- Jesteś słodka jak najśłodszy cukiereczek, wiesz o tym? Madison objęła ją za szyję i odwzajemniła się pocałunkiem.

- Do zobaczenia w dziale ze śmiesznościami! - zawołała za nią Cindy, a Madison Tyler obróciła się na pięcie i uśmiechając się szeroko, odpowiedziała:

- Tam właśnie idę!

Cindy spojrzała na pusty monitor komputera, kompletnie sparaliżowana myślami o losie Madison uprowadzonej przez ludzi, którzy jej nie kochali. Zastanawiała się, czy dziewczynka leży związana w bagażniku jakiegoś samochodu, czy ktoś ją molestuje seksualnie albo czy już nie żyje.

Otworzyła nowy dokument i po paru falstartach spod jej palców zaczął płynąć artykuł do prasy: Pięcioletnia córka udziałowca i współwydawcy „Chronicie”, Henry’ego Tylera, została dzisiejszego ranka uprowadzona z miejsca oddalonego zaledwie pięć przecznic od jej domu...

Pisząc, słyszała w głowie głos Henry’ego Tylera, łkającego z bólu: „Napisz artykuł, Cindy. Modlę się do Boga, żebyśmy odzyskali Madison, zanim go opublikujemy”.

Yuki Castellano siedziała w trzecim rzędzie ławek w sali Sądu Najwyższego, czekając, aż urzędnik sądowy ogłosi numer jej sprawy.

Od miesiąca pracowała w biurze prokuratora okręgowego. Wcześniej przez wiele lat była obrońcą w czołowej kancelarii adwokackiej, w której broniła zamożnych klientów głównie w sprawach cywilnych. Nowa praca polegała wprawdzie na grzebaniu w brudach, ale była fascynująca i bardziej związana z otaczającą rzeczywistością. I właśnie tego potrzebowała. Jej koledzy z poprzedniej pracy nie mogli uwierzyć, że tak ją podnieca przebywanie „po ciemnej stronie prawa”.

Na dzisiejszym posiedzeniu sądu miała zostać ustalona data rozprawy Alfreda Brinkleya. W biurze prokuratora pracowała wprawdzie zastępca prokuratora okręgowego, której rolą było branie udziału w tego typu posiedzeniach, niewymagających żadnego wysiłku intelektualnego, i prowadzenie kalendarza rozpraw, ale w przypadku tej sprawy Yuki nie chciała pominąć nawet najdrobniejszego elementu.

Została wybrana przez starszego zastępcę prokuratora okręgowego, Leonarda Parisiego, jako oskarżyciel wspomagający do udziału w sprawie Brinkleya, który zamordował cztery osoby. Niezwykłym szczęściem było to, że postrzelona przez niego jej serdeczna przyjaciółka, Claire Washburn, nie zginęła.

Spojrzała na rzędy siedzeń przed sobą, wypełnionych pospolitymi przestępcami, ich matkami, dziewczynami i obrońcami z urzędu, którzy przeprowadzali narady ad hoc ze swoimi klientami.

W końcu zauważyła obrońcę z urzędu, Barbarę Blanco, która szeptała coś do ucha zabójcy z promu. Blanco była sprytnym adwokatem i, podobnie jak Yuki, trafiła na niezłą kartę w osobie Alfreda Brinkleya.

Blanco przyjęła linię obrony „niewinny” i zdecydowanie będzie dążyła do odrzucenia przed procesem jego przyznania się do winy złożonego podczas dochodzenia policyjnego. Będzie twierdziła, że w chwili popełniania zbrodni Brinkley był niepoczytalny i od tego czasu dostaje leki. Dołoży starań, by przestał podlegać systemowi penitencjarnemu oraz by zajął się nim system leczenia psychiatrycznego.

A niech sobie próbuje...

Gdy woźny sądowy odczytał numer sprawy, tętno Yuki raptownie przyspieszyło. Zamknęła laptop i ruszyła do ławki oskarżycieli.

Alfred Brinkley potulnie podążał za swoim obrońcą. Był ostrzyżony i ogolony i nie wyglądał na kogoś, kto mógł popełnić jakąkolwiek zbrodnię. I bardzo dobrze.

Yuki otworzyła furtkę w barierce odgradzającej widownię dla publiczności od sądu i stanęła obok Blanco i Brinkleya, patrząc prosto w stalowoszare oczy sędziego Normana Moore'a.

Moore obrzucił ich przelotnym spojrzeniem i wsadził nos w dokumenty.

- W porządku. Co powiecie na to, żebyśmy zajęli się tą sprawą jak najszybciej, powiedzmy... w poniedziałek, siedemnastego listopada?

- Oskarżenie publiczne się zgadza, Wysoki Sądzie - odparła Yuki.

Ale Blanco miała inny pomysł.

- Wysoki Sądzie, pan Brinkley ma długą historię zaburzeń psychicznych. Powinien przejść odpowiednie badania zgodnie z paragrafem tysiąc trzysta sześćdziesiątym ósmym postępowania sądowego w celu ustalenia jego zdolności do stawania przed sądem.

Moore złożył ręce na stole, westchnął i powiedział:

- Okay, pani Blanco. Doktor Charlene Everedt wróciła właśnie z urlopu. Dziś rano wspomniała, że ma trochę wolnego czasu. Przeprowadzi zatem odpowiednie testy z panem Brinkleyem. - Spojrzał na Yuki. - Co pani na to, pani Castellano?

- Wysoki Sądzie, to jest taktyka opóźniania. - Jej odpowiedź była zwięzła, a słowa wypowiedzane szybko jak seria z karabinu maszynowego. - Obrona pragnie ukryć swojego klienta przed opinią publiczną, żeby osłabić zainteresowanie mediów tą sprawą. Pani Blanco dobrze wie, że pan Brinkley może stanąć przed Wysokim Sądem. Zastrzelił czworo ludzi. Sam oddał się w ręce policji. Przyznał się do popełnienia zbrodni. Oskarżenie domaga się szybkiego rozpoczęcia procesu...

- Rozumiem doskonale, czego domaga się oskarżenie, pani Castellano - odpowiedział spokojnie i dobitnie sędzia, przerywając ten grad słów. - Doktor Everedt szybko upora się z badaniami. Nie powinno jej to zająć więcej niż kilka dni. Jestem pewien, że oskarżenie tyle wytrzyma, nieprawdaż?

- Tak - przytaknęła Yuki, a gdy sędzia zwrócił się do urzędnika: „Następna sprawa”, wyszła z sali sądowej przez przedsionek i dalej przez dwuskrzydłowe drzwi zewnętrzne.

Skręciła w prawo, w stronę holu wyłożonego wytartym już marmurem, mając nadzieję, że wskazany przez sąd psychiatra dostrzeże to, co ona i Lindsay widziały doskonale.

Alfred Brinkley mógł być nieźle pokręcony, ale z prawnego punktu widzenia nie był chory psychicznie. Był czterokrotnym mordercą działającym z premedytacją. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to oskarżenie będzie miało szansę, żeby to udowodnić.

Rzuciłam klucze Conklinowi i usiadłam na siedzeniu pasażera naszego nieoznakowanego radiowozu.

Conklin poświstywał nerwowo przez zęby. Najpierw pojechaliśmy wzdłuż Bryant Street, później zaś kilka przecznic Szóstą Ulicą w kierunku północnym, przecięliśmy Market Street i dalej w stronę Pacific Heights.

- Jeśli istnieje jakiś powód, żeby nie chcieć mieć dzieci, to to jest właśnie ten - stwierdził.

- Albo...?

- Albo cała mała armia dzieci.

Zaczęliśmy tworzyć różne teorie na temat tego porwania - czy naprawdę doszło do zabójstwa lub czy opiekunka miała coś wspólnego z uprowadzeniem dziecka.

- Ona była niemal członkiem rodziny i wiedziała o wszystkim, co tam się działo - tłumaczyłam. - Wiedziała, że są zamożni, znała ich zwyczaje i rozkład dnia. Jeśli Madison jej ufała, to takie porwanie byłoby proste jak drut.

- To po co mieliby ją zabijać? - zapytał Conklin.

- Może nie była im już do niczego potrzebna.

- I mieliby o jedną osobę mniej do podziału okupu. Ale zabijać ją przy dziewczynce?

- Tylko czy zabili opiekunkę, czy dziewczynkę? - zastanawiałam się.

Zamilkliśmy dopiero wówczas, gdy skręciliśmy w Washington Street, jedną z najładniejszych ulic Pacific Heights.

Piękny, bladożółty wiktoriański dom Tylerów stał pośrodku wysadzanego drzewami kwartału. Z donic wylewały się kwiaty. To był dom marzenie - trudno było sobie wyobrazić, że takie miejsce mogła nawiedzić jakaś tragedia.

Conklin zaparkował przy krawężniku. Po sześciu kamiennych schodach weszliśmy na taras przed głównymi drzwiami. Chwyciłam kołatkę i puściłam, pozwalając jej uderzyć w kowadełko przymocowane do starych dębowych drzwi. Zdawałam sobie sprawę, że w środku tego pięknego domu siedziało dwoje pogrążonych w bólu i rozpaczycy ludzi.

## **Rozdział 34**

Frontowe drzwi otworzył Henry Tyler i zbladł, gdy mnie rozpoznał. Dla pewności pokazałam mu odznakę.

- Jestem sierżant Boxer, a to inspektor Conklin.

- Wiem, kim pani jest. Przyjaźni się pani z Cindy Thomas. I pracuje pani w wydziale zabójstw.

- To prawda, panie Tyler, ale proszę... nie mamy jeszcze żadnych informacji o pana córce.

- Policja już tu była - oświadczył, prowadząc nas przez hol do urządzonego z przepychem salonu umeblowanego autentycznymi meblami z dziewiętnastego wieku. Podłoga wyścielona była oryginalnymi perskimi dywanami, a ściany przyozdobione obrazami ludzi i ich psów. Pod oknami, z których rozciągała się panorama na zatokę San Francisco warta zyliony dolarów, stał fortepian.

Tyler poprosił, byśmy usiedli, a sam zajął miejsce naprzeciw nas, na obitej karmelowym aksamitem sofie.

- Jesteśmy tutaj, ponieważ świadek wydarzenia usłyszał strzał z broni palnej - wyjaśniłam.

- Strzał?

- Nie mamy powodów sądzić, że Madison coś się stało, panie Tyler, ale musimy mieć więcej informacji o pana córce i Paoli Ricci.

Do pokoju weszła elegancko ubrana Elizabeth Tyler z opuchniętymi i zaczerwienionymi od płaczu oczami. Usiadła obok męża i złożyła dłonie.

- Pani sierżant właśnie powiedziała mi, że kobieta, która widziała porwanie Madison, usłyszała strzał!

- Rany boskie! - zaszlochała Elizabeth Tyler i chwyciła męża za rękę.

Powtórnie wyjaśniłam sytuację, starając się uspokoić rodziców Madison. Powiedziałam im jedynie, że słyszano wystrzał. Nie wspomniałam jednak o tym, że świadek widział rozbryzg krwi na szybie.

Gdy pani Tyler otrząsnęła się z szoku, Conklin zapytał, czy zauważyli kogoś włóczącego się wokół ich domu.

- Nigdy nie widziałem niczego podejrzanego - oświadczył Tyler.

- W tej okolicy sąsiedzi doglądają nawzajem swoich domostw - wyjaśniła Elizabeth Tyler. - Jesteśmy wobec siebie bezwstydnymi szpiegami. Gdyby ktokolwiek z nas zauważył coś dziwnego, natychmiast dzwoniłby na policję.

Zebraлиśmy informacje od Tylerów dotyczące ich porządku dobowego w ciągu kilku ostatnich dni i ich zwyczajów - o której wychodzą z domu i o której zwykle kładą się spać.

- Proszę opowiedzieć mi jeszcze o państwa córce, nie pomijając niczego - poprosiłam.

Oczy pani Tyler rozbłyśły.

- Ona jest bardzo radosnym dzieckiem. Kocha psy. I jest muzycznym geniuszem, jak już wiecie.

- Widziałam nagranie z jej występu - przyznałam.

- Czy wiecie, że ona ma synestezję? - zapytała Elizabeth Tyler.

Pokręciłam głową.

- Co to jest synestezja?

- Gdy słyszy muzykę lub gra na fortepianie, to dźwięki i nuty nabierają dla niej barw.

To niezwykle dziecko...

- Synestezja jest stanem neurologicznym - wyjaśnił niecierpliwie Henry Tyler - i nie ma nic wspólnego z jej uprowadzeniem. To wszystko musi mieć związek z wymuszeniem okupu. Bo o co innego mogłoby chodzić porywaczom?

- A co mogą nam państwo powiedzieć o Paoli? - zapytałam.

- Doskonale mówi po angielsku - stwierdził Tyler. - Jest z nami już od paru miesięcy. Pamiętasz, kiedy się u nas zjawiała, kochanie? - zwrócił się do żony.

- We wrześniu. Przyszła zaraz po wyjeździe Mali na Sri Lankę. Paola miała wspaniałe rekomendacje - uzupełniła pani Tyler. - Maddy od razu ją polubiła.

- Czy znaliście jakichś przyjaciół Paoli? - spytał Conklin.

- Nie. Nie pozwalaliśmy na odwiedziny przyjaciół opiekunki w naszym domu. Miała wolne popołudnia w czwartek i w niedzielę. Nie wiemy, co wtedy robiła.

- Ciągle z kimś rozmawiała przez telefon komórkowy - dodał Tyler. - Madison mi o tym powiedziała. Musiała mieć zatem jakichś przyjaciół. A co pan sugeruje, panie inspektorze? Uważa pan, że Paola mogła za tym wszystkim stać?

- A czy wydaje się to panu prawdopodobne?

- Oczywiście - odparł Tyler. - Widziała, jak mieszkamy. Może chciała coś z tego majątku dla siebie. A może jakiś facet, z którym się spotykała, namówił ją do tego.

- W tej chwili nie możemy niczego wykluczyć - stwierdziłam.

- Bez względu na to, ile to będzie kosztować, i bez względu na to, kto to zrobił, proszę, odnajdźcie naszą córeczkę...

## Rozdział 35

Pokój Paoli Ricci w domu Tylerów był niewielki, ale bardzo kobiecy. Na wprost łóżka wisiał plakat z piłkarską reprezentacją Włoch, a nad wezgłowiem ręcznie wyrzeźbiony krzyż.

W tym małym pokoiku było troje drzwi: jedne otwierały się na korytarz, drugie prowadziły do łazienki, a trzecie bezpośrednio do pokoju Madison.

Łóżko Paoli przykrywała niebieska kapa z szenili, a jej ubrania wisiały w szafie - gustowne fartuszki, zwykłe spódnice, bluzki i cała półka swetrów o neutralnych kolorach. Kilka par półbutów na płaskich obcasach stało równo ułożonych na podłodze. Na gałce do szafy wisiała czarna, skórzana torba.

Otworzyłam torebkę Paoli i przejrzałam jej portfel.

Zgodnie z danymi w prawie jazdy Paola miała dziewiętnaście lat.

- Ma metr siedemdziesiąt wzrostu, brązowe włosy, niebieskie oczy i... lubi trawkę. - W zamykanej na zamek kieszonce znalazłam torebkę z trzema skrętami. - Nie ma telefonu komórkowego. Pewnie zabrała go z sobą.

Wysunęłam jedną z szuflad komody, a Conklin przeglądał toaletkę.

Paola miała zwykłą białą bieliznę do noszenia w dzień, ale w dni wolne najwyraźniej ubierała się w satynową w tropikalnych kolorach.

- Frywolna, ale nie najgorsza - stwierdziłam. Weszłam do łazienki i otworzyłam szafkę na kosmetyki.

Stało tam pełno różnych toników do pielęgnacji skóry i odżywek na rozdwojone końcówki włosów oraz napoczęte pudełko Ortho Tri-Cyclen - plastrów antykoncepcyjnych.

Z kim sypiała? Ze swoim chłopakiem? A może z Henrym Tylerem?

To nie byłby pierwszy raz, gdy niania angażuje się w związek z panem domu. Może i tutaj coś takiego było grane? I może zaczęło się między nimi psuć?

- Mam coś, pani porucznik! To znaczy... pani sierżant - zawołał Conklin.

- Jeśli po nazwisku ci nie wychodzi, to spróbuj po prostu Lindsay - zaproponowałam.

- Okay - odpowiedział, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Lindsay. Paola pisała pamiętnik.

## Rozdział 36

Gdy Conklin poszedł przeszukać pokój Madison, ja przejrzałam pamiętnik. Paola miała piękny charakter pisma, a do wyrażania swoich emocji używała symboli i buziek. Nawet tak pobieżna lektura pamiętnika wystarczyła, żeby zrozumieć, że Paola po prostu kochała Amerykę. Z entuzjazmem rozpisywała się o kawiarenkach i sklepikach przy Fillmore Street, nie mogąc się doczekać, kiedy zrobi się ciepło, by móc posiedzieć w kawiarnianych

ogródkach z przyjaciółmi, tak jak w domu. Opisywała ubrania, które widziała w sklepach, i cytowała wypowiedzi przyjaciółek o mężczyznach i o gwiazdach mediów.

Gdy wspominała o przyjaciółkach, Paola używała tylko inicjałów, co prowadziło do wniosku, że w wolne wieczory paliła trawkę z ME i LK. Szukałam jakichś odniesień do Henry'ego Tylera, ale Paola rzadko o nim pisała i określała go zdawkowo jako „pan B.”.

Inicjał osoby, którą nazywała „G.”, był szczególnie ozdobiony. Paola opisywała ciepłe spojrzenia i chwile, gdy widziała »G.», ale odniosłam wrażenie, że kimkolwiek on był, to seks z nim raczej sobie wyobrażała, niż rzeczywiście go przeżywała.

Osobą najczęściej występującą w pamiętniku Paoli była Maddy. Zrozumiałam, że ta dziewczyna bardzo kochała Madison. Wkleiła nawet do pamiętnika kilka jej rysunków i wierszyków. Nie znalazłam żadnej wzmianki o planach, spotkaniach lub jakiegokolwiek zemście. Zamknęłam mały czerwony notatnik, przekonana, że jest to jedynie dziennik obcokrajowca z pobytu w zamorskim kraju.

A może celowo pisała pamiętnik w taki sposób, żebyśmy myśleli, że jest niewinna?

Henry Tyler odprowadził nas do wyjścia. Przed drzwiami chwycił mnie za rękę.

- Doceniam to, że uspokajała pani moją żonę, ale podejrzewam, że coś musiało się wydarzyć, skoro ponownie pojawiła się policja. Boję się o życie córki. Proszę mnie informować o wszystkim i nalegam, żeby mówiono mi prawdę.

Dałam przerażonemu Henry'emu Tylerowi numer swojej komórki i obiecałam, że będę dzwonić w ciągu dnia. Gdy wychodziliśmy, technicy policyjni zakładali już podsłuch na linie telefoniczne Tylerów, a inspektorzy z wydziału śledczego przepytывali mieszkańców sąsiednich domów przy Washington Street.

Pojechaliśmy do Alta Plaža - starego parku o tarasowym układzie, z placem zabaw dla dzieci pośrodku. Wśród opiekunek, maluchów i właścicieli psów odpoczywających na trawie kręcili się gliniarze szukający informacji o porwaniu. Przepytaliśmy wszystkie nianie i dzieci, które znały Madison. Spotkaliśmy też opiekunkę o inicjałach ME, która była przyjaciółką Paoli wymienioną w jej pamiętniku.

Madeline Ellis obawiała się o życie Paoli i Maddy i zaczęła łkać, gdy nam o nich opowiadała.

- Czuję się tak, jakby świat przewrócił się do góry nogami. Przecież tutaj powinno być bezpiecznie - mówiła łamiącym się głosem. - To taka miła dziewczyna...

Powiedziała nam, że „G.” z pamiętnika Paoli to George, kelner z Rhapsody Cafe. Flirtował z Paolą, a ona z nim jednak Madeline była pewna, że Paola i George nigdy jeszcze nie umówili się na randkę.



George'a Henleya spotkaliśmy w kawiarnianym ogródku i przepytaliśmy go, co wie na temat Paoli. Zadaliśmy mnóstwo pytań, nawet próbując go straszyć, ale instynkt podpowiedział mi5 że on raczej nie mógł się zaangażować w porwanie albo w morderstwo. Był zwykłym dzieciakiem, który pracował w ciągu dnia, by uczyć się na studiach wieczorowych i zdobyć dyplom licencjata sztuk pięknych.

George wytarł dłonie w fartuch, wziął prawo jazdy Paoli do ręki i przyjrzał się fotografii.

- No pewnie! Widywałem ją tu wielokrotnie z przyjaciółkami, ale dopiero teraz dowiedziałem się, jak ma na imię.

### **Rozdział 37**

Nad dzielnicą Pacific Heights zachodziło już słońce, gdy opuszczaliśmy mieszkanie Willy'ego Evansa, który mieszkał nad garażem jednego z sąsiadów Tylerów. Evans był złotą rączką i dziwakiem z niewiarygodnie brudnymi paznokciami i dwoma tuzinami terrariów zajmowanych przez węże i jaszczurki. I choć sam był równie oślizgły, miał twarde alibi w chwili porwania Madison i Paoli.

Conklin i ja dołączyliśmy do policjantów przepytujących sąsiadów, którzy właśnie wracali z pracy. Pokazywaliśmy im zdjęcia Paoli i Madison. Wystraszyliśmy wielu niewinnych ludzi i w nagrodę nie natrafiliśmy na żaden trop.

Po powrocie na komendę przeredagowaliśmy notatki na raporty, zaznaczając, które wywiady były przeprowadzone bezpośrednio przez nas. Jediną lukę stanowił brak jakichkolwiek informacji od rodziny Devine mieszkającej w bezpośrednim sąsiedztwie Tylerów, a to z tej prostej przyczyny, że byli wtedy na wakacjach. Dodaliśmy także opinię przyjaciół Paoli - wszyscy uważali ją za świętą.

Ogarnął mnie smutek.

Kobieta, która była jedynym świadkiem uprowadzenia, powiedziała Jacobiemu, że o dziewiątej rano usłyszała strzał i zobaczyła rozbryzg krwi na wewnętrznej stronie tylnej szyby vana. Czy była to krew Paoli?

Czy może dziecko zaczęło stawiać opór i dostało kulkę, żeby uciszyło się na zawsze?

Powiedziałam Conklinowi „dobranoc” i pojechałam do szpitala.

Claire spała, gdy wchodziłam do jej pokoju.

Otworzyła na moment oczy i powiedziała: „Witaj, słoneczko!”, po czym znowu zasnęła. Posiedziałam przy niej przez chwilę; rozparłam się w fotelu i nawet sama zamknęłam

oczy, żeby się trochę zdrzemnąć. Po kwadransie wstałam, pocałowałam przyjaciółkę w policzki i się pożegnałam.

Zaparkowałam swojego explorera o kilkadziesiąt metrów od mieszkania i, nie przestając myśleć o biednej Madison, szłam w stronę domu.

Musiałam kilka razy zamrużyć oczami, żeby upewnić się, czy nie mam halucynacji. Na schodach do mojej kamienicy siedział Joe ze smyczą okręconą wokół nadgarstka. Drugą ręką głaskał Marthę. Wstał, a ja rzuciłam się w jego szerokie ramiona. Czułam się najszcześniejsza pod słońcem.

## Rozdział 38

Joe chyba nie wiedział o mojej nieudanej wyprawie do Waszyngtonu i wcale nie było sensu, żeby teraz mu o tym mówić.

- Dales suni jeść? - zapytałam, przyciskając się do niego jeszcze mocniej i oplatając ramionami jego szyję w oczekiwaniu pocałunku.

- Nawet byliśmy na spacerze - zamruczał. - A dla człekokształtnych kupiłem pieczonego kurczaka i zieleninę. W lodówce chłodzi się wino.

- Pewnego dnia wejdę do swojego mieszkania i przypadkowo cię zastrzele.

- Zrobiłabyś to? Naprawdę, Blondi?

- No coś ty, Joe... Nigdy bym tego nie zrobiła! - odpowiedziałam, uśmiechając się do niego i patrząc mu w oczy.

- Uspokoilaś mnie.

Pocałował mnie jeszcze raz tak mocno, że niemal wtopiłam się w jego ciało. Weszliśmy po schodach przy akompaniamencie szczekania Marthy, która była zadowolona, że wreszcie ma jakieś stadko do pilnowania. Tak nas rozbawiła, że wdrapując się po schodach, ślanialiśmy się ze śmiechu.

Jak zwykle w takich przypadkach jedzenie musiało poczekać...

Joe rozebrał mnie, a ja jego, odkręcił wodę pod prysznicem i gdy obydwójce znaleźliśmy się w kabinie, oparł moje ramiona o ścianę i mył mnie delikatnie i czule, doprowadzając do szaleństwa. Po kąpieli owinał mnie ręcznikiem i zaprowadził do łóżka. Położył mnie i zapalił lampkę nocną, tę z różowym, miękkim światłem. Odsunął brzegi ręcznika i poznawał moje ciało, zupełnie jakby był to nasz pierwszy raz.

Ja podziwiałam jego szeroką klatkę piersiową; mój wzrok podążał tropem kręconych włosów w dół - sięgnęłam dłonią, by dotknąć jego męskości. Joe był już gotów.

- Połóż się i odpręż - szepnął mi do ucha.

Cudowną rzeczą związaną z tak długim oczekiwaniem na Joego było to, że gdy wreszcie nadchodził moment zbliżenia - obok ciepłej poufałości zawsze wprowadzał do pieśczołot element czegoś nieznanego.

Leżałam na plecach, z ramionami wyprostowanymi nad głową, a Joe doprowadzał mnie do ekstazy, całując najwrażliwsze skrawki mojego ciała i dotykając ich pieśczołotliwie palcami, i przyciskając się do mnie mocno.

Topiłam się w żarze uczuć, ale choć tak bardzo go pragnęłam, to w głowie kołatało mi jeszcze zupełnie coś innego. Walczyłam ze swoimi uczuciami do Joego i nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak się działo.

I nagle pojawiła się odpowiedź: „Ja wcale tego nie chcę”.

### **Rozdział 39**

Czułam się jak stuknięta, pragnąc i jednocześnie nie pragnąc Joego.

Początkowo próbowałam wytłumaczyć to sobie strachem o los Madison i Paoli, ale po chwili zrozumiałam, że powodem moich rozterek był wstyd, jaki przeżyłam, pojawiając się z nienacka w mieszkaniu Joego prawie dwa tygodnie temu, tak bardzo go pragnąc, ale czując, jakbym znalazła się w miejscu, które nie było mi przypisane.

Joe leżał obok, trzymając rękę na moim brzuchu.

- O co chodzi, Lindsay?

Pokręciłam głową, ale Joe odwrócił mnie do siebie i zmusił, bym spojrzała w jego niezwykle niebieskie oczy.

- Miałam okropny dzień - wyznałam.

- No tak, ale to nic nowego. Za to do tej pory nie spotkałem się u ciebie z takim dziwnym nastrojem.

Czułam, jak łyzy podchodzą mi do oczu, i się zawstydziałam. Nie chciałam okazywać takiej słabości przy Joem. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Zaczynij mówić, Blondi - poprosił.

Przysunęłam się do niego, położyłam dłoń na jego piersiach, a głowę oparłam o bark.

- Nie mogę tak dłużej, Joe.

- Doskonale wiem, jak się czujesz. Chcę się tu przeprowadzić, ale to jeszcze nie jest właściwy moment.

Mój oddech się uspokoił, gdy opowiadał o wojnie, o przyszłorocznych wyborach, o bombardowaniach dużych miast i o bezpieczeństwie wewnętrznym kraju.

W pewnym momencie przestałam słuchać. Wstałam z łóżka i narzuciłam na siebie szlafrok.

- Wrócisz? - zapytał Joe.

- O to właśnie chodzi - zaczęłam. - Ja zawsze zadaję sobie to samo pytanie w związku z tobą.

Joe chciał zaprotestować, ale mu przerwałam.

- Pozwól mi mówić - poprosiłam, siadając na brzegu łóżka. - Może to wszystko między nami wydaje się cudowne, ale tak do końca nie jest, bo ja nie mogę na ciebie liczyć, Joe. Jestem za stara na miłosne wybuchy w stylu pajacyka wyskakującego z pudeleczka...

- Linds...

- Dobrze wiesz, że mam rację. Nigdy nie wiem, kiedy zobaczymy się następnym razem albo czy odbierzesz telefon, gdy zadzwonię. I nagle się tu pojawiaasz, potem znowu znikasz, a ja zostaję sama pogrążona w tęsknocie. Nie mamy czasu, żeby się wspólnie rozerwać ani by prowadzić normalne życie. Tyle razy rozmawialiśmy o twojej przeprowadzce tutaj, ale obydwójce wiemy, że jest to niemożliwe.

- Lindsay, przysięgam...

- „Nie mogę się doczekać chwili, gdy następny rząd zakończy wojnę. Rozumiesz?”.

Joe opuścił nogi na podłogę; jego twarz była tak pełna miłości, że musiałam odwrócić głowę.

- Kocham cię, Lindsay. Proszę, nie kłóćmy się. Rano muszę jechać.

- Jedź już teraz, Joe - usłyszałam swój głos. - Nienawidzę się za to, co powiem, ale nie chcę już więcej żadnych dobrych intencji i niespełnionych obietnic. Zakończmy to, okay? Było nam razem cudownie. Rozumiesz mnie? Jeśli mnie kochasz, to odejdz.

Po pocałunku na pożegnanie leżałam w łóżku przez długi czas, patrząc w sufit, a moje łzy wsiąkały w poduszkę. Zastanawiałam się, co też najlepszego zrobiłam.

## Rozdział 40

Była sobotnia noc, prawie północ. Cindy spała w sypialni swojego nowego mieszkania w Blakely Arms - sama - gdy obudził ją potworny krzyk jakiejś hiszpańskojęzycznej kobiety dochodzący z wyższego piętra.

Trzasnęły drzwi, słychać było kroki biegnącego człowieka na korytarzu, zaskrzypiały zawiasy i kolejne trzaśnięcie drzwiami, tym razem już bliżej mieszkania Cindy.

Czy to drzwi na klatkę schodową?

Znowu jakieś krzyki, tym razem z ulicy. Do jej okien na drugim piętrze dochodziły męskie głosy, a po nich rozległy się odgłosy przepychanki.

Przez głowę Cindy zaczęły przebiegać setki myśli, jakich nie miała w swoim starym mieszkaniu. Czy jest tutaj bezpieczna? Czy był to udany zakup, czy jednak kiepska okazja?

Odkryła kołdrę i wyszła z sypialni do wielkiego salonu połączonego z holem. Zerknęła przez judasza, ale nikogo nie zobaczyła. Przekręciła gałkę zasuwki zamka, upewniając się, że jest zamknięty. Zgarnęła włosy palcami i związała je gumką. Jezu, jak mi się ręce trzęsą, pomyślała.

Może nie było to jednak nocne życie tej kamienicy. Można przez ten artykuł o uprowadzeniach dzieci, który ostatnio pisała.

Po telefonie Henry'ego Tylera przeczesała Internet, czytając historie wydarzeń, o jakich do tej pory nie miała pojęcia o tysiącach uprowadzeń dzieci w Stanach Zjednoczonych w ciągu jednego tylko roku.

Większość dzieci była porwana przez członków ich rodzin, potem zaś odnajdywana i oddawana prawowitym opiekunom. Ale mimo to okrutni porywacze pozbawiali życia kilkaset dzieci rocznie przez uduszenie, zasztyletowanie lub nawet zakopanie żywcem. I większość z nich mordowano w ciągu pierwszych godzin po uprowadzeniu.

Statystycznie ujmując, było o wiele bardziej prawdopodobne, że Madison została porwana przez szantażystę niż przez zbrojnego lub mordercę dzieci. Tylko dlaczego do tej pory nikt nie skontaktował się z Tylerami w sprawie okupu?

Cindy była właśnie w pół drogi do sypialni, gdy ktoś zadzwonił do jej drzwi. Zamarła, serce podskoczyło jej w piersi. Przecież nikogo tutaj nie znała!

Więc kto może dobijać się do jej drzwi o tej porze?

Ponownie rozległo się natarczywe dzwonicie.

Zawijając mocniej pasek szlafroka, Cindy podeszła do drzwi i spojrzała przez judasza. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

To była Lindsay.

I wyglądała, jakby właśnie uciekła z piekła.

Już miałam się odwrócić i odejść, gdy Cindy otworzyła drzwi, ubrana w różowy szlafrok i z włosami ściągniętymi gumką w zaimprovizowany kok na czubku głowy. Patrzyła na mnie, jakby zobaczyła jakąś zjawę.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

- Ze mną? Oczywiście, Lindsay. Przecież ja tu mieszkam, nie pamiętasz? Ale co się stało tobie?

- Pewnie zaraz sobie przypomnę - odrzekłam, ściskając przyjaciółkę i starając się odzyskać nad sobą kontrolę. Cindy najwyraźniej dobrze mi się przyjrzała i zapamiętała moją zszokowaną twarz. Szczerze powiedziawszy, to ona również nie wyglądała najlepiej. - Nie zdawałam sobie sprawy, dokąd jadę, dopóki nie pojawiłam się tutaj.

- Wchodź, na miłość boską, i siadaj - powiedziała, ciągnąc mnie w stronę sofy.

Pod ścianami stały jedne na drugich kartonowe pudła, a pod nogami strzelała folia bąbelkowa do pakowania.

- Co się stało, Lindsay? Yuki w takich przypadkach mówi: - Wyglądasz, jakby ktoś przeciągnął cię przez dupę kaczki”.

Udało mi się lekko uśmiechnąć.

- I nawet tak się czuję.

- Co chcesz do picia? Herbaty? A może coś mocniejszego?

- Chętnie napiję się herbaty.

Rozparłam się na sofie, opadając na miękkie poduszki. Kilka minut później Cindy wróciła z kuchni, podała mi kubek z herbatą i podsunęła sobie taboret, na którym usiadła.

- Mów, co się stało.

Cindy nie żartowała - była przykładem doskonałego paradoksu: cała w różach i spowita kręconymi włosami, nigdy nie wychodziła z domu bez szminki na ustach i odpowiednio dobranych butów. Jednak wewnątrz tej laleczki czał się buldog, który - gdy już się dorwie do nogi - będzie tak długo trzymał cię za kostkę, dopóki nie powiesz wszystkiego, co tylko chce wiedzieć.

Nagle zrobiło mi się głupio. Czując, że dzięki Cindy poprawił mi się nastrój, nie miałam już ochoty opowiadać jej o historii z Joem.

- Przyszłam obejrzeć twoje nowe mieszkanie.

- Nie. Piernicz. Mi. Takich. Głupot.

- Ty nigdy nie popuścisz człowiekowi...

- To wina mojej pracy.

- I jesteś z tego całkiem dumna.  
- Ab-so-lut-nie!  
- Świnia! - Ze zdziwieniem zauważyłam, że zaczęłam się śmiać.  
- No, dalej! Wyrzuć to z siebie! - nakręcała się. - Dowal mi jeszcze!  
- Nazwanie cię świnia było całkiem wystarczające, jak dla mnie.  
- Okay. A zatem o co chodzi, Linds? Zasłoniłam twarz poduszką i westchnęłam.  
- Zerwałam z Joem. Cindy oderwała poduszkę od mojej twarzy.  
- Chyba żartujesz?!  
- Bądź miła, Cindy, okay? Albo zwymiotuję na twój dywan.  
- No już dobrze, więc dlaczego go rzuciłaś? Joe to kawał fajnego faceta. Jest przystojny i miły. Kocha cię. I ty go kochasz. Co ci odbiło?

Przyciągnęłam kolana i objęłam je ramionami. Cindy usiadła obok, na sofie, i przytuliła mnie.

Czułam się tak, jakbym trzymała się małego drzewka, a fala powodzi chciała mnie od niego oderwać i pochłonać. Tyle się ostatnio napłakałam. Bałam się, że zwariuję od tego wszystkiego.

- No dobrze. Uspokój się już. Jestem przy tobie.

Poddałam się i wyplułam z siebie całą historię mojej dziwacznej wizyty w Waszyngtonie, po czym opowiedziałam o kompletnej mieszance nastrojów, jaką przeżywam w związku z Joem.

- Strasznie cierpię z tego powodu, Cindy. Sądzę jednak, że postąpiłam właściwie.

- Ale nie zrobiłaś tego tylko z tego powodu, że nie zastałaś go w domu i spotkałaś tę kobietę?

- Nie! No coś ty!

- Matko Boska! Linds! Nie płacz już! Połóż się i zamknij oczy.

Cindy popchnęła mnie delikatnie i położyła mi poduszkę pod głowę. Chwilę później załopotał nade mną koc. Zgasło światło i poczułam, jak Cindy dokładnie mnie nim okrywa.

- To jeszcze nie koniec, Linds. Uwierz mi. Jeszcze nie.

- Od czasu do czasu ty też się mylisz, wiesz? - mruknęłam.

- A chcesz się założyć? - Cindy pocałowała mnie w policzek. Zapadłam w głęboki sen, by odegrać główną rolę w scenariuszu, który przygotował mi mózg. Obudziłam się, gdy tylko promienie słońca zaczęły przebijać się przez pozbawione zasłon okna mieszkania Cindy. Zmusiłam się, by usiąść, opuściłam nogi na podłogę i dostrzegłam karteczkę z wiadomością od Cindy na stoliku do kawy. Poszła po świeże bułeczki i kawę.

Wtedy dopiero obudziłam się na serio. Przypomniałam sobie, że Jacobi i Macklin umówili spotkanie zespołu na dziś, na ósmą rano. Będzie na nim każdy gliniarz zajmujący się sprawą Tyler-Ricci - oprócz mnie.

Nabazgrałam wyjaśnienie dla Cindy, włożyłam buty i wybiegłam z mieszkania.

## Rozdział 42

Jacobi przewrócił oczami, gdy precyzyjnie przesuwałam się obok niego i usiadłam w sali wydziału zabójstw. Porucznik Macklin rzucił mi krótkie, przenikliwe spojrzenie, podsumowując to, co do tej pory zostało powiedziane. Z braku informacji dotyczących miejsca przebywania Madison Tyler i Paoli Ricci dostaliśmy polecenie przesłuchania przestępców notowanych na tle seksualnym.

- Patrick Calvin. - Siedząc w nieoznakowanym radiowozie, odczytałam pierwsze nazwisko z listy, którą dostaliśmy. - Przestępca skazany na tle seksualnym, niedawno zwolniony warunkowo po odbyciu części wyroku za molestowanie seksualne własnej córki. Dziewczynka miała wtedy sześć lat.

- Nie mam usprawiedliwienia dla tego gówna - oświadczył Conklin, uruchamiając silnik samochodu. - I wiesz co? Nawet nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń, dlaczego ludzie to robią.

Calvin mieszkał w otynkowanym bloku w kształcie litery U na rogu Palm i Euclid, tuż obok Jordan Park, około dwóch i pół kilometra od miejsca zamieszkania i terenu zabaw Madison Tyler. Na ulicy stała zaparkowana niebieska toyota corolla zarejestrowana na jego nazwisko. Przechodząc przez otwarte patio za głównym wejściem poczułam zapach smażonego bekonu. Weszliśmy zewnętrznymi schodami i zapukaliśmy w drzwi pomalowane na wściekły czerwony kolor.

Otworzył nam biały mężczyzna o potarganych włosach mający nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, w piżamie w kratkę i białych skarpetkach na nogach. Wyglądał na piętnastolatka i przez chwilę chciałam zapytać: „Czy twój jest tata w domu?”, ale blade szary cień zarostu na brodzie i więzienne tatuaże na wierzchu palców od razu dały nam do zrozumienia, że rozmawiamy z Patem Calvinem we własnej osobie - byłym pensjonariuszem naszego systemu penitencjarnego.

- Patrick Calvin? - zapytałam, pokazując odznakę policyjną.

- Czego chcecie?

- Jestem sierżant Boxer. A to inspektor Conklin. Mamy kilka pytań. Możemy wejść?



- Nie. Czego chcecie?

Conklin ma dużo luzu - to cecha, której zawsze mu zazdrościłam. Widziałam, jak z niezwykłym spokojem przesłuchiwał psychomaniakalnych morderców - był tym, który gra dobrego policjanta, i to na maksa. No i to on zajął się tym biednym kotem Alonzów na miejscu zbrodni.

- Przykro mi, panie Calvin - odezwał się Conklin. - Wiem, że jest niedziela rano, ale mamy zaginione dziecko i mało czasu.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Lepiej niech się pan do tego przyzwyczai - tłumaczył Conklin. - Jest pan na zwolnieniu warunkowym...

- Chcecie przeszukać moje mieszkanie? O to wam chodzi?! - wrzasnął Calvin. - To chyba wolny kraj, do cholery, czy się mylę?! Jeśli nie macie nakazu, to możecie spadać na drzewo!

- Okropnie się pan nakręcił, jak na niewinnego człowieka - zauważył Conklin. - Zaczynam się zastanawiać dlaczego?

Stałam i przysłuchiwałam się, jak Conklin cierpliwie tłumaczył, że moglibyśmy zadzwonić do jego kuratora sądowego, który z pewnością pozwoliłby nam obejrzeć mieszkanie.

- Albo też moglibyśmy załatwić nakaz - wyjaśniał dalej Conklin - i podjechalibyśmy paroma radiowozami na syrenach z błyskającymi kogutami, by pana sąsiedzi dowiedzieli się, z kim mają do czynienia.

- Zatem czy nadal ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy weszli do środka? - zapytałam z groźną miną.

Calvin też rzucił mu chmurne spojrzenie.

- Nie mam nic do ukrycia - powiedział i zrobił krok do tyłu.

## **Rozdział 43**

Mieszkanie Calvina przypominało stronę z katalogu IKEA - umeblowane było lekkimi jak piórko jasnymi meblami. Nad telewizorem wisiała półka z lalkami różnych wielkości i kształtów: duże, malutkie, niemowlęta, lalki w eleganckich strojach.

- Kupiłem je dla mojej córki - warknął Calvin, siadając w fotelu. - Gdyby chciała mnie odwiedzić.

- Ile ona ma teraz lat? Szesnaście? - zapytał Conklin.

- Zamknij się pan. Okay? - odszczeknął się Calvin. - Po prostu się pan zaniknij!

- Uważaj na słowa! - rzucił ostrzegawczo Conklin, zanim wyszedł spenetrować sypialnię. Usiadłam na sofie i zaczęłam wertować swój notatnik.

Starając się nie myśleć o molestowanej dziewczynce, teraz już nastolatce, która miała wielkie nieszczęście, że taki gnój był jej ojcem, zapytałam Calvina, czy kiedykolwiek spotkał Madison Tyler.

- Widziałem ją w wiadomościach wczoraj wieczorem. Bardzo ładna. Można by nawet powiedzieć „smakowita”. Ale nie znam jej osobiście.

- W porządku - skwitowałam jego wypowiedź, zgrzytając zębami i czując nagły przypływ strachu o zdrowie i życie jvladison. - Gdzie był pan wczoraj rano o dziewiątej?

- Oglądałem telewizję. Lubię być na bieżąco z kreskówkami, żeby móc sobie pogadać z małymi dziewczynkami. To chyba jasne, nie?

Przy wzroście metr siedemdziesiąt siedem byłam o głowę wyższa od Calvina i na pewno w o wiele lepszej kondycji fizycznej. Zaczęłam fantazjować na temat wyjątkowo agresywnych działań wykorzystywanych podczas aresztowań, tak jak wtedy, gdy aresztowałam Alfreda Brinkleya. Za bardzo byłam spięta, za bardzo...

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Jasne. Zapytajcie pana Szczęśliwca - odparł Calvin, klepiąc palcami po rozporku piżamy i łapiąc się za przyrodzenie. - On opowie wam o wszystkim, co chcecie wiedzieć.

Moja cierpliwość się skończyła. Chwyciłam za końce kołnierza piżamy Calvina i zacisnęłam go dookoła jego szyi. Gdy wyszarpywałam go z fotela, jego ręce bezwładnie opadły na boki. Rzuciłam nim o ścianę, aż lalki pospadały z półki.

Conklin wyszedł z sypialni akurat w chwili, gdy zamierzałam raz jeszcze rzucić Calvinem o ścianę, ale udał, że niczego nie zauważył i ze spokojem oparł się o futrynę.

Mnie samą przestraszyło to, jak blisko byłam granicy niepohamowanej agresji. A szczególnie teraz nie potrzebowałam żadnej skargi na brutalność policji. Puściłam piżamę Calvina.

- Ma pan niezłą kolekcję fotografii, panie Calvin - rzucił lekkim tonem Conklin. - Dzieci bawiące się w parku Alta Plaža.

Spojrzałam na Conklina. Przecież Madison i Paola zostały porwane z ulicy tuż przed wejściem do tego parku.

- Widzieliście mój aparat fotograficzny? - zapytał bezczelnie Calvin. - Ma siedem milionów megapikseli i dwunastokrotny zoom. Robiłem te zdjęcia z odległości całego kwartału ulic. Znam zasady zwolnienia warunkowego i nie złamałem żadnej z nich.

- Pani sierżant - zwrócił się do mnie Conklin. - Na jednym ze zdjęć jest mała dziewczynka, którą może być Madison Tyler.

Zadzwoiłam do Jacobiego i przekazałam mu, że Patrick Calvin ma fotografie, którym należy się lepiej przyjrzeć.

- Potrzebujemy dwóch posterunkowych, by posiedzieli z Calvinem, gdy Conklin i ja przygotujemy nakaz przeszukania.

- Nie ma sprawy, Boxer. Wysyłam radiowóz. Ale poproszę, żeby Chi załatwił nakaz i ściągnął Calvina na oficjalne przesłuchanie.

- Przecież my możemy się tym zająć, Jacobi.

- Oczywiście, że moglibyście - odparł Jacobi - ale funkcjonariusze ochrony portów i przepraw zadzwonili, że widzieli dziecko odpowiadające rysopisowi Madison Tyler.

- Widzieli ją? Naprawdę?

- I nawet mają ją teraz u siebie.

## **Rozdział 44**

Terminal promowy Transbay przy First i Mission to rozległa wiata o betonowych słupach i pordzewiałym blaszanym dachu. Na wpeł wypalone jarzeniówki rzucały kiepskie światło na bezdomne dusze, które biwakowały w tym przerażającym miejscu, chcąc tylko skorzystać z dachu nad głową. W ciągu dnia terminal wyglądał równie kiepsko. Desperacko pragnęłam odzyskać Madison Tyler, żeby jak najszybciej mocją stąd zabrać.

Conklin i ja zbiegaliśmy po schodach na niższy poziom ponurej budowli, do ciemnej i obskurnej przestrzeni zdominowanej przez kasy biletowe i stanowisko ochrony obiektu. W środku przeszklonego z dwóch stron pawilonu siedziały dwie czarne kobiety w granatowych spodniach i bluzach z naszywkami „Ochrona” na kieszeniach. Pokazaliśmy odznaki policyjne i wpuszczono nas do środka.

Dwie betonowe ściany pawilonu pomalowano na brudny beż, a wewnątrz ustawiono dwa biurka, zupełnie niepasujące do nich szafki z szufladami oraz dwa automaty na napoje i przekąski. Pomieszczenie miało troje drzwi o dostępie kontrolowanym zamkami cyfrowymi.

W środku, za biurkiem szefa ochrony, siedziała dziewczynka o jedwabistych blond włosach opadających na kołnierzyk. Pod rozpiętym granatowym płaszczkiem miała czerwony sweter i granatowe spodnie, a na nogach czerwone lakierki.

Aż mi serce zatańczyło z radości! Znaleźliśmy ją!

O mój Boże, nic się jej nie stało!

Szef ochrony, potężny facet po czterdziestce o siwych włosach i takich samych wąsach, wstał i się przedstawił.

- Jestem Fred Zimmer - powiedział, wyciągając rękę i ściskając nasze dłonie. - Znaleźliśmy tę młodą damę jakieś piętnaście minut temu. Błąkała się bez opieki po terminalu. Nie udało nam się z nią porozmawiać.

Oparłam się rękami o kolana i popatrzyłam w twarzyczkę dziewczynki. Widać było, że płakała; nie chciała spojrzeć mi w oczy, mimo iż bardzo się o to starałam. Na policzkach miała rozmazany brud, a nos cały zasmarkany. Dolna warga była spuchnięta, na lewym policzku zauważyłam zadrapanie. Zerknęłam na Richiego. Ulgę, którą poczułam po odnalezieniu Madison żywej, przysłoniła troska o jej zdrowie i o to, przez co musiała przejść.

Wyglądała, jakby przeżyła coś wyjątkowo strasznego, więc niezwykle trudno było mi rozpoznać w jej twarzy twarz małego geniusza grającego na fortepianie, którą widziałam na nagraniu wideo.

Conklin przykucnął, by porozmawiać z dziewczynką.

- Mam na imię Richie. - Uśmiechnął się. - A ty masz na imię Maddy?

Dziecko spojrzało na Conklina, otworzyło usta i powiedziało:

- Maaa-dy.

Tę małą coś musiało potwornie przerazić, pomyślałam. Ujęłam jej drobne dłonie w swoje. Były zimne. Madison patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Zadzwońcie po ambulans - powiedziałam miękko, żeby jeszcze bardziej jej nie przestraszyć. - Tej dziewczynce coś dolega.

## Rozdział 45

Conklin i ja spacerowaliśmy nerwowo przed oddziałem ratunkowym szpitala, gdy wbiegli Tylerowie i przywitani się z nami, ściskając nas jak najbliższą rodzinę.

Czułam się jak w niebie. Jedna część tej przerażającej historii znalazła już swoje zakończenie. Miałam szczerą nadzieję, że gdy Madison zobaczy swoich rodziców, to w pełni dojdzie do siebie. Bo ja już przygotowałam sobie pytania do niej, a pierwsze z nich brzmiało: „Czy przyjrzałaś się dobrze tym ludziom, którzy cię porwali?”.

- Spała, gdy ostatnio do niej zajrzeliśmy - poinformowałam Tylerów. - Doktor Collins powiedziała przed chwilą, że wróci za jakieś dziesięć minut.

- Muszę o to zapytać - zaczęła Elizabeth Tyler cichym głosem. - Czy Maddy została skrzywdzona?

- Wygląda, jakby wiele przeżyła - odpowiedziałam mamie Madison. - Jeszcze nie przeprowadzono specjalistycznych badań, ponieważ lekarze czekali na państwa zgodę.

Elizabeth Tyler zakryła usta dłońmi, powstrzymując łzy.

- Powinna też pani wiedzieć, że ona prawie do nikogo się nie odezwała.

- Maddy tak się nie zachowuje.

- Może postraszone ją, żeby nikomu nic nie mówiła, bo zrobią jej krzywdę.

- Mój Boże! Co za potwory!

- Dlaczego porwali Maddy, a potem porzucili bez próby uzyskania okupu? - dopytywał się Tyler, gdy wchodziliśmy do pokoju.

Pozostałam to pytanie bez odpowiedzi, bo nie chciałam zdradzić swoich podejrzeń. Pedofile nie żądają okupu. Stałam z boku, żeby Tylerowie mogli podejść do ukrytego za zasłonami łóżka, i zastanawiałam się, jak bardzo Madison ucieszy się, widząc swoich rodziców.

Henry Tyler ścisnął moje ramię i wyszeptał: „Dziękuję pani”, po czym wszedł za zasłonę. Usłyszałam, jak Elizabeth Tyler wymawia imię córki - a zaraz potem przeraźliwy szloch. Odskoczyłam, gdy przebiegała obok mnie. Zaraz za nią wyszedł Henry Tyler. Stał przede mną, przysuwając swoją twarz blisko do mojej.

- Czy wy wiecie, co zrobiliście? - zapytał z wściekłością. - Ta dziewczynka to nie jest Madison! Rozumiecie? To nie jest Madison! To nie jest nasze dziecko!

#### **Rozdział 46**

Przeprosiłam Tylerów szczerze i z serca, gdy znowu na mnie naskoczyli na parkingu przed szpitalem. Potem stałam osłupiała, kiedy ich samochód ruszył z piskiem opon i przejechał obok mnie, pozostawiając ślady gumy na asfalcie. Zadzwoił mój telefon komórkowy. Jacobi.

- Właśnie dzwoniła jakaś kobieta, zgłaszając zaginięcie córki. Dziewczynka ma pięć lat i blond włosy.

Kobieta nazywała się Sylvia Brodsky i była roztrzęsiona. Zgubiła córkę, Alicie, gdy robiła zakupy. Pani Brodsky powiedziała oficerowi dyżurnemu policji, że Alicia zapewne sama się oddaliła. Dodała też, że jej córka jest dzieckiem autystycznym. Alicia Brodsky w ogóle nie potrafiła mówić.

Wkrótce po telefonie od Jacobiego Sylvia Brodsky pojawiła się w szpitalu, by odebrać córkę, ale Conklina i mnie już tam nie było. Siedzieliśmy w naszej crown victorii, omawiając ostatnie wydarzenia. Obwinałam się za zbyt wczesne wyciąganie wniosków.

- Powinnam być bardziej ostrożna, gdy mówiłam Tylerom, że „chyba znaleźliśmy państwa córkę”. Powinnam była powiedzieć, że znaleźliśmy dziewczynkę podobną do ich córki, ale nie jesteśmy tego pewni i prosimy, żeby przyjechali ją zidentyfikować. A ja, niestety, powiedziałam, że ją mamy i żeby p0 nią przyjechali. Prawda, Rich? Słyszałeś, jak z nimi rozmawiałam?

- Oni przestali cię słuchać zaraz po tym, gdy powiedziałaś, że „chyba znaleźliśmy państwa córkę”. To wszystko pasowało do siebie, Lindsay. Dziewczynka potwierdziła, że ma na imię Maddy.

- No tak, rzeczywiście tak było.

- No i te czerwone półbuty - kontynuował swój wywód Conklin. - Zastanów się, ile pięcioletnich dziewczynek o blond włosach ma granatowe płaszczyki i czerwone skórzane półbuty na nogach?

- Co najmniej dwie - odparłam, wzdychając.

Po powrocie na komendę przesłuchiwaaliśmy Calvina przez dwie godziny, przyciskając go do muru tak długo, aż wreszcie przestał się głupkowato podśmiechiwać. Przejrzeliśmy cyfrowe fotografie w jego aparacie i zbadaliśmy zdjęcia, które Conklin znalazł w jego sypialni.

Nie natrafiliśmy na zdjęcia Madison Tyler, ale aż do ostatniej klatki mieliśmy nadzieję, że Calvin mógł przypadkowo uchwycić moment porwania. I że może sfotografował czarnego minivana. Niestety, karta pamięci w jego aparacie nie zanotowała zdjęć z wczoraj.

Chciało mi się rzygać na widok Patricka Calvina i żałowałam, że nie mogę go za to aresztować. Puściliśmy go zatem wolno.

Tego dnia razem z Conklinem przesłuchaliśmy jeszcze kilku innych przestępców notowanych na tle seksualnym - trzech przeciętnie wyglądających białych mężczyzn, których nikt nigdy nie podejrzewałby o molestowanie seksualne nieletnich. Wszyscy trzej mieli niepodważalne alibi.

Odmeldowałam się z pracy około siódmej wieczorem. Emocjonalnie byłam suchym wiórem.

Weszłam do mieszkania, przytuliłam Marthę i obiecałam jej, że pójdziemy pobiegać, gdy tylko wezmę prysznic; chciałam jakoś wymazać z pamięci wszystkie odrażające obrazy z tego dnia.

Na blacie kuchennym znalazłam karteczkę z informacją od opiekunki Marthy. Przed jej przeczytaniem wyjęłam z lodówki piwo, zdjęłam kapsel i pociągnęłam długi łyk z butelki.

*Cześć, Lindsay! Nie widziałam twojego samochodu, więc wzięłam Marthę na spacer!  
® Pamiętasz, jak mówiłam ci, że moi rodzice pozwolili mi pobyć w ich domu w Hermosa Beach w czasie Bożego Narodzenia? Powinnam zabrać Marthę z sobą. Dobrze jej to robi, Lindsay!!!*

*Daj mi znać, co ty na to.*

*K.*

Zrobiło mi się niezmiernie głupio, że zostawiłam swoją suczkę samą na tak długo i nie zadzwoniłam do jej opiekunki. Karen miała rację. Ostatnio wcale nie dbałam o Marthę. W nowym grafiku miałam podwójne zmiany i pracujące weekendy. Od strzelaniny na promie nie znalazłam nawet chwili, żeby porządnie odpocząć.

Przykucnęłam, żeby pocałować Marthę, i przysunęłam się bliżej, żeby spojrzeć w jej wielkie brązowe oczy.

- Chcesz pobiegać po plaży, Boo? Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer Karen.

- Cieszę się - odpowiedziała, gdy przystałam na jej propozycję. - Przyjadę po nią jutro rano.

## **Rozdział 47**

W poniedziałek rano, pół godziny po wschodzie słońca, byłam z Conklinem na placu budowy poniżej Fort Point - wielkiego ceglanoego fortu zbudowanego na skraju półwyspu San Francisco podczas wojny secesyjnej, który obecnie znajdował się dosłownie w cieniu mostu Golden Gate.

Przez mokrą zatokową bryzę pchającą fale z białymi grzebieniami wydawało się, że jest zero stopni, a nie dziesięć, jak wskazywały termometry. Trzęsłam się zarówno z zimna, jak i z parszywego przecucia, że czeka tam na nas coś przykrego. Zasunęłam zamek ocieplonej polarem kurtki i włożyłam ręce w kieszenie. Wiatr smagał mi twarz, wciskając kropelki wody do oczu.

Podszedł do nas spawacz, który pracował przy konserwacji mostu. W rękach niósł kawę ze „śmieciarki” - tak nazywano przyczepę, w której sprzedawano jedzenie i napoje po drugiej stronie ogrodzenia placu budowy. Nazywał się Wayne Murray. Opowiedział nam, że gdy przyszedł rano do pracy, zauważył coś dziwnego na skałkach poniżej fortu.

- Najpierw myślałem, że to foka - wyjaśnił ze smutkiem w głosie. - Gdy podeszedłem bliżej, zobaczyłem, że z wody wystaje ręka. Nigdy wcześniej nie widziałem ludzkich zwłok.

Na plac budowy zaczęli wchodzić robotnicy, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Pojawili się też sanitariusze i dwóch strażników przyrody. Poprosiłam ich o ogrodzenie taśmą policyjną miejsca znalezienia zwłok.

Odwróciłam oczy i spojrzałam na ciemną bryłę na skałach poniżej betonowego muru nabrzeża - biała ręka i stopa unosiły się ponad pokrytą pianą powierzchnią wody.

- Tutaj jej nie wrzucono - zawyrokował Conklin. - Zbyt ryzykowne. Sprawcy mogliby zostać zauważeni.

Spod przymrużonych powiek obserwowałam sylwetkę funkcjonariusza ochrony mostu, przechadzającego się z półautomatycznym karabinkiem AR-15.

- Zgadzam się. Mogła zostać zrzucona z jednego z pomostów. Sprawcy zapewne myśleli, że odpływ zniesie ją na pełne morze.

- Idzie doktor G. - powiedział Conklin.

Dzisiejszego ranka nasz znajomy ekspert medycyny sądowej wydawał się całkiem wesoły. Jego mokre siwe włosy nosiły nawet ślady czesania. Miał na sobie wodery sięgające do klatki piersiowej; różowy nos do połowy skrywał się pod okularami.

Szedł przodem wraz z jednym z asystentów, my zaś podążaliśmy za nim, niezgrabnie stąpając po kamieniach pokrywających zbocze nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Musieliśmy pokonać pięć metrów do brzegu zatoki.

- Uważajcie! Ostrożnie! - ostrzegł nas doktor Germaniuk, gdy chcieliśmy podejść bliżej do ciała. - Nie chcę, żebyś ktoś wpadł do wody i przypadkowo dotknął zwłok.

Staliśmy z boku, gdy doktor G. zsuwał się po kamieniach, zbliżył się do zwłok i rozłożył swój zestaw badawczy. Następnie rozpoczął wstępne oględziny. W świetle jego latarki wyraźnie widziałam ciało. Twarz ofiary była pociemniała i opuchnięta.

- Ma pewne braki skóry - zawołał do mnie doktor G. - Jest w wodzie od paru dni. Wystarczająco długo, żeby wypłyną na powierzchnię.

- Czy ma ranę postrzałową w głowie?

- W tej chwili nie potrafię tego stwierdzić. Wygląda na to, że rzuciło ją o skały. Gdy zabierzemy ciało do laboratorium, zrobię mu zdjęcia rentgenowskie od stóp do głów.

Doktor G. obfotografował zwłoki z każdej strony.

Zwróciłam uwagę na ubranie dziewczyny - ciemny płaszcz, golf, dość krótkie, przycięte na pazia włosy, które widziałam już dwa dni temu na zdjęciu w prawie jazdy, gdy przeglądałam portfel denatki.

- Obydwoje wiemy, że to Paola Ricci - stwierdził Conklin, patrząc na ciało.



Skinęłam głową. Tylko że wczoraj spartoliliśmy, zraniliśmy Tylerów, zbyt pochopnie wyciągając wnioski.

- Jasne, ale uwierzę w to dopiero, gdy zwłoki zostaną oficjalnie zidentyfikowane.

## Rozdział 48

Claire siedziała na łóżku, gdy weszłam do sali, gdzie leżała. Wyciągnęła do mnie ramiona i przytuliłyśmy się serdecznie.

- Uważaj, kotku. Nie zapominaj, że mam dziurę w piersiach.

Odsunęłam się lekko, wycalowałam ją w oba policzki i usiadłam w fotelu obok łóżka.

- Co mówi lekarz?

- Że jestem dużą, silną dziewczyną... - Claire zaczęła kaszleć. Wyciągnęła do góry wolną rękę, jakby chciała złożyć jakąś deklarację -... i boli mnie tylko wtedy, gdy kaszlę.

- Jesteś dużą, silną dziewczyną... i co dalej?

- I wszystko będzie dobrze. Wychodzę w środę i poleżę jeszcze trochę w domu. Po rekonwalescencji będę mogła zabrać się do pracy.

- Dzięki Bogu.

- Ja dziękuję Panu Bogu, odkąd ten dupek mnie postrzelił. Nawet nie wiem, kiedy to dokładnie było. Gdy nie siedzi się w biurze, człowiek traci poczucie czasu.

To było dwa tygodnie temu, motylku. Dwa tygodnie i dwa dni.

Claire poczęstowała mnie czekoladkami. Wzięłam pierwszą z brzegu.

- Czy ty ostatnio sypiasz w bagażniku? - zapytała z przekąsem. - A może prehandlowałaś Joego na jakiegoś osiemnastoletniego młodziaka?

Nalałam wody do dwóch szklanek, do jednej włożyłam słomkę i podałam ją Claire.

- Nie prehandlowałam. Po prostu puściłam go wolno.

- Niemożliwe?! - Brwi Claire aż podskoczyły ze zdziwienia.

Opowiedziałam wszystko przyjaciółce, po raz kolejny przeżywając ze smutkiem ból rozstania. Claire patrzyła na mnie nieufnym, lecz ciepłym spojrzeniem. Zadała kilka pytań, ale głównie to ja mówiłam.

Napiłam się wody, przełknęłam ślinę i powiedziałam Claire o swoim nowym „awansie” w policji San Francisco. Była zaskoczona. Dzisiaj już po raz kolejny.

- Pozwoliłaś się wypchnąć na ulicę, kopnęłaś Joego w tyłek... i to wszystko jednocześnie? Boję się o ciebie, Lindsay. Dobrze sypiasz? Bierzesz witaminy? Jesz coś w ogóle?

Nie, nie, nie, odpowiedziałam w myśli na wszystkie pytania. Do pokoju weszła pielęgniarka z pigułkami i obiadem dla Claire.

- Proszę bardzo, pani Washburn. Leki prosto z apteki i szamka dla szamanki.

Claire połknęła pigułki i odsunęła tacę z jedzeniem, gdy tylko pielęgniarka zniknęła za drzwiami.

- Pomyje dnia - skomentowała.

Czy ja dziś w ogóle cokolwiek jadłam? - zaczęłam się zastanawiać. Zawłaszczyłam odrzucony przez Claire posiłek, wciągnęłam rozgotowaną fasolkę z klopsikami w kilka chwil i pochłonęłam lody, zanim zdążyłam powiedzieć przyjaciółce, że zidentyfikowaliśmy ciało Paoli Ricci.

- Porywacze zastrzelili Paolę tuż po porwaniu. Szybciej już się nie dało. Ale to wszystko, co mamy, motylku. Nie wiemy, kto i dlaczego to zrobił ani dokąd zabrali Madison.

- Ale dlaczego te gnojki nie zadzwoniły jeszcze do rodziców dziecka?

- To jest pytanie za milion dolarów. Minęło już za dużo czasu, żeby spodziewać się wymuszenia okupu. Nie sądzę, że chodzi im o pieniądze Tylerów.

- Cholera.

- I to jasna cholera. - Odłożyłam tacę i rozparłam się w fotelu, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

- Lindsay?

- Uważam, że zastrzelili Paolę, bo była świadkiem uprowadzenia Madison.

- To sensowne wytłumaczenie.

- Ale jeśli Madison była świadkiem morderstwa Paoli... to nie pozwolą temu dziecku zbyt długo żyć.

## **Część trzecia**

### **Liczby**

#### **Rozdział 49**

Cindy Thomas wyszła ze swojego mieszkania w Blakely Anns, przeszła na drugą stronę ulicy na skrzyżowaniu i ruszyła w kierunku oddalonej o pięć przecznic redakcji „Chronicie”.

Garry Tenning mieszkający w tym samym budynku co Cindy, tylko o dwa piętra wyżej, miał zły dzień. Wczepił się rękami w blat biurka, usiłując pohamować gniew. Na podwórzu, cztery piętra niżej, bez przerwy ujadł pies, a każde jego szczeknięcie wbijało mu się w uszy niczym igła.

Znał tego psa.

Wabił się Barnaby i był rat terierem należącym do Margery Glynn, gamoniowatej blondynki z balejażem, samotnej matki wychowującej paskudnego bachora o imieniu Oliver. Cała ta rodzinka mieszkała na parterze i traktowała podwórze jak swoje własne.

Jak zwykle w takich przypadkach Tenning wcisnął do uszu specjalne zatyczki z miękkiego wosku, które dokładnie dopasowywały się do kształtu małżowiny. Ale mimo to nadal słyszał japanie Barnaby'ego.

Wściekłe ujadanie bezmózgiego psa zepsuło mu chwile poświęcone na odpoczynek. Potarł dłoń o koszulkę na wysokości klatki piersiowej, ale mrowienie przeniosło się na usta i palce; nawet serce zaczęło dostawać palpacji. Przeklęty świat.

Czy odrobina ciszy to zbyt wiele? Czy trzeba się o to specjalnie prosić?

Na ekranie komputera podskakiwały wyświetlone linie - szósty rozdział jego książki: Liczby. Statystyczne kompendium dwudziestego wieku.

Ta książka nie była tylko fanaberią ani też jakimś drobnym projektem pisarskim. Była jego *raison d'être* i spuścizną, jaką pragnął po sobie pozostawić ludzkości. Cieszył się nawet ze wszystkich listów od wydawców, którzy odrzucali jego dzieło. Wręcz z przyjemnością wpisywał kolejne odmowy publikacji w specjalnym notatniku, a listy chował w teczce.

On będzie śmiał się ostatni, gdy w końcu Liczby zostaną opublikowane i jego książka stanie się almanachem wiedzy dla naukowców na całym świecie - i dla przyszłych pokoleń ludzkości.

Wtedy nikt nie odbierze mu uznania i chwały.

Marząc, by Barnaby przymknął wreszcie swoją jadaczkę, Tenning przesuwał wzrokiem wzdłuż szeregów liczb - śmiertelnych porażen piorunami od 1900 roku, wielkości opadów śniegu w stanie Vermont, potwierdzonych przypadków porwania krów przez tornada - gdy nagle pod budynek podjechała śmieciarka i zaczęła hałaśliwie zgniatać ładowane do niej śmieci.

Chyba zaraz pęknie mu pieprzona czaszka.

Ale przecież nie był stuknięty.

Po prostu tak na niego działał ten piekielny atak na jego zmysły. Tenning zasłonił uszy rękami, ale wciąż słyszał piski, zgrzyty i szумы - które, jakby tego było mało, obudziły Olivera.

Przeklęty bachor.

Ile już razy ten dzieciur przerwał mu pracę?

Ile razy jego tok myślowy został zaburzony przez tego zasranego, szczurowatego psa?

W piersi i w głowie Tenninga narastało ciśnienie. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, to chyba eksploduje.

Garry Tenning musiał temu zaradzić.

## Rozdział 50

Trzęsącymi się palcami Tenning szybko zawiązał swoje niezniszczalne adidas, wyszedł na korytarz, zamknął drzwi mieszkania i schował klucze do kieszeni.

Nigdy nie korzystał z windy, więc, jak zwykle, zszedł schodami do piwnicy. Minął pralnię i znalazł się w kotłowni, gdzie główny bojler pomrukiwał rurami, a niedawno zainstalowany piec huczał entuzjastyczną świeżością.

Pod ścianą leżała półmetrowa żeliwna rura z zaworem kulowym na końcu. Tenning podniósł ją z podłogi i z zadowoleniem postukał końcem rury w wolną dłoń.

Następnie odwrócił się w prawo i ruszył do góry, w stronę mrugającego światła z napisem „Wyjście”. W jego głowie, niczym serie odpalanych petard, zaczęły wybuchać mordercze myśli.

Otworzył drzwi i przez krótką chwilę stał w słońcu, obmyślając plan działania. Ruszył i skręcił za róg budynku w stronę podwórza wyłożonego na przemian kamiennymi płytami i zielnikami.

Widząc zbliżającego się Tenninga, Barnaby znowu zaczął japać. Wirywał się też do przodu, naprężając smycz, którą był przywiązany do ogrodzenia.

Obok psa stał wózek, w którym leżał Oliver Glynn. Niemowlak też wył. Myśli Tenninga rozświetlił promień nadziei. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Ściskając rurę, skradał się wzdłuż ściany budynku w stronę ujadania i wycia Wstrętnych Małych Zwierząt.

Właśnie wtedy pojawiła się Margery Glynn, z blond włosami upiętymi w kok na czubku głowy za pomocą ołówka. Pochyliła się nisko, ukazując kilkadziesiąt decymetrów kwadratowych mlecznobiałego uda, i wyciągnęła Olivera z wózka.

Tenning obserwował tę scenę z ukrycia.

Dziecko uspokoiło się natychmiast, ale ujadanie Barnaby'ego zmieniło jedynie tonację w podniecone „zatlucz mnie, zatlucz, zatlucz...”.

Margery uciszyła dziecko, podłożyła jedną rękę pod jego pupę, przycisnęła mokrą buzię malca do swoich sflaczałych piersi i wróciła do mieszkania.

Tenning zaczął zbliżać się do Barnaby'ego, który nagle przerwał wycie i polizał swoje jądra, mając zapewne nadzieję na pogłaskanie albo spacer po parku. Po chwili znów zaczął ujadać.

Tenning uniósł rurę i z całej siły ją opuścił. Barnaby zakwiczał, próbując nieudolnie chwycić zębami za rękę Tenninga, ale rura znowu uniosła się wysoko w bezchmurne niebo i opadła po raz drugi.

Szczurowaty pies zamilkł.

Spoczywaj w pieprzonym spokoju, pomyślał Tenning, gdy pakował go do worka na śmieci.

## Rozdział 51

Trzy dni minęły od uprowadzenia Madison Tyler ze Scott Street i zamordowania jej niani przed parkiem Alta Plaža.

Tego ranka siedzieliśmy w sali wydziału zabójstw: Conklin, czterech inspektorów ze zmiany nocnej na nadgodzinach, Macklin, z pół tuzina gliniarzy z wydziału śledczego i ja.

Macklin rozejrzał się po niewielkiej sali i powiedział:

- Przejdźmy do sedna i zabierzmy się do roboty. W zasadzie nie mamy nic. Nic oprócz utalentowanych śledczych, zgromadzonych w tym pokoju. Więc róbmy to, co potrafimy, czyli solidną policyjną robotę. A ci, którzy nadal się jeszcze modlą, niech dorzucą do swoich modlitw prośbę o cud.

Rozdzielił zadania, zapytał, czy są jakieś pytania - nie było żadnych. Zaszurały nogi krzeseł, wszyscy się podnieśli i ruszyli do pracy. Spojrzałam na listę perwertów, których miałam przesłuchać z Conklinem. Wstałam od biurka i przeszłam po wytartym linoleum do biura Jacobiego.

- Wejdz, Boxer.

- Jacobi, w porwaniu uczestniczyły dwie osoby. Facet, który wyszedł z minivana, i jego kierowca. To trochę dziwne, jak na pedofila. Nie sądzisz? Pedofile nie dzielą się ofiarami.

- Masz jeszcze jakieś inne pomysły, Boxer? Chętnie ich wysłucham.

- Chcę się cofnąć do punktu numer jeden. Do świadka.

Chcę porozmawiać z tą kobietą.

- Po tylu wspólnie przepracowanych latach aż trudno mi uwierzyć, że chcesz powtórnie przesłuchać osobę, którą ja pierwszy przesłuchałem - gderał Jacobi. - Poczekaj, mam tu gdzieś kopię jej zeznania.

Westchnęłam, gdy Jacobi odsunął kawę, kanapkę z jajkiem z McDonalda, gazetę i podniósł stos teczek z szarego papieru. Pogrzebał między nimi, znalazł tę, której szukał, i otworzył ją.

- Gilda Gray. Tu masz jej numer.

- Dzięki, panie poruczniku - powiedziałam i sięgnęłam po teczkę. Poczułam ucisk w dołku, jakbym się przejęczyła. Nigdy jeszcze nie zwróciłam się do Jacobiego per panie poruczniku. Miałam nadzieję, że puści to mimo uszu, ale nie. Jacobi rozpromienił się zachwycony.

Uśmiechnęłam się do niego przez ramię i wróciłam do swojego biurka stojącego naprzeciw biurka Conklina. Wykręciłam numer telefonu Gildy Gray; udało mi się ją złapać.

- Nie mogę teraz przyjść. O dziewiątej trzydzieści mam prezentację dla klienta - zaprotestowała.

- Pani Gray, porwano dziecko!

- Proszę posłuchać, w dziesięć sekund mogę pani wszystko opowiedzieć przez telefon. Wyprowadzałam psa na spacer po Divisadero. Szłam za nim, przeglądając gazetę, gdy ta dziewczynka i jej niania właśnie przechodziły przez ulicę.

- I co się wtedy wydarzyło?

- Koncentrowałam się na składaniu gazety. Wydało mi się, że usłyszałam wołanie dziecka, ale gdy podniosłam oczy, zobaczyłam jedynie kogoś w szarym płaszczu rozsuwającego drzwi minivana. I widziałam jeszcze tył płaszcza tej opiekunki, gdy wsiadała do samochodu.

- Czyli ktoś w szarym płaszczu. Dobrze. A czy widziała pani kierowcę?

- Nie. Wrzuciłam gazetę do kosza i usłyszałam, jak minivan skręca w przecznice. Potem usłyszałam głośne „pop” i zobaczyłam coś, co wyglądało na krew rozpryskującą się na tylnej szybie. To było okropne...

- A czy może mi pani coś opowiedzieć o tym mężczyźnie w szarym płaszczu?

- Jestem pewna, że był biały.

- Wysoki, niski, jakieś cechy charakterystyczne?

- Nie zwróciłam na to uwagi. Przykro mi. Zapytałam panią Gray, kiedy będzie mogła przyjść i przejrzeć zdjęcia, które mamy, ale ona odpowiedziała pytaniem:

- A macie zdjęcia tyłów głów ludzi? Podziękowałam jej i odłożyłam słuchawkę.

Przez chwilę wpatrywałam się w jasnobrązowe oczy Conklina.

- Więc znowu wyruszamy w odwiedziny do perwertów? - zapytał.

- Tak, Rich. Weź kawę.

## Rozdział 52

Kenneth Klassen mył właśnie swojego srebrnego jaguara, gdy parkowaliśmy na pochyłości wzgórza przed jego domem w Vallejo.

Był białym mężczyzną w wieku czterdziestu ośmiu lat, mającym prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Jeśli chodzi o urodę, mieścił się gdzieś pomiędzy przeciętnym a przystojnym reżyserem filmów porno, który udoskonalił swój wygląd, jak tylko mógł. Miał pofalowane włosy, chirurgicznie poprawiony nos, szkła kontaktowe w kolorze morskiej wody i licówki na zębach.

Według akt policyjnych Klassen został ujęty, gdy na internetowym czacie umawiał się na randkę z dwunastoletnią dziewczynką, która okazała się czterdziestoletnim gliniarzem zakładającym pułapki na zbrojeńców.

Klassen poszedł z prokuratorem okręgowym na ugodę. W zamian za wystawienie producenta filmów z dziecięcą pornografią dostał nadzór kuratorski i wysoką grzywnę. Nadal jednak pracował w porno-biznesie, produkując filmy dla dorosłych, co było już całkowicie legalne.

Wyraz zachwytu pojawił się na jego twarzy, gdy zobaczył, że wysiadamy z naszej crown victorii i podchodzimy do niego.

- No proszę, całkiem nieźle - mruknął na powitanie. Zlustrował nas z góry na dół, jakby przeprowadzał casting do filmu.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy się przedstawiliśmy.

- Panie Klassen - zaczęłam, pokazując odznakę. - Jestem sierżant Boxer, a to jest inspektor Conklin. Mamy do pana kilka pytań. Możemy wejść do środka?

- Niech pani wchodzi, gdzie tylko się pani podoba, pani sierżant. - Klassen uśmiechnął się znacząco, trzymając na wysokości piersi końcówkę węża z przypominającym pistolet zaworem wodnym gotowym do „strzału”.

- Zamknij się, dupku! - rzucił całkiem łagodnie Conklin.

- To tylko żart - wyjaśnił Klassen, szczerząc zęby. - Lubię się powyglupiać. Proszę do środka.

Weszliśmy za Klassenem po schodach, przez dębowe drzwi do frontowego holu i dalej przez wspólnie umeblowany salon do ogrodu zimowego przylegającego do kuchni. Oranżeria była pełna paproci, gardenii i olbrzymich donic z kaktusami.

Klassen wskazał na podwieszane na łańcuchach do belek stropowych wiklinowe fotele kubelkowe i poprosił, żebyśmy usiedli. U wejścia do oranżerii pojawił się Chińczyk o nieustalonym wieku, skrzyżował dłonie na piersiach i czekał.

- Czy pan Wu może państwu czymś służyć? - zapytał Klassen.

- Nie, dziękujemy - odparłam.

- A zatem co państwa sprowadza w moje niskie progi w ten niezwykły poranek?

Balansując na krawędzi kubelkowego fotela, wyciągnęłam notatnik, a Conklin w tym czasie spacerował po oranżerii, przyglądając się rzeźbom o tematyce erotycznej i przesuwając niektóre donice o kilka centymetrów w tę i tamtą stronę.

- Niech się pan czuje jak u siebie w domu - zawołał za nim Klassen.

Gdzie był pan w sobotę rano? - zapytałam.

- W sobotę? - powtórzył, rozpierając się w fotelu i głaszcząc po włosach. Wyglądał, jakby wspominał jakiś szczególnie słodki sen, który przyśnił mu się w sobotni poranek. - Kręciliśmy Księżycowe Mambo. Tutaj, w moim domu. Obecnie reżyseruję serię dwudziestominutowych filmów, które nazwałem „sypialnianymi krótkometrażówkami”. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- To świetnie. Chciałabym prosić o nazwiska i telefony wszystkich osób, które mogą potwierdzić pana obecność tutaj.

- Czy jestem o coś podejrzany, pani sierżant?

- Powiedzmy raczej, że uważamy pana za osobę, którą „należy brać pod uwagę”.

Klassen łypnął na mnie okiem, jakbym powiedziała mu jakiś komplement.

- Ma pani cudowną skórę. Nie wydaje pani ani grosza na makijaż, prawda?

- Panie Klassen, niech mnie pan przestanie zaczepiać. Proszę o nazwiska i telefony.

- Zaraz je pani wydrukuję.

- Dziękuję. Czy widział pan to dziecko? - zapytałam, pokazując mu zdjęcie Madison Tyler, które nosiłam przez ostatnie trzy dni w kieszeni kurtki. Nie mogłam znieść, że oślizgłe gały Klassena będą wpatrywały się w cudowną twarz Madison.

- To córka tego gazeciarza, co? Widziałem ją w wiadomościach - przyznał Klassen, prawie oślepiając mnie śnieżnobiałymi licówkami na zębach. - Ułatwię nam wszystkim życie, dobrze? Chodźcie ze mną.



## Rozdział 53

Winda w spizarni Klassena miała wielkość podwójnie szerokiej trumny z sękowatego drewna sosnowego. Kiedy Conklin, Klassen i ja wcisnęliśmy się do niej, spojrzalam w miejsce, gdzie zwykle wyświetla się informacja o piętrze, ale zobaczyłam tylko cyfry „zero” i „trzy” - między nimi nie było przystanków.

Drzwi kabiny otworzyły się na najwyższym piętrze na studio filmowe dwanaście na piętnaście metrów, wypełnione meblami, reflektorami, zwiniętymi dywanami i malowanymi dekoracjami opartymi o ściany. W rogu stała konsola do montażu z zestawem komputerowym najwyższej klasy. Sala była otwartą przestrzenią, ale mimo to rozejrzałam się uważnie w poszukiwaniu śladów dziecka.

- W obecnych czasach wszystko jest obrabiane cyfrowo - oświadczył Klassen. Usiadł okrakiem na taborecie przed płaskim monitorem. - Filmujemy, wprowadzamy do komputera i robimy montaż w jednym pomieszczeniu. - Włączył odtwarzacz, poruszył myszką i kliknął na ikonkę z podpisem Księżycowe Mambo. - To surowa wersja tego, co kręciliśmy w sobotę. To moje cyfrowo datowane alibi, ale i tak go nie potrzebuję. Zaczęliśmy zdjęcia o siódmej i pracowaliśmy przez cały dzień.

Z głośników komputera popłynęła latynoska muzyka, a na monitorze pojawił się obraz - młoda, ciemnowłosa kobieta ubrana w wyjątkowo skąpy strój, oświetlona jedynie światłem świec. Kamera w panoramicznym ujęciu pokazywała sypialnię - obecnie rozbieraną na kawałki - i zatrzymała się na łóżku, na którym pieścił się Klassen, wydając z siebie ckiwe jęki, podczas gdy kobieta robiła przed nim striptiz.

- O rany - mruknęłam.

Conklin stanął między mną a monitorem.

- Wezmę kopię tego filmu - oświadczył.

- Sprezentuję ją panu z wielką przyjemnością. - Klassen wyjął płytę CD ze stacji komputera, włożył ją do czerwonej plastikowej okładki i wręczył Conklinowi.

- Czy w tym komputerze ma pan jakieś zdjęcia albo filmy z pornografią dziecięcą?

- Absolutnie nie! Nie interesuje mnie pornografia dziecięca - naburmuszył się Klassen.

- Poza tym byłoby to pogwałcenie warunków zawieszenia, więc ja się w to nie bawię.

- Taaa, to świetnie - skomentował ironicznie Conklin. - Chciałbym zatem szybko przelecieć przez zasoby plików na pana komputerze, a pani sierżant obejrzy sobie pana dom.

- To piękne miejsce, panie Klassen. Podoba mi się, jak pan je urządził.

- A jeśli powiem, że to nie jest okay?

- Będziemy zmuszeni zabrać pana na oficjalne przesłuchanie i załatwimy nakaz rewizji - poinformował go Conklin. - Zatrzymamy też pana komputer do analizy i przeszukamy cały dom z psami.

- Proszę, niech się pani czuje jak u siebie, tam są schody. Zostawiłam Conklina i Klassen przy komputerowej konsoli i zesłam schodami na sam dół, zaglądam po drodze do każdego pokoju, otwierając każde drzwi, sprawdzając wszystkie garderoby i schowki i nasłuchując z nadzieją, że znajdę małą dziewczynkę.

Pan Wu zmieniał pościel w sypialni na pierwszym piętrze. Pokazałam mu odznakę policyjną i zdjęcie Madison Tyler.

- Czy widział pan tę dziewczynkę? Zdecydowanie pokręcił głową.

- Tu nie być dzieci. Pan Klassen nie lubić dzieci. Żadne dzieci w domu!

Dziesięć minut później oddychałam już zimnym powietrzem. Po chwili dołączył do mnie Conklin, zamykając za sobą ciężkie dębowe drzwi.

- Niezły ubaw - przyznałam.

- I tak sprawdzimy jego alibi - stwierdził Conklin, składając kartkę z listą nazwisk i wsuwając ją do notatnika.

- Rich, czy sądzisz, że ten facet jest w porządku?

- Sądzę, że on drży z podniecenia na widok wszystkiego, co się rusza i nie ucieka na drzewo.

Klassen pojawił się na podjeździe, gdy ładowałam się z Conklinem do naszego nieoznakowanego radiowozu. Podniósł rękę, jeszcze raz się uśmiechnął, pokazując cały garnitur zębów, i zawołał za nami: „Pa, pa!”.

Pogwizdując, zaczął polerować bagażnik swojego jaguara, podczas gdy my odjeżdżaliśmy naszym skromnym fordem.

## **Rozdział 54**

Siedziałam naprzeciwko Conklina w sali wydziału zabójstw. Obok mojego aparatu telefonicznego leżał stos kartek z informacjami od różnych ludzi, którzy widzieli Madison Tyler wszędzie - od Ghirardelli Square po Osakę w Japonii. Przede mną spoczywał raport doktora Germaniuka z sekcji zwłok Paoli Ricci. Przyczyna śmierci: postrzał w głowę. Sposób zadania śmierci: zabójstwo.

Doktor G. przykleił do raportu żółtą karteczkę samoprzylepną. Odczytałam na głos jej treść:

Sierżant Boxer, ubranie zostało przekazane do laboratorium kryminalistycznego. Przeprowadziłem pełną obdukcję, żeby móc powiedzieć, że się starałem, ale proszę nie liczyć na jakieś spektakularne efekty, bo ciało przez długi czas było zanurzone w wodzie. Ud. Kuła weszła i wyszła. Brak pocisku.

Pozdrawiam H.G.

Mamy martwą dziewczynę i jesteśmy w ślepych zaułku - Podsumował Conklin, przeczesując palcami włosy. - Porywacze nie mają problemów z zabijaniem. I to mniej więcej wszystko, co do tej pory wiemy.

- Więc czego nam brakuje? Mamy niepełną relację z miejsca porwania od świadka, który nie podał nam ani rysopisów porywaczy, ani nawet marki samochodu. Nie mamy numerów rejestracyjnych ani żadnych materialnych dowodów z miejsca porwania, żadnych niedopałków papierosów, żadnej gumy do żucia, żadnej łuski po naboju. Ani nawet żadnego pieprzonego listu z żądaniem okupu!

Conklin rozparł się na krześle, odchylił głowę i powiedział w sufit:

- Porywacze byli tylko od brudnej roboty, nie zachowywali się jak perwercci seksualni. Zastrzelenie Paoli w chwilę po porwaniu dokładnie o tym świadczy.

- To nawet wygląda tak, jakby strzelec był najarany. Jakby jechał na ostrej herze. Jakby tylko wykonywał zlecenie jakichś zbrojczyków. A Paola była jedynie dodatkowym bagażem, więc ją skreślili. Albo też zaczęła stawiać opór i ktoś spanikował - wnioskowałam dalej. - Wiesz, Richie, że masz rację? Absolutną rację.

Jego krzesło zaskrzypiało, gdy wrócił do pionu.

- Musimy totalnie zmienić sposób prowadzenia tego śledztwa. Musimy zacząć od Paoli Ricci i wyjaśnić jej tajemnicę - zaproponowałam, kładąc rękę na raporcie z sekcji zwłok. - Może dzięki temu uda nam się dotrzeć do Madison.

Conklin wybierał właśnie numer telefonu konsulatu Włoch, gdy Brenda przekreśliła się na krześle w moją stronę. Przykrywała słuchawkę dłonią.

- Lindsay, mam rozmówcę na czwartej linii, który nie chce się przedstawić. Ma... przerażający głos. Poprosiłam o namierzenie.

Skinęłam głową, a tętno podskoczyło mi o kilka kresiek.

Nacisnęłam guzik przejęcia rozmowy na aparacie telefonicznym.

- Mówi sierżant Boxer.

- Powiem to tylko raz - oświadczył cyfrowo zmieniony głos, który brzmiał jak żaba rechocząca spod folii z bąbelkami. Dałam znak Conklinowi, żeby zaczął podsłuchiwać rozmowę ze swojego aparatu.

- Kto mówi? - zapytałam.

- Nieważne - odpowiedział głos. - Madison Tyler ma się dobrze.

- Skąd pan to wie?

- Powiedz coś, Maddy.

Na linii pojawił się inny głos, lekko chropawy, młody, łamiący się.

- Mamusia? Mamusia?

- Madison?

Wróciło rechotanie żaby.

- Powiedz jej rodzicom, że popełnili wielki błąd, dzwoniąc na policję. Odwołajcie psy, bo inaczej zrobimy Madison krzywdę. Na zawsze. Jeśli się wycofacie, będzie cała i zdrowa, ale bez względu na to, co się stanie, Tylerowie już nigdy nie zobaczą swojej córki.

Rozmówca się rozłączył.

- Halo?! Halo?!

Stukałam w widelki, aż usłyszałam ciągły sygnał. Dopiero wtedy walnęłam słuchawką.

- Brenda, dzwoń do centrali telefonicznej!

- Co to niby miało znaczyć? „Popełnili wielki błąd, dzwoniąc na policję”?! - wykrzyczał Conklin. - Lindsay, czy głos tej dziewczynki to głos Madison?

- Jezu Chryste, nie wiem! Skąd mam wiedzieć?

O co tu, do jasnej cholery, chodzi? - Zdenerwowany Conklin rzucił książką telefoniczną o ścianę. Poczułam mdłości, wszystko mnie bolało.

Czy Madison naprawdę była zdrowa?

Co to znaczyło, że jej rodzice nie powinni byli dzwonić na policję? Czyżby doszło do zażądania okupu albo do rozmowy telefonicznej, o której nic nie wiedzieliśmy?

Wszyscy w sali patrzyli na mnie, nawet Jacobi podszedł do mojego biurka i stanął tak blisko mnie, że aż czułam na karku jego oddech. Oddzwoniono z centrali telefonicznej z wynikami namierzania.

Rozmówca użył niezarejestrowanego telefonu komórkowego, więc nie udało się namierzyć, skąd dzwonił.

- Głos został zmieniony - powiedziałałam Jacobiemu. -■ Wyślę nagranie do laboratorium.

- Zanim to zrobisz, niech przesłuchają je rodzice. Może zidentyfikują głos dziecka.

- To może być jakiś psychol bawiący się z nami w kotka i myszkę - stwierdził Conklin, gdy Jacobi wrócił do siebie.

- Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Bo nie mamy zamiaru „odwołać psów”. Nawet nie bierzemy pod uwagę takiej możliwości.

Wolałam im nie mówić, co wtedy myślałam. Że równie dobrze mogliśmy przed chwilą usłyszeć ostatnie słowa Madison Tyler.

## Rozdział 55

Brenda Fregosi była asystentką w wydziale zabójstw od ładnych kilku lat i choć liczyła sobie zaledwie dwadzieścia pięć wiosen, opiekowała się wszystkimi oficerami śledczymi niczym kokoszka swoimi pisklętami.

Po zakończeniu rozmowy telefonicznej z Henrym Tylerem, podczas której współczująco kiwała głową, podała mi karteczkę z wiadomością: „Claire prosi, żebyś przyszła dziś do szpitala o szóstej wieczorem”.

Była prawie szósta.

- Jaki miała głos? - zapytałam.

- Moim zdaniem zupełnie zdrowy.

- Czy to wszystko, co powiedziała?

- Powiedziała dokładnie tak: „Brenda, powiedz, proszę, Lindsay, żeby przyszła dziś do szpitala o szóstej. Dzięki”.

Przecież widziałam się z Claire wczoraj. Czyżby coś się stało?

Pojechałam do szpitala miejskiego, nękana okropnymi podejrzeniami. Claire opowiadała mi kiedyś o chemii mózgu; sednem tej historii było to, że gdy człowiek czuje się świetnie, to nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest czuć się podle. A gdy człowiek czuje się źle, to z kolei nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest nie tkwić po uszy w bagnie. Ssąc miętówki, przez cały czas słyszałam w głowie płaczliwy głos dziewczynki: „Mamusiu”. Na to wszystko nakładała się moja awersja do szpitali, którą miałam od czasu, gdy około piętnastu lat temu w jednym z nich zmarła moja matka.

Zaparkowałam na parkingu szpitalnym przy Pine Street, myśląc o tym, jak dobrze byłoby pogadać sobie z Joem właśnie wtedy, gdy człowiek kiepsko się czuje i jest sfrustrowany nieustannym trafianiem w ślepe zaułki.

Moje myśli wróciły do Claire, gdy tylko weszłam do windy. Spojrzałam na swoje odbicie w polerowanych stalowych drzwiach. Bezskutecznie starałam się nastroszyć grzywkę podczas jazdy do góry, wreszcie kabina zatrzymała się i wyszłam w anty-septyczny smród i zimne białe światło oddziału pooperacyjnego.

Nie byłam pierwsza. Yuki i Cindy już przysunęły się na krzesłach do łóżka. Claire siedziała wyprostowana, miała na sobie nocną koszulę w kwiaty, a na twarzy uśmiech Mony Lisy.

Zebrał się cały Kobięcy Klub Zbrodni - ale po co?

- Cześć wszystkim! - zawołałam, przechodząc wokół łóżka i całując wszystkie po kolei w policzki. - Wyglądasz doskonale - skomentowałam Claire z ulgą, że nie zastałam jej podłączonej do aparatury podtrzymującej czynności życiowe. - Z jakiej okazji to spotkanie?

- Nie chciała nam nic powiedzieć, dopóki ty się nie pojawisz - westchnęła Yuki.

- No dobrze, już dobrze - zaczęła Claire. - Mam wielką nowinę.

- Jesteś w ciąży?! - wypaliła z grubej rury Cindy. Claire wybuchnęła śmiechem, a my popatrzyłyśmy na Cindy z niedowierzaniem.

- Chyba zwariowałaś, pokręcona reporterko - skomentowałam. Przecież dziecko byłoby ostatnią rzeczą, jakiej Claire mogłaby chcieć w wieku czterdziestu trzech lat, mając już dwóch prawie dorosłych synów.

- Daj nam jakąś odpowiedź - prosiła Yuki. - Chociaż jakąś dziedzinę.

- Hej, dziewczyny! Chcecie popsuć mi całą niespodziankę - odpowiedziała Claire, śmiejąc się radośnie.

Cindy, Yuki i ja zwróciłyśmy się w jej stronę i zamarłyśmy w oczekiwaniu.

- Zrobiono mi wiele testów krwi... - Claire zawiesiła głos. - I jak zwykle lalunia Cindy ma rację!

- Ha! - wykrzyknęła Cindy.

- Gdybym nie była w szpitalu, to prawdopodobnie nie dowiedziałabym się, że jestem w ciąży, dopóki nie zaczęłyby się skurcze porodowe.

Teraz wszystkie zaczęłyśmy przekrzykiwać się nawzajem:

- Co powiedziałaś?! Nie robisz nas w konia?! W którym miesiącu jesteś?!

- USG pokazało, że moje małe ma się świetnie - odpowiedziała Claire, pogodna jak Budda. - Moje cudowne dziecko!

## Rozdział 56

Musiałam zrezygnować z dalszych celebracji, bo byłam już prawie spóźniona na spotkanie z Tracchiam w komendzie. Gdy wchodziłam do jego biura, komendant usadzał

właśnie Tylerów w skórzanych fotelach, a Jacobi, Conklin i Macklin przysuwali sobie krzesła w okolicie wielkiego jak lotniskowiec biurka szefa policji.

Tylerowie wyglądali tak, jakby spali na stojąco przez ostatnie osiemdziesiąt cztery godziny. Mieli szare twarze i opuszczone ramiona. Zdawałam sobie sprawę, że są boleśnie zawieszani pomiędzy nadzieją a rozpaczą, czekając na przesłuchanie taśmy.

Magnetofon leżał na biurku Tracchia. Pochyliłam się, nacisnęłam klawisz odtwarzania i rozległ się przerażający głos potwora na przemian z moim. Potem usłyszeliśmy głos dziewczynki: „Mamusia?! Mamusia?!”.

Nacisnęłam klawisz „stop”. Elizabeth Tyler wyciągnęła rozpaczliwie rękę w stronę magnetofonu, po czym odwróciła się w stronę męża, złapała go za ramię, ukryła twarz w jego płaszczu i zaczęła łkać.

- Czy to jest głos Madison? - zapytał Tracchio.

- Tak - odpowiedzieli równocześnie Tylerowie.

- Reszta nagrania może być dla państwa jeszcze trudniejsza do zniesienia. Ale jesteśmy pełni nadziei. Gdy ta rozmowa była przeprowadzana, państwa córka żyła.

Jeszcze raz nacisnęłam klawisz „play” i zaczęłam obserwować twarze Tylerów, gdy słuchali, jak porywacz mówi, że Madison jest cała i zdrowa, ale że nikt już jej nigdy nie zobaczy.

- Czy wiedzą państwo, dlaczego porywacz powiedział: zrobili duży błąd, dzwoniąc na policję”? - zapytałam.

- Nie mamy pojęcia - odparł Henry Tyler. - Dlaczego mieliby czuć się zagrożeni? Przecież nic nie macie. Nie macie nawet podejrzanego. Gdzie jest FBI? Dlaczego oni nie próbują znaleźć Madison?

- Współpracujemy z FBI. Korzystamy z ich źródeł i baz danych, ale FBI nie włączy się aktywnie do śledztwa, dopóki nie będziemy przekonani, że Madison została wywieziona poza granice stanu - wyjaśnił Macklin.

- Więc im powiedzcie, że została wywieziona!

- Panie Tyler, nasze pytanie brzmi: czy porywacze kontaktowali się z państwem i mówili, że nie należy wzywać policji? Czy coś takiego się zdarzyło?

- Nie - odpowiedziała Elizabeth Tyler. - Henry? Czy dzwonił do ciebie do biura?

- Absolutnie nie. Przysięgam.

Gdy patrzyłam na Tylerów, przyszła mi na myśl Paola Ricci.

- Wspomnieli państwo, że Paola Ricci otrzymała bardzo dobre rekomendacje. Kto ją państwu polecił?

- Paola została do nas skierowana bezpośrednio z biura pośrednictwa opiekunek do dzieci - odparła Elizabeth Tyler.

- A co to za biuro? - zapytał Macklin.

- To agencja pracy - wyjaśniła. - Sprawdzają, sponsorują, szkolą dobrze wychowane i wykształcone dziewczyny z zagranicy. Sporządzają odpowiednią dokumentację i szukają im pracy. Paola miała doskonale referencje z tej agencji i z Włoch. Była bardzo poukładaną młodą kobietą. Uwielbialiśmy ją.

- Czy ta agencja dostaje honorarium od klientów? - dopytywał się Jacobi.

- Tak. Zapłaciliśmy im osiemnaście tysięcy dolarów. Gdy wymienili tę sumę, poczułam mrowienie na karku i coś w rodzaju uderzenia w żołądek.

- Jak nazywa się ta firma? - zapytałam.

- Westbury. Nie, Westwood Registry - odpowiedział Henry Tyler. - Będziecie się z nimi kontaktować?

- Tak. I prosimy, żeby nikomu państwo nie opowiadali o tej nagranej rozmowie telefonicznej - ostrzegł Tylerów Jacobi. - Po prostu udajcie się teraz do domu. Miejcie telefon pod ręką. I pozostawcie nam sprawę Westwood Registry.

- Będziecie tam dzwonić? - zapytał ponownie Henry Tyler.

- Nie tylko dzwonić. Przeprowadzimy na nich desant.

## **Rozdział 57**

Cindy rozmawiała przez telefon z Yuki, wkładając jednocześnie brudne naczynia do zmywarki.

- On jest aż za bardzo śmieszny - powiedziała Cindy o Whicie Ewingu, przystojnym reporterze z „Chicago Tribune”, którego poznała jakiś miesiąc wcześniej w sądzie podczas procesu szpitala okręgowego.

- To ten facet w okularach, tak? Ten, który poderwał na nogi całą salę rozpraw, wychodząc przez wyjście bezpieczeństwa? I uruchomił alarm? - chichotała Yuki, przypominając sobie wydarzenia z sądu.

- Ten sam. Wiesz... on nawet potrafi żartować z samego siebie. Whit twierdzi, że jest młodszym kujonowatym bratem Clarka Kenta - śmiała się Cindy. - Straszy mnie, że przyleci do San Francisco i zaprosi mnie na kolację. Nawet stara się o oddelegowanie go do monitorowania sprawy Brinkleya.



- Chwileczkę - wtrąciła Yuki. - Chyba nie chcesz popełnić tego samego błędu co Lindsay? Przecież Whit mieszka w Chicago. Po co zaczynać związek na odległość, skoro i tak takie relacje są z góry skazane na niepowodzenie?

- Tak sobie myślę, że... minęło już trochę czasu, odkąd miałam... hm... trochę radości z życia.

- Niestety, u mnie też dawno nic się nie działo - Westchnęła Yuki. - I nie tylko nie pamiętam, kiedy to było, ale nawet nie pamiętam z kim!

Cindy zarechotała, a Yuki poprosiła, aby się jeszcze nie rozłączała, bo musiała odebrać rozmowę na drugiej linii. Gdy ją zakończyła, powiedziała do Cindy:

- Słuchaj, laluniu reporterko, Rudy Pies mnie wzywa Muszę spadać.

- No dobra, jedź - westchnęła Cindy. - Do zobaczenia w sądzie.

Cindy odłożyła słuchawkę i włączyła zmywarkę. Zawiązała worek ze śmieciami, wyszła na korytarz i nacisnęła guzik windy. Gdy kabina zatrzymała się i drzwi się otworzyły, Cindy sprawdziła najpierw, czy przypadkiem nikogo tam nie ma, i dopiero wtedy weszła do środka.

Myślała o Whicie Ewingu, o Lindsay i Joem, i o tym, że już z samej definicji związku na odległość były jak jazda rollercoasterem w lunaparku. Na początku jest ekstra, ale potem zaczyna robić się niedobrze.

Teraz doszedł jej jeszcze jeden powód, żeby mieć chłopaka z tego samego miasta - dokuczliwe mieszkanie w samotności w tej kamienicy. Nacisnęła „-1” i świeżo pomalowana kabina starej windy zaczęła zjeżdżać do piwnicy. Minutę później Cindy wkroczyła do przesiąkniętych wilgocią wnętrzności budynku.

Idąc w stronę komory śmieciowej, usłyszała odbijający się echem płacz kobiety, któremu wtórował wrzask niemowlęcia. Skręciła za róg i zobaczyła kobietę, mniej więcej w swoim wieku, trzymającą w ramionach dziecko. U jej stóp leżał otwarty czarny worek na śmieci.

- Co się stało? - zapytała Cindy.

- Mój pies - szlochała kobieta. - Niech pani spojrzy! - Rozchyliła brzegi torby, żeby Cindy mogła zobaczyć zakrwawionego białego pieska w czarne łaty. - Zostawiłam go na kilka minut na zewnątrz, żeby zabrać dziecko do środka. O mój Boże!... Zgłosiłam na policję, że ktoś go ukradł, ale niech pani zobaczy. Ktoś z mieszkańców musiał to zrobić. Ktoś, kto tu mieszka, zabił Barnaby'ego!

Była środa, ósma trzydzieści rano, cztery dni po uprowadzeniu Madison Tyler. Conklin i ja siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym na placu budowy pomiędzy Waverly i Clay, gorąca kawa parowała na szyby, a my obserwowaliśmy ruch wokół zaparkowanych w dwóch rzędach furgonetek dostawczych i strumienie pieszych wciskające się w wąskie i ponure uliczki Chinatown.

Skoncentrowałam się głównie na jednym budynku - dwupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły w połowie kwartału w stronę Waverly. Na parterze mieściła się chińska apteka, a piętra wynajmowano firmie Westwood Registry.

Miałam przeczucie, że właśnie w tym budynku znajdziemy choćby część odpowiedzi na nasze pytania i będziemy mieli jakieś ogniwo łączące Paolę Ricci z porwaniem.

O ósmej trzydzieści pięć otworzyły się drzwi. Z kamienicy wyszła kobieta i odstawiła worek ze śmieciami na chodnik obok krawężnika.

- No to do roboty - rzucił Conklin.

Przeszliśmy przez ulicę i zatrzymaliśmy kobietę, zanim zniknęła w środku. Pokazaliśmy odznaki.

Była biała, szczupła, po trzydziestce, miała ciemne włosy opadające na ramiona; jej urodę przyćmiewało jedynie zmartwienie malujące się na twarzy.

- Zastanawiałam się właśnie, kiedy zawita do nas policja - powiedziała, trzymając rękę na gałce do drzwi. - Właściciele wyjechali za miasto. Czy mogą państwo odwiedzić nas w piątek?

- Oczywiście - odpowiedział Conklin - ale mamy kilka pytań, które chcielibyśmy zadać teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Brenda, nasza asystentka, mdleje na widok Conklina i twierdzi, że jest on „magnesem na kobiety”. Ma rację. Na dodatek Conklin wcale nad tym nie pracuje. Po prostu tak ma - męski styl i seksowny wygląd.

Ciemnowłosa kobieta zawahała się, spojrzała na Conklina, ale w końcu otworzyła szerzej drzwi.

- Nazywam się Mary Jordan. Jestem kierowniczką biura, księgową, sekretarką i wszystkim innym związanym z pracą administracyjną. Zapraszam do środka.

Uśmiechnęłam się do Conklina, gdy szliśmy korytarzem za panią Jordan do jej biura. Był to mały pokój; biurko ustawiono pod kątem, w stronę drzwi, stały przed nim dwa obite skórą krzesła. Nad biurkiem wisiało oprawione zdjęcie przedstawiające Jordan otoczoną wianuszkiem młodych kobiet, prawdopodobnie opiekunek do dzieci.

Zauważyłam i zapamiętałam zdenerwowanie Jordan. Przygryzała dolną wargę, wstała, poprawiła trzy segregatory w szafce na akta, usiadła, chwyciła za pasek zegarka, bawiła się ołówkiem. Patrząc na nią, zbierało mi się na mdłości.

- Czy ma pani jakieś własne przemyślenia dotyczące uprowadzenia Paoli i Madison? - zapytałam.

- Jestem w strasznym kłopotcie - odpowiedziała Jordan, Potrząsając głową. Ciągnęła swoją opowieść, robiąc jedynie krótkie przerwy na nabranie oddechu. Powiedziała nam, że była jedyną pełnoetatową pracowniczką agencji. Oprócz niej pracowały tu dwie wykładowczynie, zatrudniane na zlecenie. Poza współwłaścicielem, pięćdziesięcioletnim białym mężczyzną, żaden inny mężczyzna nie pracował dla agencji i z pewnością nie było w niej żadnych minivanów - czarnych lub jakichkolwiek innych.

Właścicielami Westwood Registry było małżeństwo Paula i Laury Renfrew, jak poinformowała nas Jordan. W chwili obecnej Paul odwiedzał potencjalnych klientów w północnej części San Francisco, a Laura wyjechała na rekrutację do Europy. Opuścili miasto przed uprowadzeniem.

- Państwo Renfrew to mili ludzie - zapewniła nas Jordan.

- A jak długo pani ich zna?

- Zaczęłam u nich pracować, zanim przeprowadzili się tutaj z Bostonu, około ośmiu miesięcy temu. Do tej pory nie pokryły się jeszcze koszty ich inwestycji - kontynuowała Jordan. - A teraz, po zamordowaniu Paoli i zaginięciu Madison Tyler... To nie jest dobra reklama dla firmy, prawda?

Do oczu Mary Jordan napłynęły łzy. Wyciągnęła różową chusteczkę do nosa z pudełka na biurku i wytarła twarz.

- Pani Jordan - zaczęłam, pochylając się nad jej biurkiem. - Widzę, że coś panią gryzie. Co to jest?

- Nie, nic... Wszystko w porządku.

- Gucio prawda.

- Ja po prostu uwielbiałam Paolę. To ja poleciłam ją Tylerom. Ja. Gdyby nie ja, Paola by żyła!

## Rozdział 59

- Państwo Renfrew mają mieszkanie tam, na końcu korytarza - powiedziała Jordan, prowadząc nas po piętrze administracyjnym. Wskazała pomalowane na zielono drzwi zamknięte na kłódkę.

- Po co ta kłódka? - zdziwiłam się.

- Używają jej tylko wtedy, gdy obydwójce wyjeżdżają - wyjaśniła Jordan. - To praktyczne rozwiązanie. Przynajmniej dziewczęta nie płaczą się tam, gdzie ich nikt nie zaprasza.

Z góry doszedł nas odgłos kroków.

- Salonik do wspólnego użytku jest tutaj, pokój konferencyjny znajduje się po prawej stronie, a stacja na górze - powiedziała, wskazując oczami na schody. - Dziewczęta mieszkają tutaj, dopóki nie ulokujemy ich w rodzinach. Ja także tu mieszkam.

- Ile dziewcząt przebywa tu obecnie? - zapytałam.

- Cztery. Wraz z Laurą najprawdopodobniej pojawią się jeszcze cztery.

Resztę ranka spędziłam z Conklinem, przesłuchując dziewczęta w pokoju konferencyjnym. Ich wiek wahał się od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat, wszystkie były Europejkami, a ich angielski był na poziomie od dobrego do doskonałego. Żadna z nich nie miała podejrzeń wobec państwa Renfrew lub Paoli Ricci, a tym bardziej nie życzyła im niczego złego.

- Gdy Paola tutaj mieszkała, modliła się codziennie na kolanach - mówiła z naciskiem dziewczyna o imieniu Luisa. - Była dziewicą!

Kiedy zakończyliśmy przesłuchiwać dziewczęta i wróciliśmy do biura, zapytaliśmy Jordan, czy może ona miała jakieś przemyślenia odnośnie do porywaczy Paoli i Madison. Niestety, bezradnie wzruszyła ramionami. Gdy odbierała telefon, Conklin nachylił się do mnie i zapytał:

- Czy chcesz, żebym rozwalił tę kłódkę?

- A czy chcesz kontynuować karierę w firmie sprzątajacej miasto?

- To może być tego warte.

- Chyba śnisz - odparłam. - Nawet gdybyśmy mieli jakikolwiek prawdopodobny powód do takiego działania, to i tak Madison Tyler tam nie ma. Administracyjna coś by wyśpiewała.

Gdy wychodziliśmy i byliśmy już na schodach zewnętrznych, wybiegła za nami Mary Jordan i złapała Conklina za ramię.

- Biłam się z myślami, czy państwu to powiedzieć. Może to tylko plotka albo coś równie głupiego, no i nie chciałam przysparzać sobie kłopotów...

- Nie musisz się niczego bać, Mary - zapewnił ją Conklin. - Opowiedz nam wszystko, co wiesz.

- Pracuję u państwa Renfrew od niedawna - powiedziała Jordan, spoglądając na drzwi, a potem z powrotem na Conklina. - Jedna z dziewcząt coś mi wyznała, ale kazała mi przysiąc, że zachowam to tylko dla siebie. Powiedziała, że jedna z opiekunek, która ukończyła wszystkie kursy w naszej agencji, opuściła swoich pracodawców bez żadnego pożegnania i zniknęła. I nie podejrzewam jej o złe maniery, ponieważ Renfrew mieli jej paszport. A bez niego ta dziewczyna nie mogłaby przecież znaleźć żadnej pracy.

- Czy zgłoszono zaginięcie na policję?

- Chyba tak. Mówię tylko to, co wiem. I powiedziano mi, że Helga Schmidt zaginęła i już nigdy więcej nikt o niej nie słyszał.

## Rozdział 60

Atmosfera spotkania mieszkańców zaczęła osiągać temperaturę wrzenia. Mniej więcej dwieście osób zebrało się w holu budynku mieszkalnego. Przewodniczącą zarządu wspólnoty była Fern Galperin - niska, ładna kobietka w drucianych okularach, usiłująca teraz uciszyć narastający harmider. Jej głowa była ledwie widoczna w tłumie.

- Mówimy po kolei! - krzyknęła pani Galperin. - Margery? Proszę kontynuować to, co pani zaczęła...

Cindy dostrzegła Margery Glynn, kobietę, którą spotkała wczoraj w komorze śmieciowej.

- Policja przysłała mi jakiś formularz do wypełnienia. Nie mają zamiaru czeokolwiek zrobić w związku z Barnabym, a Barnaby był jak członek rodziny. Teraz, gdy go nie ma, czuję się jeszcze bardziej zagrożona. Czy powinnam kupić sobie nowego psa? Czy może od razu broń?

- Boję się i jestem tym wszystkim tak samo zaniepokojona jak pani - powiedziała Galperin, przyciskając do siebie swojego małego pieska. - Ale z tym pistoletem to chyba pani żartuje! Ktoś jeszcze chce zabrać głos?

Cindy odłożyła na podłogę torbę z laptopem i zwróciła się szeptem do uderzająco ładnej brunetki stojącej przy stole z przekąskami:

- O co chodzi?

- Słyszała pani o Barnabym?

- Tak. Byłam właśnie przy komorze śmieciowej, gdy Margery go znalazła.

- Okropność, prawda? Barnaby był rzeczywiście paskudny jak robal, ale żeby tak od razu go zabijać? To bez wątpienia postępek szaleńca. Gdzie my żyjemy? W Nowym Jorku?

- Proszę mnie oświecić w czym problem, bo mieszkam tu od niedawna.

- Oczywiście. Więc Barnaby nie był pierwszą ofiarą. Jakiś czas temu na klatce schodowej znaleziono nieżywego pudła pani Neely, a ta biedna kobieta obwiniała za to siebie, bo zapomniała zamknąć drzwi.

- Rozumiem, że mieszka tutaj ktoś, kto nie za bardzo kocha psy.

- No właśnie - ciągnęła brunetka. - Ale jest coś jeszcze. Miesiąc temu pan Franks, bardzo miły człowiek, który mieszkał na pierwszym piętrze, wyprowadził się stąd w środku nocy. Zostawił pani Fern paczuszkę pełną listów z pogrózkami, które ktoś przez wiele miesięcy wsuwał mu pod drzwi.

- Jakie to były groźby?

- Grożono mu śmiercią. Aż trudno w to uwierzyć, prawda?

- Dlaczego nie zadzwonił na policję?

- Chyba dzwonił. Ale listy nie były podpisane. Gliny zadały kilka pytań i zostawiły sprawę samej sobie. To dla nich typowe.

- Podejrzewam, że pan Franks też miał psa?

- Nie. Za to miał stereo. A tak przy okazji, jestem Debbie Green. - Kobieta uśmiechnęła się ciepło. - Spod dwa F. - Uścisnęła dłoń Cindy.

- Cindy Thomas, spod trzy B.

- Miło cię poznać, Cindy. Witaj w Koszmarze w Blakely Arms.

Cindy uśmiechnęła się niepewnie.

- Więc ty się nie boisz?

- Może trochę - westchnęła Debbie. - Ale mam fantastyczne mieszkanie... Spotykam się też z fajnym facetem. Chyba prawie go namówiłam, żeby się do mnie wprowadził.

- Szczęściara. - Cindy skierowała uwagę na starszego mężczyznę, który został zauważony przez przewodniczącą zarządu.

- Oddaję głos panu Hornowi - ogłosiła.

- Dziękuję pani. To, co najbardziej mnie martwi, to ta anonimowość. Wiadomości zostawiane pod drzwiami. Zabite zwierzęta. Moim zdaniem przypadek Margery przesądził, że skoro policja nam nie może pomóc, to musimy zorganizować patrole mieszkańców...

Rozległy się głosy z różnych stron; pani Galperin usiłowała zapanować nad chaosem.

- Proszę podnosić ręce, jeśli chcecie zabrać głos! Tom, chcesz coś powiedzieć?

Podniósł się łysiejący mężczyzna po trzydziestce o delikatnej budowie ciała. Stał daleko od Cindy, po drugiej stronie holu.

- Pomysł z patrolami mieszkańców po prostu mnie przeraża. Ktokolwiek terroryzuje Blakely Arms, mógłby w każdej chwili zgłosić się na patrolowanie i wtedy nie musiałby się przemykać niezauważony. Mógłby bezkarnie chodzić po korytarzach. To dopiero mogłoby napędzić wszystkim stracha! W tym budynku mieszka około trzystu osiemdziesięciu pięciu osób i ponad połowa zebrała się tutaj dzisiaj. Tak więc istnieje ponadpięćdziesięcioprocentowa szansa, że nasz własny terrorysta jest wśród nas. Tu i teraz.

## Rozdział 61

Yuki nigdy jeszcze nie widziała Leonarda Parisiego tak wściekłego. Rudy Pies, jak na niego mówiono, w istocie miał rude włosy, był wysoki i ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Zwykle zachowywał się przyjaźnie, wręcz jak ojciec, ale teraz jego ciemne oczy strzelały błyskawicami, a pięść waliła w stół, aż pozostałości po chińskim żarciu podskakiwały na blacie.

Pięcioro nowych zastępców prokuratora okręgowego zgromadzonych przy stole wyglądało na nieźle zszokowanych, z wyjątkiem Davida Hale'a, który miał śmiałość wyrazić opinię, że sprawa Brinkleya to „pewniak”.

- Nie istnieje nic takiego jak „pewniak” - grzmiał Parisi. - Sprawa OJ. Simpsona też niby była „pewniakiem”!

- I Roberta Dursta - dodała Yuki.

- Bingo! - przyklasnął Parisi, wiodąc wzrokiem dookoła - Durst przyznał się, że zabił swojego sąsiada, posiekał go na kawałki i wrzucił do oceanu, a ława przysięgłych złożona z jemu podobnych uznała go za niewinnego! Brinkley jest naszym wyzwaniem, Davidzie. Mamy nagranie z przyznania się do winy i więcej świadków, niż moglibyśmy sobie życzyć. Zbrodnia jest na taśmie. Ale to nadal nie jest „pewniak”!

- Ależ, Leonardzie - zaczął Hale - taśma z nagraniem wyraźnie przedstawia zabójcę w momencie dokonywania zbrodni. Ten film stanowi bezsporny i niepodważalny dowód popełnienia przestępstwa.

Parisi uśmiechnął się krzywo.

- Jesteś niezłym buldogiem, Davidzie. To dobrze. Ale pamiętacie przypadek Rodneya Kinga? - zapytał, rozluźniając krawat. - Rodney King, przebywający na zwolnieniu warunkowym, odmówił opuszczenia samochodu po zatrzymaniu go przez policję za

nadmierną prędkość. Został wyciągnięty z auta i uderzony pięćdziesiąt sześć razy przez czterech białych gliniarzy. Było to potworne pobicie, i do tego sfilmowane na wideo. Sprawa trafiła do sądu. Gliniarzy uniewinniono. No i w Los Angeles zaczęła się fala zamieszek na tle rasowym. Więc taśma wcale nie zrobiła z tej sprawy „pewniaka”. A oto dlaczego: gdy po raz pierwszy oglądacie taśmę z pobiciem Rodneya Kinga, jesteście przerażeni. Po raz drugi, jesteście wściekli. Ale gdy oglądacie ją po raz dwudziesty, wasze mózgi doskonale znają i pamiętają każdy szczegół z filmu, jednak moc początkowego szoku już wygasła. Każdy w tym kraju, kto ma telewizor, wielokrotnie widział nagranie Jacka Rooneya, na którym Alfred Brinkley zabija ludzi. Ale teraz straciło już ono swoją szokującą moc. Rozumiecie? Oczywiście, że taśma stanowi dowód przestępstwa. I że powinniśmy wygrać tę sprawę. I zrobimy wszystko, żeby posłać Brinkleya na krzesło. Niestety, naszym przeciwnikiem jest niezwykle bystra i nieustępliwa pani adwokat, Barbara Blanco - kontynuował Parisi, rozpięty w fotelu. - I ona wcale nie pracuje za gówniane pieniądze płacone obrońcom z urzędu. Ona wierzy w każdego swojego klienta i dąży do tego, żeby ława przysięgłych czuła to samo. Musimy być zatem przygotowani na każdą okoliczność. Koniec wykładu.

W pokoju konferencyjnym zaległa pełna szacunku cisza. Len Parisi cieszył się wielkim autorytetem.

- Yuki, czy jest coś, czego jeszcze nie omówiliśmy?

- Nie, to już wszystko.

- Jak nastrój?

- Doskonały, Len. Jestem gotowa do działania. Nie mogę się doczekać.

- To świetnie. Ty masz dwadzieścia osiem lat, ale ja, niestety, muszę się dobrze wyspać. Do zobaczenia tutaj o siódmej trzydzięci rano. Reszta niech trzyma rękę na pulsie. Jutro pod koniec dnia raz jeszcze przeanalizujemy wszystkie fakty.

Yuki pożegnała się z kolegami i wyszła naładowana pozytywną energią i szczęśliwa, że jutro będzie prawą ręką Leonarda Parisiego.

Mimo gromkiej przestrogi szefa Yuki była pewna siebie. Brinkley nie był żadnym OJ. Simpsonem ani nawet Robertem Durstem. Nie był ani gwiazdą futbolu, ani mediów. Kilka tygodni temu spał na ulicy z naładowanym rewolwerem w kieszeni. Zabił czworo obcych sobie ludzi.

Nie ma szansy, by sędziowie z powrotem wypuścili tego maniaka na ulice San Francisco.

A może jednak wcale nie było to takie pewne?



## Część czwarta

### Oskarżenie publiczne przeciwko Alfredowi Brinkleyowi.

#### Rozdział 62

Yuki weszła z Leonardem do Wydziału 21. Przeszli przez bramkę wykrywacza metali i dalej, przez dwuskrzydłowe drzwi do przedsionka, a potem przez kolejne dwuskrzydłowe drzwi prowadzące bezpośrednio na salę sądową.

W ławkach dla publiczności rozległy się szepty, gdy w przejściu pojawili się oskarżyciele publiczni: Rudy Pies, mający metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, w granatowym prążkowanym garniturze, i filigranowa Yuki - metr sześćdziesiąt na wysokich obcasach i czterdzieści pięć kilo ubrane w perłowszary kostium. Leonard uchylił furtkę w barierce oddzielającej publiczność od sądu i przepuścił Yuki przodem. Oboje podeszli do ławy oskarżenia i natychmiast rozłożyli swoje dokumenty.

Podniecenie Yuki wywołane oczekiwaniem na rozpoczęcie sprawy minęło, gdy pojawiła się trema pierwszego dnia w roli oskarżyciela. Zrobiła wszystko, żeby dobrze przygotować się do procesu, i nie mogła już doczekać się jego rozpoczęcia. Przyglądała klapy żakietu i wyrównała kartki na stole. Spojrzała na zegarek. Za pięć minut rozpocznie się postępowanie, a za Wą obrony jeszcze nikt nie siedział.

Wtem wśród publiczności nastąpiło pewne poruszenie. To, co zobaczyła Yuki, niemal doprowadziło ją do palpacji serca Trąciła łokciem Leonarda.

Przejściem między ławkami szedł Alfred Brinkley. Miał ogoloną brodę, a długie włosy zastąpiła krótka fryzura. Ubrany był w tani niebieski poliestrowy garnitur, koszulę i krawat - wyglądał tak groźnie, jak budyń waniliowy.

Ale to nie Brinkley spowodował nagłe ukłucie w żołądku Yuki i to, że zastygła ze zdumienia niczym słup soli.

U boku Brinkleya nie było Barbary Blanco. Zamiast niej szedł mężczyzna tuż po czterdziestce, zbyt wcześnie posiwiwały, ubrany w grafitowszary garnitur od Brioniego i żółty wzorzysty krawat od Armaniego. Yuki natychmiast rozpoznała nowego adwokata Brinkleya.

Wszyscy go rozpoznali.

- O kurwa - zaklął Parisi, uśmiechając się sztywno. - Mickey Sherman. Znasz go, Yuki, prawda?

- Pewnie. Byliśmy partnerami, gdy broniliśmy mojej przyjaciółki kilka miesięcy temu.  
- Tak, pamiętam tę sprawę. Pani porucznik z wydziału zabójstw została oskarżona o nieumyślne spowodowanie śmierci. - Parisi zdjął okulary i wyczyścił szkła chusteczką. - Jakie były moje ostatnie słowa wczoraj?

- „Musimy być przygotowani na każdą okoliczność”.

- Czasem nienawidzę się za to, że zawsze mam rację. Co możesz mi o nim powiedzieć oprócz tego, że Sherman nigdy nie pozwolił sfilmować się ekipie telewizyjnej, której nie lubi?

- Jest facetem, który podchodzi do sprawy globalnie, a szczegóły zostawia innym. Będziemy musieli wcisnąć się w szczeliny monolitu jego argumentacji.

Yuki przypomniała sobie, że Mickey Sherman zrezygnował z pracy jako radca prawny Urzędu Miejskiego San Francisco i otworzył małą praktykę adwokacką. Sprawę Brinkleya wziął zapewne pro bono, a zainteresowanie mediów przysporzy kancelarii Sherman i Wspólnicy wystarczającej reklamy - o ile wygra.

- No cóż, ale teraz nie ma z sobą żadnych pomocników - stwierdził Parisi. - Znajdziemy te szczeliny i rozryjemy je łomem. A ja już widzę jego pierwszy problem.

- No tak. - Yuki skinęła głową. - Alfred Brinkley nie wygląda na wariata. Ale wiesz co, Len? Mickey Sherman również doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

### **Rozdział 63**

Yuki stała wyprostowana, gdy sędzia Norman Moore zasiadał za swoim stołem. Z jednej strony miał flagę Stanów Zjednoczonych, z drugiej flagę stanu Kalifornia, na stole termos z kawą i laptop. Dwieście osób zgromadzonych w sali usiadło, a sędzia ogłosił rozpoczęcie procesu.

Sędzia Moore uznawany był za prostolinijną osobę. Zanim użył młotka, zezwalał prawnikom stron zapędzić się odrobinę dalej niż inni sędziowie.

Przez dobre piętnaście minut pouczał ławę przysięgłych, zanim jego przesłonięte okularami niebieskie oczy zwróciły się na Leonarda Parisiego.

- Czy oskarżenie jest gotowe?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Leonard Parisi wstał, zapiał środkowy guzik marynarki, podszedł do ławy przysięgłych i przywitał sędziów. Rudy Pies był wysokim mężczyzną o szerokich barkach i proporcjonalnej sylwetce. Miał kędzierzawe włosy i ospowatą cerę. Nie był obiektem kobiecych westchnień, ale gdy przemawiał, tworzył wokół siebie sceniczną atmosferę teatru

jednego aktora i stawał się wspaniałym charakterystycznym gwiazdorem, jak Rod Steiger lub Gene Hackman. Wprost nie można było oderwać od niego oczu.

- Panie i panowie, gdy zostaliście wybrani do ławy przysięgłych wszyscy przyznaliście, że oglądaliście taśmę Rooneya o tragedii na Del Norte. Powiedzieliście, że będziecie otwarcie podchodzić do kwestii winy lub niewinności oskarżonego. I złożyliście przysięgę, że osądzicie pana Brinkleya na podstawie dowodów przedstawionych w tej sali sądowej. Dlatego właśnie chcę wam opowiedzieć o tym, co wydarzyło się pierwszego listopada na Del Norte, abyście mieli świeże spojrzenie na sprawę. To był naprawdę ładny dzień na wycieczkę promem. Temperatura wynosiła około piętnastu stopni, pomiędzy chmur przebłyskiwało słońce. Wielu turystów miało na sobie szorty, bo przecież przyjechali do San Francisco w Kalifornii, gdzie jest zawsze ciepło, tak?

Przez salę przetoczyła się fala śmiechu, tymczasem Parisi dopiero się rozgrzewał.

- Ten piękny dzień zamienił się w piekło, ponieważ oskarżony Alfred Brinkley znalazł się na pokładzie promu. Pan Brinkley nie miał grosza przy duszy, ale znalazł bilet w obie strony na rynku warzywnym i postanowił urządzić sobie wycieczkę. W kieszeni miał naładowaną broń: sześciopalcowy rewolwer. Tego szczególnego dnia pan Brinkley przepłynął promem do Larkspur bez żadnych nieprzyjemnych incydentów, ale w czasie drogi powrotnej, gdy prom dokował w San Francisco, oskarżony zobaczył Andreę Canello strofującą swojego synka, miłego dziewięciolatka o imieniu Tony. Z powodów znanych tylko jemu samemu pan Brinkley wyciągnął broń i strzelił trzydziestoletniej matce chłopca w pierś. Umarła w ułamku sekundy na oczach synka. Wtedy dziecko zwróciło swoje wielkie, przerażone oczy na mężczyznę, który właśnie zabił jego matkę, a co zrobił Alfred Brinkey? Strzelił do Tony'ego Canello, chłopczyka, który był uzbrojony w loda truskawkowego w rożku. Tony był czwartoklasistą, który cieszył się z nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, bo miał dostać w prezencie rower górski. Oskarżony odebrał chłopcu wszystko. Tony zmarł w szpitalu tego samego dnia.

Smutne twarze członków ławy przysięgłych dowodziły, że Parisi poruszył ich sumienia. Jedna z przysięgłych - młoda kobieta o szokujących, granatowofioletowych włosach zagryzała wargi, a po jej policzkach płynęły łzy.

Leonard przerwał swoją mowę z szacunku dla niej.

## Rozdział 64

W tym momencie sędzia Moore zwrócił się do sześciu mężczyzn i sześciu kobiet z ławy przysięgłych.

- Czy życzą sobie państwo przerwę? Nie? To w porządku. Proszę kontynuować, panie Parisi.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - odparł Parisi i spojrzał w kierunku ławy obrony. Dostrzegł, że Mickey Sherman szepcze coś do swojego klienta. Adwokat był odwrócony plecami do oskarżyciela, co doskonale wskazywało, że nawet w najmniejszym stopniu nie przejmuje się jego mową wstępną.

Inteligentna zagrywka, pomyślał Parisi. Zdawał sobie sprawę z tego, że na jego miejscu postąpiłby tak samo.

- Powiedziałem państwu, że Del Norte dokował, gdy pan Brinkley strzelił do Andrei i Tony'ego Canello. Przybijanie i cumowanie to operacje głośne, o wiele głośniejsze od dwóch strzałów z rewolweru. Ale kilkoro ludzi zrozumiało, co wydarzyło się na pokładzie. Pan Per Conrad pracował tego dnia na Del Norte jako inżynier pokładowy. Miał rodzinę, żonę i czworo pięknych dzieci, i zostały mu zaledwie dwa lata do emerytury. Zobaczył Alfreda Brinkleya z bronią w ręku i dwa ciała, Andrei i Tony'ego Canello, krwawiące na pokładzie. Rzucił się z zamiarem odebrania broni panu Brinkleyowi, ten jednak strzelił panu Conradowi prosto między oczy. Pan Lester Ng, były oficer lotnictwa, pracował jako agent ubezpieczeniowy w Larkspur i płynął do San Francisco na spotkanie biznesowe. On też miał rodzinę. I także próbował odebrać panu Brinkleyowi broń. Został trafiony w głowę. Rewolwer pana Brinkleya był ostatnią rzeczą, którą pan Ng zobaczył w swoim życiu. Obydwaj mężczyźni działali bezinteresownie. Zachowali się jak bohaterowie. I dlatego zginęli. Ale pan Brinkley jeszcze nie skończył swojej rozgrywki. Stał nieopodal kobiety, którą prawnicze środowisko obdarza szczególnym szacunkiem, doktor Claire Washburn, głównego eksperta medycyny sądowej San Francisco. Doktor Washburn była przerażona, ale miała obywatelską odwagę zwrócić się do pana Brinkleya i powiedzieć: „Okay... oddaj mi swoją broń”. Zamiast tego pan Brinkley podarował jej kulę w pierś. A kiedy nastoletni syn pani Washburn, Willie, rzucił się jej na pomoc, pan Brinkley strzelił do niego. Na szczęście właśnie w tym momencie prom uderzył o przystań i szósty, a zatem ostami strzał z broni pana Brinkleya nie trafił do celu. I dzięki temu, że ten strzał był niecelny, dwoje odważnych ludzi, Claire i Willie Washburn, przeżyło zamach na swoje życie, a doktor Washburn będzie świadkiem oskarżenia w tym procesie.

Parisi zawiesił na chwilę głos, by przerażenie wywołane opisem strzelaniny odcisnęło się w pamięci sędziów.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że wszystko to, co przedstawiłem, wydarzyło się naprawdę. Nie ma żadnych wątpliwości, że bez względu na płeć, wiek, kolor skóry lub powód postępowania Alfred Brinkley postrzelił i tym samym doprowadził do śmierci czterech osób, których nie znał, a także usiłował zabić dwie kolejne osoby. Pan Jack Rooney, który także będzie świadkiem oskarżenia, nagrał na taśmę wideo przebieg strzelaniny, którą wspólnie obejrzymy. Pan Brinkley przyznał się do brutalnych zabójstw i przebieg jego zeznań również zostanie tutaj odtworzony z taśmy. W tej sprawie nie ma śladów DNA, żadnych dowodów w postaci drobin krwi ani częściowych odcisków palców, ani też żadnych innych poszlak przydatnych do ustalenia sprawcy przestępstwa w laboratoriach layminalistycznych, których pracę możemy co wieczór oglądać w policyjnych serialach telewizyjnych. Bo to nie jest sprawa typu „kto to zrobił?”. My już wiemy, kto to zrobił. Sprawca siedzi tam. - Parisi wskazał na mężczyznę w niebieskim garniturze. Brinkley wcisnął głowę w ramiona i wyglądał, jakby nie miał szyi. Jego puste oczy patrzyły w przestrzeń. Musiał być na jakichś środkach uspokajających. Parisi zastanawiał się, ile z tego wszystkiego w ogóle usłyszał lub zrozumiał. - Obrona będzie starała się państwa przekonać, że pan Brinkley cierpi na zaburzenia psychiczne, stąd też nie może brać odpowiedzialności za swoje czyny - kontynuował Parisi, wracając do mównicy. - Eksperci medyczni obrony będą państwa przekonywać, że oskarżony potrzebuje leczenia, a nie kary. To nie sprawi nam kłopotu. Mamy doskonałych lekarzy leczących więźniów oczekujących na karę śmierci. Zachowanie w sposób niepoczytalny nie zwalnia od przestrzegania zasad prawa. I nie oznacza, że osoba umysłowo chora nie rozumie, iż zabijanie ludzi jest złem. Panie i panowie, Alfred Brinkley zabrał na pokład promu naładowany rewolwer. Wybrał swoje ofiary z zamiarem popełnienia przestępstwa. Zamordował czworo ludzi. I uciekł z miejsca zbrodni. Ponieważ wiedział, że to, co zrobił, było złem. Oskarżenie udowodni, że pan Brinkley był w pełni poczytamy podczas popełnienia czterech morderstw i dwóch usiłowań zabójstwa. I będziemy wnosić o uznanie go za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów. Dziękuję państwu za uwagę. Przepraszam, że niektórzy z państwa płakali, ale te morderstwa są prawdziwą tragedią.

## **Rozdział 65**

Mickey Sherman wstał z ławy obrony i pewnym krokiem zbliżył się do podium. Trzymając ręce w kieszeniach, zupełnie zrelaksowany, przedstawił się sędziom przysięgłym, zjednując ich sobie już na początku swojego wystąpienia.

- Drodzy państwo, wszystko, co przed chwilą powiedział prokurator, jest prawdą.

To śmiała wypowiedź, pomyślała Yuki. Do tej pory nie spotkała się jeszcze z przypadkiem, by adwokat opozycji wypowiedział się w taki sposób.

- Wszyscy wiemy, co wydarzyło się na Del Norte pierwszego listopada - kontynuował Sherman. - To prawda, że pan Brinkley zabrał z sobą nabitą broń na pokład promu. Strzelał do ludzi, nie biorąc pod uwagę, jakie to będzie miało konsekwencje dla ofiar i dla niego samego. Na promie znajdowało się dwieście pięćdziesiąt osób i niektóre z nich były świadkami strzelaniny. Pan Brinkley nie wyrzucił rewolweru po ucieczce z Del Norte. Nie pozbył się dowodu. Nie da się tego nazwać zbrodnią doskonałą. Tylko osoba niepoczytalna mogła działać i zachować się w taki sposób. Dla nikogo nie jest tajemnicą to, „co” się wydarzyło, natomiast istotą tego procesu jest to, „dlaczego” to się wydarzyło. Pan Brinkley nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, ponieważ gdy strzelał, był pozbawiony zdolności rozumienia swoich czynów. I skoro kwestia niepoczytalności będzie stanowić podstawę waszego osądu pana Brinkleya i jego postępowania, to jesteśmy we właściwym momencie, by zdefiniować to określenie. Oto problem do rozstrzygnięcia: czy pan Brinkley rozumiał, że popełniając zbrodnię, wyrządza zło? A skoro nie rozumiał, że popełnione czyny są złem, bo cierpi na chorobę psychiczną, to jest oczywiste, że jest niepoczytalny.

Mickey Sherman przerwał na chwilę, szukając czegoś w swoich notatkach na mównicy, po czym podjął przemowę tonem, który Yuki podziwiała, ale którego jednocześnie bardzo się bała. Był przyjemny dla ucha, wręcz intymny, jakby obrońca wiedział, że sędziowie nie potrzebują teatralnej modulacji głosu, a jego rozumowanie jest nie tylko wiarygodne, ale i prawdziwe.

- U pana Brinkleya zdiagnozowano psychozę schizoafekrywną - rozpoczął Sherman. - Jest on chory w takim samym stopniu, jak osoba cierpiąca na raka lub na cukrzycę. To choroba genetyczna oraz częściowo nabyta po traumatycznych wydarzeniach w dzieciństwie. Oskarżony nie zachorował z własnej winy. Po prostu taki się urodził. To mogłoby wydarzyć się państwu, mnie lub komukolwiek na tej sali. A jaka choroba może być gorsza od tej, która powoduje, że własny mózg zwraca się przeciwko człowiekowi i sprawia, że jego myśli i podejmowane działania są w całkowitej sprzeczności z charakterem i osobowością człowieka? Pragnę podkreślić, że nasze serca są ze wszystkimi ofiarami tej tragedii. Gdyby istniał jakikolwiek sposób na odwrócenie tych wypadków, gdyby Fred Brinkley mógł Połknąć jakąś pigułkę, która wyleczyłaby go pierwszego listopada i przywróciła życie ofiarom, to zrobiliby to w jednej chwili. Gdybyśmy wiedzieli, że pan Brinkley cierpi na chorobę psychiczną, to otrzymaliby on od nas pomoc i leczenie. Ale my nie wiedzieliśmy, dlaczego zachował się w taki sposób na promie. Życie pana Brinkleya to prawdziwe „piekło na ziemi”.

## Rozdział 66

Mickey Sherman poczuł przyjemny przyпіływ adrenaliny spowodowany umiejętnością wykorzystania zawodowych sztuczek i wiary w klienta. Brinkley, ten biedny sukinsyn, dopiero budził się w rzeczywistym świecie po piętnastu latach drzemki, a jego schizofrenia zaostrzyła się pod wpływem stresu. Co za los! Uczestniczyć w swoim własnym procesie i walczyć o życie pod grubym kocem leków psychotropowych? To jakiś potworny koszmar.

- Pan Brinkley słyszał głosy - kontynuował mowę Sherman, spacerując drobnym krokiem przed ławą przysięgłych. - Nie mam na myśli „cichego głosu”, który my wszyscy słyszymy we własnych głowach, tego wewnętrznego monologu pomagającego nam w rozwiązywaniu problemów, napisaniu listu czy odnalezieniu kluczyków do samochodu. Głosy w głowie pana Brinkleya były nakazujące, natrętne, przytłaczające i okrutne! Te głosy bezlitośnie z niego szydziły, wyzywały go i prowokowały do popełnienia zabójstwa. Gdy oglądał telewizję, wierzył, że postaci bohaterów filmowych i komentatorzy wiadomości zwracali się bezpośrednio do niego i że wręcz mówili mu, co ma zrobić. Po tylu latach walki z duchami Fred Brinkley w końcu podporządkował się ich rozkazom. Panie panowie, podczas oddawania strzałów Fred Brinkley nie miał kontaktu z rzeczywistością. Nie zdawał sobie sprawy, że ludzie do których strzelał na promie, byli z krwi i kości. Dla niego stanowili jedynie bolesne wytwory jego własnego umysłu. Po tym wszystkim, gdy w telewizyjnych wiadomościach zobaczył jak strzela do ludzi na promie, zrozumiał, co zrobił. Był tak dręczony wyrzutami sumienia, poczuciem winy i nienawiścią do samego siebie, że z własnej woli oddał się w ręce policji. Zrezygnował z przysługujących mu praw i przyznał się, ponieważ po dokonaniu zbrodni zdrowa część umysłu pozwoliła mu pojąć potworność popełnionych przez siebie czynów. To właśnie powinniście wziąć pod rozwagę. Oskarzenie chciałoby, żebyście uznali, że najtrudniejszą decyzją, jaką musicie podjąć, będzie wybór waszego przewodniczącego. Ale wy nie wysłuchaliście jeszcze całej historii. Świadkowie, którzy znają Brinkleya, i biegli eksperci psychiatryczni, którzy go badali, będą świadczyć o reputacji pana Brinkleya i jego przeszłości oraz o obecnym stanie jego umysłu. Jestem w pełni przekonany, że gdy wysłuchacie wszystkich zeznań i oświadczeń, uznacie Freda Brinkleya za niewinnego z powodu upośledzenia umysłowego i choroby psychicznej. Ponieważ prawda jest taka, że Fred Brinkley to dobry człowiek, którego dotknęła okropna choroba odmieniająca jego umysł.

## Rozdział 67

O szóstej trzydzięci wieczorem tego samego dnia Yuki i Leonard Parisi siedzieli w przypominającej podziemną jaskinię sali restauracji LuLu, powstałej po zaadaptowaniu pomieszczeń starego magazynu i przerobieniu go w popularną knajpę.

Yuki była pobudzona - czuła się jak członkini zawsze zwycięskiej Drużyny A. Pałaszowała kurczaka z rożna, a Len gryzł pizzę z krewetkami i ostrym sosem. Rozkoszując się potrawami, omawiali przebieg procesu, wymyślali potencjalne problemy i zastanawiali się, jak je rozwiązać.

Leonard napełnił kieliszki merlotem za sześćdziesiąt dolarów i wznosił toast:

- Grrrrr. Strzeżcie się Drużyny Rudego Psa!

Yuki wybuchnęła śmiechem i upiła łyk wina. Schowała dokumenty do skórzanej torby. Wcześniej nie wyobrażała sobie, że praca oskarżyciela publicznego może być aż tak fascynująca.

Z wielkiego paleniska po drugiej stronie sali rozchodził się zapach drewna hikorowego. Restauracja i bar zaczęły wypełniać S1C ludźmi, a wraz z nimi zgiełkiem rozmów i śmiechu odbijających się od ścian i wysokiego sklepienia.

- Napijesz się kawy? - zapytał Len.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Yuki. - Jestem tak nabuzowana emocjami, że uspokoï mnie tylko ciastko z kremem.

- Popieram pomysł - odparł Leonard i zaczął podnosić rękę, by wezwać kelnerkę. I wtedy, w połowie ruchu, jego twarz nagle zwiotczała. Przycisnął dłoń do klatki piersiowej i lekko się uniósł, przenosząc cały ciężar ciała na oparcie krzesła, co sprawiło, że przechylił się wraz z nim do tyłu i poleciał na plecy.

Yuki usłyszała, jak gdzieś za jej plecami upadła taca i rozbiły się talerze; ktoś krzyczał. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że był to jej krzyk. Wyskoczyła zza stołu i przyklękała przy Leonardzie, który kołysał się z boku na bok i jęczał.

- Leonard! Len, gdzie cię boli?

Rudy Pies zamruczał coś w odpowiedzi, ale Yuki nie usłyszała go w zgiełku, który zaczął dokoła nich narastać.

- Len, czy możesz podnieść rękę?

- Ból w piersiach - jęknął. - Dzwon do mojej żony.

- Zawiozę go do szpitala - zaproponował jakiś mężczyzna, stojący za plecami Yuki. - Mój samochód stoi tuż przy drzwiach.



- Dziękuję, ale to będzie za długo trwało.

- Spokojnie, szpital jest tylko dziesięć minut stąd...

- Nie, dziękuję. Trzeba zadzwonić po pogotowie, w ambulansie jest wszystko, co potrzeba.

Yuki sięgnęła po torebkę, wysypała jej zawartość na podłogę i złapała za telefon komórkowy. Powstrzymała faceta z dobrymi intencjami, doskonale wiedząc, że utknęliby w korku i czekali trzy godziny w poczekalni do ambulatorium - a tak właśnie mogłoby się stać. Ambulans przynajmniej zawiezie Lena prosto do szpitala, na oddział.

Nie pozwoli na taki sam błąd, jaki popełniono w przypadku jej ojca.

Yuki ścisnęła dłoń Leonarda i słuchała w napięciu sygnału w słuchawce.

- No szybciej, szybciej... - A gdy zgłosił się operator pogotowia, Yuki powiedziała wyraźnie i przekonująco: - Nagły wypadek. Proszę przysłać ambulans do restauracji LuLu przy Folsom numer osiemset szesnaście. Mój przyjaciel ma atak serca.

## Rozdział 68

Conklin i ja pracowaliśmy nad sprawą Ricci-Tyler, dzwoniąc w różne miejsca, które mogłyby prowadzić do nowych tropów, gdy nagle do sali wydziału wsadził głowę Jacobi.

- Wy dwoje macie chyba ochotę na to, żeby się przewietrzyć.

Piętnaście minut później, tuż przed siódmą wieczorem, zatrzymaliśmy się przed blokiem mieszkalnym nieopodal Trzeciej Ulicy i Townsend. Stały tam już dwa radiowozy, dwa wozy strażackie i furgonetka laboratorium kryminalistycznego.

- To dziwne. Przecież znam to miejsce. Tu mieszka moja przyjaciółka Cindy.

Próbowałam złapać Cindy przez komórkę, ale jej numer ciągle był zajęty. Telefon domowy też nie odpowiadał. Rozglądałam się uważnie, ale nie udało mi się jej dostrzec wśród zbitych w małe grupki na chodniku mieszkańców kamienicy. Podczas gdy wokół nich kręcili się mundurowi policjanci, którzy zbierali zeznania, wszyscy spoglądali na ceglana fasadę i wyblakłe zasłony powiewające z okien na czwartym piętrze.

Cindy mieszkała na drugim piętrze. Momentalnie spadł mi kamień z serca, ale, niestety, nie trwało to długo. Ktoś zmarł w tym budynku, i do tego nie z przyczyn naturalnych.

Portier, mężczyzna w średnim wieku ze spadzistym czołem i siwymi kędzierzawymi włosami wystającymi spod ściągacza czapki, kręcił się obok głównych drzwi wejściowych. Miał wypłowiwały wygląd przedstawiciela epoki dzieci kwiatów, zupełnie jakby rewolty

studenckie lat sześćdziesiątych wyrzuciły go teraz na brzeg. Przedstawił się nam jako Joseph „Pinky” Boyd i powiedział, że pracuje tu od trzech lat.

- Pani Portia Fox spod pięć K. To ona poczuła gaz. Zadzwoiła na dół do portierni - relacjonował Boyd, zerkając na zegarek. - Jakies pół godziny temu.

- I to pan zadzwonił po straż pożarną?

- Tak. Przyjechali po pięciu minutach.

- A gdzie jest ta pani, która poczuła gaz?

- Pani Fox jest przypuszczalnie gdzieś tutaj na dole, wśród mieszkańców. Całe czwarte piętro zostało ewakuowane. Widziałem ją... panią Wolkowski. To okropne zobaczyć kogoś znajomego martwego.

- Czy przychodzi panu na myśl ktoś, kto chciałby zrobić pani Wolkowski krzywdę? - zapytał Conklin.

- Nie, skąd. Może była trochę zrzędliva. Narzekała, że znajduje cudzą pocztę w swojej skrzynce na listy, że ktoś porysował podłogę, takie drobiazgi. Ale i tak była uroczą osobą, jak na starszą panią.

- Panie Boyd, czy był pan tutaj przez cały dzień?

- Od ósmej rano.

- Macie tutaj system monitoringu?

- Mieszkańcy mają wideofony w mieszkaniach, to wszystko.

- A co jest na dole?

- Pralnia, komora śmieciowa, toaleta i drzwi prowadzące °a podwórze.

Są zamknięte na klucz? - pytał dalej Conklin. - Czy może podłączone do alarmu?

- Kiedyś były - opowiadał Boyd. - Ale po remoncie podwórze stało się ogólnodostępne i mieszkańcom rozdano klucze do tych drzwi.

- No dobrze. Więc tak naprawdę, dół w ogóle nie jest dozorowany - skonstatowałam. - A czy zauważył pan dziś coś podejrzanego w budynku?

Boyd roześmiał się histerycznie.

- Czy zauważyłem coś podejrzanego? W tym budynku? Dziś jest pierwszy dzień w miesiącu, kiedy nie zauważyłem niczego podejrzanego.

## **Rozdział 69**

Umundurowany funkcjonariusz pilnujący mieszkania 5J - posterunkowy Matt Hartnett - był żółtodziobem tuż po Akademii Policijnej. Nad górną wargą zebrały mu się kropelki potu, a jego twarz pobladła.

- Ofiarą jest pani Irenę Wolkowski - wyjaśnił Hartnett, podając mi rejestr wchodzących do mieszkania. - Ostatni raz widziano ją dziś rano w pralni, około jedenastej. Jej mąż nie wrócił jeszcze z pracy i do tej pory nie udało nam się do niego dodzwonić. Mój partner i jeszcze jedna para funkcjonariuszy zbierają na zewnątrz zeznania mieszkańców.

Skinęłam głową, po czym wpisałam siebie i Conklina do rejestru. Przeszliśmy za taśmę policyjną rozciągniętą w drzwiach i weszliśmy do mieszkania. Na miejscu byli już ekipa techników kryminalistycznych i obecny główny ekspert medycyny sądowej, który robił zdjęcia ofiary.

Wewnątrz śmierdziało gazem, zatem otwarto wszystkie okna, by wywietrzyć mieszkanie, przez co odnosiło się wrażenie, że jest tu chłodniej niż na zewnątrz.

Zwłoki kobiety w wieku ponad sześćdziesięciu lat leżały na plecach na środku pokoju. Ręce denatki były wyciągnięte wzdłuż ciała w pozie całkowicie bezbronnej zarówno wobec ataku, jak i późniejszych działań ekip śledczych. Z tyłu głowy ciekła strużka krwi, która wsiąkła w szarą wykładzinę dywanową, rozdzielając się na nodze pianina.

A pianino było po prostu zdewastowane!

Klawiatura została zniszczona, a jej resztki zabrudzone krwią. Potraskane klawisze wały się na podłodze i wyglądały, jakby ktoś zamierzał zmiażdżyć je czymś ciężkim.

Światło z reflektorów ustawionych przez doktora Germaniuka rozjaśniało każdy kąt. Ściany i podłogi mieszkania nie były odnawiane od lat, choć meble wyglądały na zupełnie nowe. Na jednej z nóg sofy dostrzegłam nawet kawałki folii ochronnej.

Doktor G. powiedział mi „cześć” i poprawił okulary grzbietem dłoni.

- No i co tu mamy? - zapytałam.

- Bardzo interesująca sprawa. Poza pianinem i odkręconymi kurkami z gazem kuchenki nie stwierdzono innych zniszczeń.

Miejsce zbrodni było „czyste”, co prawie zawsze oznacza, że morderstwo zostało zaplanowane, a zabójca był przebiegły.

- Ofiara została uderzona w głowę z przodu i z tyłu - wyjaśniał doktor G. - I użyto do tego dwóch różnych narzędzi przestępstwa. Pianino było jednym z nich. Więcej informacji dostaniecie, gdy pani Wolkowski znajdzie się u mnie na stole, choć teraz mogę stwierdzić jedną rzecz: nie wystąpiło jeszcze stężenie pośmiertne, jej ciało jest ciepłe i dopiero teraz zaczyna blednąć. Kobieta nie żyje dopiero od paru godzin, może nawet krócej. Wygląda na to, że minęliśmy się z zabójcą.

Na korytarzu usłyszałam głos Cindy i wyszłam na chwilę z mieszkania, by przywitać się z przyjaciółką.

- Wszystko w porządku - mruknęła uspokajająco. - Odebrałam twoje wiadomości.

- Znałaś ofiarę?

- Raczej nie. Na pewno nie z nazwiska. Mogę rzucić okiem?

Miejsce zbrodni było niedostępne dla osób postronnych i Cindy doskonale o tym wiedziała. Mimo to za każdym razem usiłowała na mnie wymusić, bym pozwałała jej tam wejść, i nawet raz już jej uległam. Teraz miała dokładnie to samo spojrzenie co wcześniej: uparte, nieustępliwe, przebiegłe.

- Stań z boku i niczego nie dotykaj.

- Wiem.

- Jeśli ktokolwiek się sprzeciwi, musisz wyjść. I masz mi obiecać, że nie napiszesz ani słowa o przyczynie śmierci.

- Obiecuję - powiedziała i zacisnęła usta na znak przysięgi.

Wskazałam na pusty kąt w pokoju i Cindy tam stanęła. Pobladła na widok zwłok kobiety na podłodze. Nikt z techników i policjantów nie zaprotestował przeciwko jej obecności.

- To Cindy? - zapytał Conklin, wskazując brodą kąt, w którym stała.

- Tak. Można jej ufać.

- Skoro tak mówisz...

Przedstawiłam Richa Cindy. Obok zawijano już Irenę Wolkowski w prześcieradło i pakowano do worka na zwłoki. Zaczęliśmy omawiać prawdopodobne wersje wydarzeń.

- Załóżmy, że zabójcą jest ktoś, kogo ofiara zna. Mieszka w tym budynku. Dzwoni do drzwi. Mówi: „Cześć, Irenę. Przepraszam, że przeszkadzam. Pięknie grasz”.

- Okay. Mógł to też być jej mąż - wysunął swoją teorię Conklin. - Wrócił do domu wcześniej, zabił ją i się zwinął. A może przyjaciel. Albo kochanek. Albo ktoś zupełnie obcy.

- Obcy? Trudno mi sobie to wyobrazić - zaprotestowała Cindy. - Nie wpuściłabym obcego do swojego mieszkania, a ty?

- No dobrze, rozumiem - odparł Conklin. - Więc wyobraźmy sobie, że ona gra na pianinie. Muzyka zagłusza odgłos otwieranych drzwi, a ta gruba wykładzina tłumi odgłos kroków.

- Czy to jej torebka? - zapytała Cindy.

Czarna, błyszcząca torebka damska leżała na taboreciku. Otworzyłam ją, wyjęłam portfel i pokazałam Conklinowi plik dwudziestek i całą talię kart kredytowych.

- Teoria rabunkowa nieaktualna - skonstatowałam.

- Byłam w miejscu, gdzie znaleziono zabitego psa - zaczęła Cindy i opowiedziała nam całą historię.

Rich energicznie pokręcił głową, aż włosy opadły mu na czoło.

- Świr zabijający psy nagle zmienia się w zabójcę ludzi? To byłoby przegięcie. Mamy tu napaść ze skutkiem śmiertelnym i rozwalone pianino. Ale po co ten gaz?

- Najwyraźniej chciał mieć pewność, że zostanie odnaleziona, albo też upewnić się, że nie żyje - odpowiedziałam i zwróciłam się do Cindy: - Ani słowa na ten temat w „Chronicie”.

## Rozdział 71

Yuki nie potrafiła przestać myśleć o twarzy Lena, wykrzywionej z bólu podczas ataku serca. Gdy minionej nocy wychodziła ze szpitala, Leonard był już w stabilnym stanie, ale nadal wyczerpany i pozbawiony sił vitalnych. Yuki zadzwoniła do Davida Hale’a do domu i nagrała się na jego sekretarkę automatyczną: „Nagła sytuacja. Bądź o szóstej rano w biurze. Przygotuj się do pójścia ze mną do sądu”.

Yuki siedziała naprzeciwko Davida w obskurnym pokoju spotkań wyłożonym sosnową boazerią. Przed nią na stole leżały notatki i stał kubek rozpuszczalnej kawy. Yuki zapoznawała Davida z przebiegiem procesu.

- Może powinniśmy wnieść o odroczenie sprawy? - zapytał. David nawet nieźle się dzisiaj prezentował w jasno-brązowej marynarce w jodełkę, granatowych spodniach i krawacie w paski. Przydałoby mu się strzyżenie włosów, ale teraz nie można już temu było zaradzić. Ze wszystkich ludzi, jakich miała do dyspozycji, Hale wydawał się najbardziej odpowiedni.

- Nie. A to z trzech powodów - odparła Yuki, stukając Plastikową łyżeczką o stół. - Po pierwsze, Leonard nie chce stracić Jacka Rooneya jako świadka. Rooney jest słabowity. Był tu na wakacjach, gdy doszło do tragedii na promie. Moglibyśmy mieć trudności ze ściągnięciem go tutaj kolejny raz a taśma bez jego zeznań mogłaby zostać odrzucona.

- Okay.

- Po drugie, Len nie chciałby ryzykować zamiany sędziego Moore’a na kogoś innego.

- Dobra, to też rozumiem.

- Poza tym Len powiedział, że będzie w sądzie podczas mów końcowych.

- Tak powiedział?

- Tak. Tuż przed operacją. Był przytomny i nieugięty.

- A jaka jest opinia lekarza o jego stanie?

- Powiedział, cytując: „Istnieje spora szansa, że uszkodzenia serca są odwracalne”.

- Otwierali mu klatkę piersiową?

- Tak. Rozmawiałam z żoną Lena. Operacja się udała.

- Więc będzie gotowy do wygłoszenia mowy końcowej za półtora tygodnia?

- Sądzę, że nie. Poleczki też jeszcze nie zatańczy. A to prowadzi nas do powodu numer trzy. Len powiedział, że jestem tak dobrze przygotowana do tej sprawy jak on i że wierzy w nasze siły. I że mamy go nie zawieść.

David Hale wpatrywał się w Yuki z otwartymi ustami, zanim odpowiedział:

- Yuki, przecież ja nie mam żadnego doświadczenia na sali sądowej.

- Ale ja mam. Wieloletnie.

- Prowadziłaś jedynie sprawy cywilne, a nie kryminalne.

- Ach, zamknij się, David. Byłam prawnikiem procesowym. I to się liczy. Więc pokażemy Rudemu Psu, na co nas stać. Mamy trzy godziny na powtórzenie materiału, który obydwójce i tak doskonale już znamy. Mamy wiarygodnych świadków, taśmę Rooneya i ławę przysięgłych przewracającą oczami, gdy mowa o niepoczytalności. Pamiętasz, co Len powiedział na spotkaniu przed procesem? „Im bardziej przypadkowa zbrodnia, im mniej motywów morderstwa, tym bardziej sędziowie będą się bali, że Brinkley posiedzi trzy kwadransy w wariatkowie i pójdzie sobie wolno...”. - Yuki zamilkła na chwilę, widząc, jak David Hale szczyrzy się od ucha do ucha. - O co chodzi, David? Nie, cofam pytanie. Proszę cię, nie mów tego - powiedziała, próbując powstrzymać śmiech.

- Sprawa zamknięta - stwierdził jej nowy partner na ławie oskarżycielskiej. - To „pewniak”.

## Rozdział 72

Yuki stanęła pośrodku sali sądowej, czując się tak zielona, jakby znalazła się tu po raz pierwszy. Uczepiła się palcami wysokiej mównicy, która, gdy stał przy niej Len, zdawała się wielkości pulpitu na nuty. Wychylała się nad jej blatem jak jakaś uczennica z podstawówki.

Sędziowie przysięgli wpatrywali się w nią z oczekiwaniem. Czy rzeczywiście uda jej się przekonać ich, że Alfred Brinkley był winien morderstwa pierwszego stopnia?

Wezwała pierwszego świadka oskarżenia - Bobby'ego Cohena, funkcjonariusza policji z piętnastoletnim stażem w Departamencie Policji San Francisco. Jego bardzo rzeczowy sposób wypowiedzi - „tak-jest-proszę-pani” - dał dobry grunt do dalszych przesłuchań.

Yuki zadawała mu pytania związane z tym, co widział na Del Norte, jakie były jego zadania i rola. Mickey Sherman zadał tylko jedno pytanie:

- Czy był pan bezpośrednim świadkiem wydarzeń na promie?

- Nie, nie byłem.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Yuki odhaczyła Cohena w głowie, sądząc, że choć nie widział strzelaniny, to opisał jej efekty sędziom, malując obraz miejsca zbrodni w ich umysłach - obraz, który ona wykorzysta jako podstawę do dalszego postępowania dowodowego.

Wezwała Bernarda Stringera, strażaka, który widział, jak Brinkley strzela do Andrei i Tony'ego Canello. Stringer doszedł ociężale do stanowiska dla świadków i został zaprzysiężony. Miał niespełna trzydzieści lat i jasną, prawdziwie amerykańską twarz baseballisty.

- Panie Stringer, czym pan się zajmuje zawodowo? - zaczęła przesłuchanie Yuki.

- Jestem funkcjonariuszem straży pożarnej z czternastej komendy przy Dwudziestej Szóstej Ulicy i Geary.

- A co pan robił pierwszego listopada na Del Norte?

- Jestem weekendowym tatusiem, a moje dzieciaki uwielbiają wycieczki promem - odpowiedział, uśmiechając się szeroko.

- Czy tego dnia wydarzyło się coś niezwykłego?

- Tak. Byłem świadkiem strzelaniny na górnym pokładzie.

- Czy osoba, która strzelała, jest tu dzisiaj w sądzie?

- Tak.

- Czy może pan nam ją wskazać? - poprosiła Yuki.

- Siedzi tam. To ten mężczyzna w niebieskim garniturze.

- Proszę protokolanta o zanotowanie, że pan Stringer wskazał na oskarżonego, Alfreda Brinkleya. Panie Stringer, jak daleko stał pan od Andrei Canello i jej syna Anthony'ego, gdy pan Brinkley do nich strzelał?

- Mniej więcej tak daleko, jak teraz jestem od pani. Jakies dwa metry.

- Proszę opowiedzieć, co pan widział.

Czoło Stringera zmarszczyło się, gdy zaczął penetrować Pamięć, by dokładnie przypomnieć sobie krwawe wydarzenia tamtego dnia.

- Pani Canello strofowała swojego syna, może trochę zbyt ostro. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie była agresywna. Tylko że chłopiec strasznie się tym przejął. I nawet zastanawiałem się, czy się nie wtrącić. Ale nie zdążyłem powiedzieć ani słowa, bo wtedy oskarżony do niej strzelił. A potem strzelił do tego chłopca.

- Czy oskarżony powiedział coś do swoich ofiar, zanim do nich strzelił?

- Nie. Wycelował i strzelił. Z zimną krwią.

Yuki pozwoliła tym słowom wybrzmieć, po czym zapytała:

- Dla jasności, jak rozumieć pana słowa „z zimną krwią”?

- To sposób, w jaki zabił tych ludzi. Jego twarz była zimna jak lód.

- Dziękuję, panie Stinger - powiedziała Yuki i zwróciła się w stronę ławy obrony: - Pański świadek.

### **Rozdział 73**

Mickey Sherman wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę świadka, otoczony złocistą poświatą powstałą przez odbicie światła od dębowych paneli, którymi obłożone były ściany sądu. Uśmiech malujący się na jego ustach był nawet prawdziwy, ale ten krok, potoczny język i to, jak udawał luzaka, było tylko sprytnym zamaskowaniem jego talentu do przeprowadzania nagłych ataków.

Yuki, która blisko współpracowała z Shermanem, nauczyła się odczytywać jego język ciała. Zanim rzucił się do gardła świadka, zawsze najpierw dotykał prawym palcem wskazującym przedziałka górnej wargi.

- Panie Stringer, czy pani Canello albo Anthony Canello zrobili coś, co mogło sprowokować mojego klienta? - zapytał Sherman.

- Nie. W mojej ocenie nie byli świadomi jego obecności.

- Zeznał pan, że mój klient był spokojny, gdy do nich strzelał?

- Na pierwszy rzut oka może i wyglądał trochę dziwaczce, ale gdy naciskał spust, jego twarz była zupełnie bez wyrazu, zimna. Nawet ręka mu nie zadrżała. Jakby działał z zimną krwią.

- A gdy pan patrzy na niego dzisiaj, to czy pan Brinkley wygląda tak samo jak wtedy na Del Norte?

- Niezupełnie.



- A jak wobec tego wyglądał?

Stringer westchnął i spojrział na swoje dłonie, zanim udzielił odpowiedzi.

- Nędznie. To znaczy... miał długie włosy, poszarpaną brodę. Jego ubranie było brudne i strasznie śmierdział.

- A zatem „wyglądał nędznie, jego twarz była zupełnie bez wyrazu” i śmierdział, jakby wyszedł z szamba. A pan widział, jak strzela do dwojga ludzi, którzy go nie sprowokowali. Nawet „nie byli świadomi jego obecności”?

- Tak.

Sherman przyłożył palec wskazujący do górnej wargi.

- Więc z tego, co pan mówi, jasno wynika, że Fred Brinkley wyglądał i zachowywał się jak wariat.

Yuki zerwała się z miejsca.

- Sprzeciw! Wysoki Sądzie, obrona sugeruje odpowiedź!

- Podtrzymuję.

- Panie Stringer, czy według pana oskarżony wyglądał na normalnego?

- Nie. Wyglądał na totalnego czubka.

- Dziękuję, panie Stringer - odpowiedział Sherman. Yuki próbowała zebrać się na odwagę i poprosić o ponowne przesłuchanie świadka, które pozwoliłoby choć trochę zatrzeć w świadomości sędziów słowa „wariat” i „czubek”, ale wszystko, co zdołała powiedzieć, to:

- Oskarżenie wzywa na świadka Jacka Rooneya.

## Rozdział 74

Jack Rooney zmierzał przejściem między ławkami publiczności w stronę katedry sędziego, podpierając się laską o trzech nóżkach. Ciężar ciała przenosił między lewą nogę a laskę, wykonując przy tym pokraczny ruch prawym biodrem. Zgodził się na pomoc woźnego sądowego, który, trzymając go pod ramię, pomógł mu wejść na podest i usiąść w fotelu świadka. Yuki miała nadzieję, że ten świadek będzie przynajmniej odporny na zagrywki Mickeya Shermana.

A może nie?

- Dziękuję, że był pan uprzejmy przybyć do sądu - powiedziała Yuki, gdy staruszek usiadł.

Rooney miał na sobie czerwony kardigan, a pod nim białą koszulę z czerwoną muszką. Na perkatym nosie spoczywały wielkie, niemalże kwadratowe okulary. Siwe włosy z

przedziałkiem opadały po obu stronach głowy, zupełnie jak chłopcu, który pierwszy raz idzie do szkoły.

Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się szeroko Rooney.

- Panie Rooney, czy był pan na Del Norte pierwszego listopada?

Tak, moja droga. Byłem z moją żoną Betty i dwojgiem przyjaciół, Leslie i Joem Watersami. Wszyscy mieszkamy koło Albany. To była nasza pierwsza wycieczka do San Francisco.

- Czy podczas podróży promem wydarzyło się coś niezwykłego?

- Zdecydowanie tak. Ten człowiek na ławie oskarżonych zabił kilkoro ludzi - zeznał Rooney, wskazując na Brinkleya. - Tak się bałem, że o mało nie popuściłem w spodnie.

Yuki pozwoliła sobie na niewielki uśmiech, podczas gdy przez całą salę przetoczył się gromki śmiech.

- Proszę protokolanta o zanotowanie, że świadek zidentyfikował oskarżonego, Alfreda Brinkleya - odezwała się po chwili i zwróciła ponownie do świadka. - Panie Rooney, czy nagrał pan kamerą wideo strzelaninę na promie?

- To miało być nagranie na pamiątkę rejsu promem, z widokami mostu Golden Gate, więzienia Alcatraz i tak dalej, ale okazało się, że jest to nagranie strzelaniny. Mam taką małą kamerę od wnuczka - tłumaczył staruszek i zademonstrował rozsuniętymi na osiem centymetrów palcami wielkość kamery. - jest nie większa od snickersa, ale robi i zdjęcia, i filmy. Ja robię nią zdjęcia, a mój wnuk przegrywa mi je na komputer. Aha, udało mi się sprzedać ten film stacji telewizyjnej i dzięki temu zwróciła nam się cała podróż do San Francisco.

- Wysoki Sądzie? - wtrącił się Mickey Sherman z ławy obrony.

Sędzia Moore wychylił się zza katedry w stronę stanowiska dla świadka.

- Panie Rooney, proszę odpowiadać na pytania „tak” lub „nie”, o ile nie jest pan proszony o pełniejszą odpowiedź.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Przepraszam. Nigdy wcześniej nie byłem w sądzie.

Yuki splotła przed sobą dłonie i zapytała:

- Czy przekazał mi pan kopię nagrania?

Tak, dałem ją pani.

- Wysoki Sądzie, proszę o wyrażenie zgody na odtworzenie nagrania i dołączenie go do dowodów w sprawie.

- Zgadzam się, pani Castellano.

David Hale wsunął płytę do komputera i wszystkie twarze zwróciły się na dwa wielkie telewizory zawieszane na ścianie sali za katedrą sędziego. Pierwsze ujęcie przedstawiało radosne popołudniowe chwile na promie - długie panoramy i widoki na horyzoncie - i kończyło się ujęciem uśmiechniętego Jacka Rooneya i jego żony. Przypadkowo w tle pojawił się też nieostrzy obraz Alfreda Brinkleya siedzącego za Rooneyami, wpatzonego w wodę za burtą i szczypiącego palcami włoski na przedramieniu.

Drugie ujęcie było niczym scena z filmu kryminalnego.

Yuki obserwowała twarze sędziów przysięgłych. Z głośników rozległy się odgłosy strzałów i przerażone krzyki ludzi. Na monitorach w sali sądowej pojawiła się zszokowana twarz chłopca w momencie, gdy został trafiony kulą. Siła wystrzału odrzuciła jego drobne ciało, które odbiło się od relingu i upadło na ciało matki.

Yuki oglądała ten film wielokrotnie, ale na strzały na ekranie nadal reagowała jak na uderzenie pięścią w brzuch. Rudy Pies mylił się, sądząc, że sędziowie przysięgli uodpornią się na sceny rzezi na ekranie, widząc je po raz kolejny. Wspólne oglądanie nagrania w sali sądowej, podczas procesu, robiło zupełnie inne wrażenie niż oglądanie nagrania w zaciszu własnego mieszkania.

Bo zabójca siedział zaledwie kilka metrów od nich.

Niektórzy przysięgli zakryli usta dłońmi lub odwracali wzrok, ale podczas projekcji wszyscy co chwila spoglądali z niechęcią na Alfreda Brinkleya. Oskarżony nie odwzajemniał się spojrzeniami. Siedział bez ruchu na krześle, wpatrując się w ekran i w to, jak morduje niewinnych ludzi.

- Nie mam żadnych pytań do świadka - oświadczył Mickey Sherman i szepnął coś do ucha Brinkleyowi.

- Dziękuję, panie Rooney, to wszystko - powiedział sędzia.

Yuki odczekała, aż Rooney opuści salę, kołysząc się i zakręcając biodrem, zanim wezwała następnego świadka.

- Oskarżenie wzywa na świadka doktor Claire Washburn!

## **Rozdział 75**

Przemierzając salę sądową i idąc w stronę fotela dla świadków, Claire czuła, jak wszystkie oczy zwracają się w jej kierunku. Jeszcze wczoraj o tej porze leżała w łóżku i miała nadzieję, że za dwie godziny znowu tam się znajdzie.

Zobaczyła Yuki, zgrabne dwudziestoosmioletnie małeństwo z oskarżycielską pasją na twarzy, przerażone na śmierć i starające się to ukryć przed wszystkimi. Claire uśmiechnęła się

do niej, gdy mijała ją, lekko powłócząc nogami, aby dotrzeć do katedry sędziego, gdzie znajdował się podest dla świadków.

Położyła dłoń na Biblii, którą trzymał woźny odczytujący formułę przysięgi, potwierdzoną przez świadka ostatecznym: „Przysięgam”. Usiadła i poprawiła fałdy sukienki, która okazała się zbyt luźna po schudnięciu o siedem kilogramów w ciągu niecałych trzech tygodni pobytu w szpitalu. To przez tę dietę „postrzałową”, pomyślała, moszcząc się w fotelu.

- Dziękuję za przybycie, pani Washburn. Rozumiem, że dopiero parę dni temu opuściła pani szpital?

- Tak, to prawda.

- Czy może pani powiedzieć przysięgłym, dlaczego znalazła się pani w szpitalu?

- Zostałam postrzelona w klatkę piersiową.

- Czy osoba, która do pani strzelała, znajduje się dziś na sali sądowej?

- Tak, to ten gnojek, tam, na ławie oskarżonych. Sherman nawet nie podniósł tyłka z fotela, tylko powiedział:

- Wysoki Sądzie, sprzeciwiam się takiemu słownictwu. Nie wiem, czemu ma to służyć, ale jestem przekonany, że świadek nie ma prawa nazywać mojego klienta „gnojkiem”.

- Doktor Washburn, obrońca prawdopodobnie ma rację.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Przemawia przeze mnie cierpienie. - Claire obrzuciła Brinkleya pogardliwym spojrzeniem. - Bardzo przepraszam. Nie powinnam wyzywać tego pana od gnojków.

Przez salę przetoczył się chichot i dotarł do ławy sędziów przysięgłych. Sędzia niespiesznie użył drewnianego młotka, by uciszyć publiczność, po czym powiedział:

- Zwracam się do wszystkich tutaj zgromadzonych. - Spojrzał znacząco w stronę Claire. - Zabraniam używania takiego języka. To nie jest kanał komediowy i nakazuję wszystkim opuścić salę, jeśli te wybuchy wesołości się powtórzą. Pani Castellano, proszę pilnować swojego świadka. To część pani obowiązków.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie.

Yuki chrząknęła i zwróciła się do świadka.

- Doktor Washburn, jakich obrażeń pani doznała?

- Miałam dziurę w klatce piersiowej od postrzału kulą kalibru trzydzieści osiem, która przebiła mi płuco i niemalże doprowadziła mnie do śmierci.

- To musiało być bardzo przerażające i bolesne przeżycie?

- Owszem. Trudno to wyrazić słowami.

- Sędziowie widzieli film z wydarzeń na promie. Czy może pani powtórzyć słowa, które wypowiedziała pani do oskarżonego, zanim ten do pani strzelił?

- Powiedziałam: „Okay, chłopie. Już wystarczy. Oddaj mi bron”

- I co się wówczas stało?

- Powiedział, że niby to była moja wina i że powinnam go powstrzymać. Potem pamiętam już tylko to, jak sanitariusze wynosili mnie z promu.

- Czyli próbowała pani powstrzymać go przed strzelaniem do kolejnych osób?

- Tak.

- Czy widziała pani inne osoby, które także próbowały to zrobić?

- Tak. Ale on bardzo precyzyjnie celował i zastrzelił wszystkich. Panu Ng strzelił prosto w głowę, aż jego mózg wyprysnął na pokład.

- Dziękuję, pani doktor. Nie mam więcej pytań. Świadek do dyspozycji obrony - zakończyła Yuki.

## **Rozdział 76**

Mickey Sherman znał Claire Washburn od wielu lat, bardzo ją lubił i cieszył się, że przeżyła tragedię na Del Norte.

Stanowiła ona jednak wielkie zagrożenie dla jego klienta.

- Doktor Washburn, czym się pani zajmuje zawodowo?

- Jestem głównym ekspertem medycyny sądowej San Francisco.

- Czyli, w odróżnieniu od koronera, jest pani lekarzem medycyny, czy tak?

- Tak.

- Gdy odbywała pani staż zawodowy, czy pracowała pani także w klinice akademii medycznej?

- Tak.

- Czy miała pani praktyki na oddziale psychiatrycznym?

- Tak.

- Czy widziała pani kiedyś pacjentów oddziału psychiatrycznego o twarzach bez wyrazu?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To jest bez związku ze sprawą - zaprotestowała Yuki.

- Odrzucony. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

- Nie pamiętam żadnego z moich pacjentów z oddziału psychiatrycznego, panie Sherman. Wszyscy pacjenci, którymi zajmuję się obecnie, z pewnością mają twarze bez wyrazu.

- W porządku - odparł Sherman, uśmiechając się, a następnie, trzymając ręce w kieszeniach, zrobił kilka kroków wzdłuż ławy przysięgłych, po czym ponownie zwrócił się do Claire: - No dobrze, pani doktor, rozumiem, że miała pani szansę przyjrzeć się panu Brinkleyowi, czyż nie?

- To byłoby naciąganie znaczenia słowa „przyjrzeć”.

- Tak czy nie, doktor Washburn?

- Tak, „przyjrzałam” mu się na promie i widzę go teraz tutaj.

- Porozmawiajmy o tym, co wydarzyło się na promie. Zeznała pani przed chwilą, że mój klient powiedział coś w stylu: „To twoja wina” i „Powinnaś była mnie powstrzymać”.

- Tak było.

- Czy strzelanina wynikała z pani winy?

- Nie.

- Więc co Fred Brinkley mógł mieć na myśli?

- Nie mam pojęcia.

- Czy pan Brinkley wydawał się zdrowy na umyśle? Czy można było sądzić, że potrafi odróżnić dobro od zła?

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie jestem psychiatrą.

- No dobrze. Czy on świadomie próbował panią zabić?

- Tak sądzę.

- Czy skądś panią znał?

- Absolutnie nie.

- Czy sprowokowała pani pana Brinkleya do tego, aby oddał do pani strzał?

- Wręcz przeciwnie.

- A zatem musiałaby pani przyznać, że oddanie przez niego strzałów było zasadniczo przypadkowym działaniem, nieopartym na żadnych uzasadnionych podstawach?

- Tak mi się wydaje.

- Tak się tylko pani wydaje? Nigdy go pani wcześniej nie spotkała, a on wygadywał do pani rzeczy, które były całkowicie pozbawione sensu. Widziała pani, jak strzela do czworga ludzi zanim skierował broń w pani stronę, czyż nie? Czy nie istnieje proste słowo, które opisuje kogoś, kto zachowuje się w taki sposób? Czy przypadkiem nie jest to słowo „niepoczytalny”?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Naprowadzanie świadka. To jest kwestia do rozpatrzenia przez sędziów przysięgłych!

- Podtrzymuję.

Yuki opadła ciężko na fotel. Mickey dostrzegł, jak przenosi wzrok z niego na ławę przysięgłych, na świadka i znowu na niego. To dobrze. To znaczy, że jest rozzłoszczona.

- Czy pan Brinkley wydawał się pani normalny, doktor Washburn?

- Nie.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

- Pani Castellano, czy chce pani ponownie przesłuchać świadka? - zapytał sędzia.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Yuki wyszła zza ławy oskarżenia i zbliżyła się do świadka. Mickey zauważył, że ściągnęła w skupieniu brwi i zaciera dłonie opuszkami palców. Wiedział, że Yuki uwielbia gestykulować; prawdopodobnie w tej chwili próbowała się od tego powstrzymać.

- Doktor Washburn - zaczęła ponownie przesłuchanie - czy wie pani, co myślał Alfred Brinkley, gdy do pani strzelał?

- Nie, absolutnie nie - odpowiedziała Claire z naciskiem.

- Czy w pani opinii, gdy pan Brinkley panią postrzelił, nie wydaje się prawdopodobne, że zdawał sobie sprawę z bezprawności swojego postępowania? Czy mógł wiedzieć, że to, co czyni, jest złe?

- Tak.

- Dziękuję, pani doktor. Nie mam więcej pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

Gdy sędzia podziękował Claire Washburn, Mickey Sherman szepnął coś do swojego klienta, zasłaniając przy tym dłonią usta jak tarczą, jakby to, co mówił, było niezwykle intymne.

- Nieźle poszło, Fred, nie sądzisz?

W odpowiedzi Brinkley pokiwał głową jak piesek zabawka na tylnej półce samochodu - biedny facet nasączony psychotropami. Mickey usłyszał, jak Yuki Castellano wzywa następnego świadka.

- Proszę przywołać sierżant Lindsay Boxer do sali sądowej.

## **Rozdział 77**

Byłam po kiepsko przespanej nocy na - kanapie u Cindy. Budziłam się o nieparzystych godzinach i patrolowałam korytarze apartamentowca Blakely Arms.

Sprawdzałam wyjścia ewakuacyjne, klatki schodowe, dach i piwnice, ale nie spotkałam żadnego podejrzanego osobnika, tylko jedną staruszkę, która robiła pranie o drugiej w nocy. Po wschodzie słońca pojechałam na chwilę do siebie, żeby włożyć czyste ubranie, i teraz, siedząc przed salą sądową, poczułam nagle przyływ adrenaliny, gdy woźny wywołał mnie po nazwisku.

Weszłam przez dwuskrzydłowe drzwi i przedsionek, i dalej, po wytartej dębowej podłodze do podestu dla świadka, gdzie zostałam zaprzysiężona. Yuki powitała mnie oficjalnie i zadała kilka wstępnych pytań, by potwierdzić moją tożsamość, po czym przeszła do konkretów.

- Czy rozpoznaje pani mężczyznę, który przyznał się do zastrzelenia kilku osób na promie?

- Tak - odpowiedziałam i wskazałam na odświeżoną kupę gówna siedzącą obok Mickeya Shermana. Tak naprawdę Alfred Brinkley wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy widziałam go ostatni raz. Jego twarz się zaokrągliła, a wzrok przestał nerwowo uciekać na boki. Ogolony i ostrzyżony wyglądał na mężczyznę o sześć lat młodszego niż wtedy, gdy przyznał się do zabójstw na Del Norte. To było przerażające, ale wydawał się zupełnie niegroźny - jak najlepszy kuzyn Freddy, zwykły koleś z sąsiedztwa.

Yuki okręciła się na wysokim obcasie i zadała kolejne pytanie.

- Czy była pani zdziwiona, kiedy oskarżony zadzwonił do pani drzwi?

- Byłam wręcz oszołomiona, ale gdy zawołał na mnie z dołu i poprosił, bym zeszła i go aresztowała, odzyskałam nad sobą pełną kontrolę.

- I co pani zrobiła?

- Rozbroiłam go, zakułam w kajdanki i zadzwoniłam po wsparcie. Wraz z porucznikiem Warrenem Jacobim zawieźliśmy go do komendy, gdzie pan Brinkley został zarejestrowany i przesłuchany.

- Czy poinformowała pani aresztowanego o jego prawach?

- Tak, dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy go skułam, a drugi raz na komendzie.

- Czy sądzi pani, że zrozumiał swoje prawa?

- Tak. Przeprowadziłam test poczytalności, by upewnić się, że zna swoje nazwisko, wie, gdzie się znajduje i co zrobił. Zrezygnował ze swoich praw, co stwierdził na piśmie, i przyznał się po raz kolejny, że strzelał i zabił ludzi na Del Norte.

- Czy wydawał się pani w pełni poczytamy?



- Tak. Był zdenerwowany. Ale porucznik Jacobi i ja stwierdziliśmy, że myśli przytomnie i jest świadomy tego, co się wokół niego dzieje, i to właśnie określam słowem »poczytalny».

- Dziękuję, sierżant Boxer. Świadek do dyspozycji obrony.

Oczy sędziów przysięgłych zwróciły się na eleganckiego mężczyznę siedzącego obok Alfreda Brinkleya. Mickey Sherman wstał, zapiął środkowy guzik wytwornej grafitowszarej marynarki i uśmiechnął się do mnie uroczo.

- Cześć, Lindsay.

## Rozdział 78

Mickey pomógł mi kilka miesięcy temu, gdy zostałam oskarżona o brutalność podczas wykonywania obowiązków służbowych i nieumyślne spowodowanie śmierci. Doradził mi, w jaki sposób zeznawać, a nawet jak się ubrać i jakim tonem głosu składać wyjaśnienia. Nie zawiódł mnie, gdy znalazłam się w trudnej sytuacji. Gdyby nie pomoc Mickeya, to nie wiem, co bym teraz robiła, ale na pewno nie byłabym już policjantką.

Czułam wielką sympatię do tego człowieka, który był moim wybawcą, ale teraz odgrodziłam się od niego psychiczną tarczą, chroniącą mnie przed jego zjadliwym czarem, i skoncentrowałam się na obrazach, których nigdy nie wymażę z pamięci: ofiarach Alfreda Brinkleya. Chłopiec umarł w szpitalu. Claire, trzymając mnie za rękę i sądząc, że umiera, prosiła, bym zaopiekowała się jej synem.

Temu wszystkiemu był winien klient Shermana.

- Pani sierżant Boxer - zaczął Sherman - chyba rzadko zdarza się, aby zabójca sam oddawał się w ręce policji?

- To prawda.

- A Fred Brinkley specjalnie oddał się w pani ręce, czy to też prawda?

Tak sam zeznał.

- Czy znała pani Alfreda Brinkleya wcześniej?

- Nie, nie znałam go.

- Więc dlaczego pan Brinkley przyszedł do pani, by to właśnie pani go aresztowała?

- Powiedział, że widział mnie w telewizji, gdy zwróciłam się do społeczeństwa z prośbą o przekazywanie wszelkich informacji o zabójcy z promu. Powiedział, że zrozumiał to jako polecenie pojawienia się przed moim domem.

- Skąd dowiedział się, gdzie pani mieszka?

- Powiedział, że poszedł do biblioteki i skorzystał z komputera. Zdobył mój adres z Internetu.

- Zeznała pani, że rozbroiła pani oskarżonego. Odebrała mu pani broń, czy tak?

- Tak.

- I okazało się, że to ta sama broń, z której strzelał na promie, mam rację?

- Tak.

- I przyniósł z sobą, pod pani drzwi, pisemne przyznanie się do winy, czy to też prawda?

- Tak.

- Zatem wyjaśnijmy to sobie jeszcze raz: mój klient usłyszał pani apel do społeczeństwa w telewizji i zinterpretował to jako osobistą prośbę skierowaną do niego samego. Wyszukał pani nazwisko w Internecie, korzystając z komputera w bibliotece, i „dostarczył się” do pani miejsca zamieszkania, tak jakby realizował pani zamówienie z baru na wynos. I do tego miał przy sobie broń, z której zabił czworo ludzi.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! To jest nakierowywanie świadka - zaprotestowała Yuki.

- Dopuszczam pytanie, ale proszę przejść do meritum, panie Sherman.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. - Mickey podszedł do mnie i wwiercił się we mnie spojrzeniem mówiącym: „Możesz mi zaufać, dziecino”. - Oto, do czego zmierzam, pani sierżant. Czy zgodziłaby się pani ze mną, że przechowywanie przez zabójcę narzędzia zbrodni i przyniesienie jej pod dom detektywa z wydziału zabójstw jest postępowaniem nie tylko niecodziennym, ale też wręcz dziwnym?

- Tak, można by przyznać, że jest to zachowanie niecodzienne.

- Pani sierżant, czy pan Brinkley powiedział, dlaczego zastrzelił tych ludzi?

- Tak.

- I co powiedział?

Chciałam zakopać się pod ziemię albo odmówić odpowiedzi na to pytanie, ale oczywiście nie miałam takiej możliwości.

- Powiedział, że głosy kazały mu to zrobić.

- Głosy w głowie?

- Tak właśnie zrozumiałam jego odpowiedź.

Mickey uśmiechnął się do mnie, jakby mówił: „O tak, to wspaniały dzień dla obrony”.

- To wszystko. Dziękuję, Lindsay.

Yuki siedziała po drugiej stronie stolika w knajpie MacBaina. Wyglądała na bardzo zaniepokojoną, zupełnie jakby miała do siebie jakieś pretensje.

- Powinam była wnieść o powtórne przesłuchanie - powiedziała.

Pub był wypełniony po brzegi prawnikami i ich klientami, gliniarzami i różnymi pracownikami Budynku Sprawiedliwości. Yuki podniosła odrobinę głos, by przekrzyczeć zgiełk.

- Powinam była cię zapytać, co pomyślałaś, gdy Brinkley powiedział ci o tych głosach.

- A kogo obchodzi, co ja myślałam? To nic wielkiego.

- O nie, to jest właśnie poważna sprawa. - Yuki przeczesła włosy palcami. - „Sierżant Boxer, co pani pomyślała, gdy pan Brinkley powiedział, że to głosy nakłoniły go do popełnienia zbrodni?”

Wzruszyłam ramionami.

- No dalej, Lindsay. Powiedziałaabyś, że twoim zdaniem właśnie przygotowywał się do odegrania roli niepoczytalnego podczas procesu.

- Yuki, nie da się wszystkiego przewidzieć i odpowiednio zareagować. Świetnie ci idzie w tym procesie. Poważnie.

Yuki prychnęła.

- Mickeyowi udaje się odwrócić kota ogonem i z każdej negatywnej oceny zrobić pozytywną. „Mój klient zabił ludzi bez żadnego określonego powodu? To chyba znaczy, że jest nienormalny, tak?”

- To jego jedyna linia obrony. Pomyśl, dziewczyno: Brinkley sprawiał wrażenie człowieka odpowiedzialnego za swoje czyny i ja tak właśnie zeznałam. Ława przysięgłych nie weźmie słów Brinkleya na poważnie, bo on sam przyznał, że słyszał jakieś głosy.

- No tak. - Yuki darła chusteczkę na drobne kawałeczki. - Tak sobie właśnie pomyślałam, co też najlepsza przyjaciółka Marcii Clark powiedziała do niej tuż przed ogłoszeniem wyroku uniewinniającego OJ. Simpsona. „Nie martw się, Marcia. Nikt nie zwróci uwagi na tę rękawiczkę”.

Odchyliłam się do tyłu, gdy Syd stawiała na stole zamówione przez nas hamburgery i stos frytek.

- Hej - powiedziałam do Yuki, chcąc ją rozweselić. - Widziałam Mickeya na stopniach sądu otoczonego przez reporterów. Pamiętasz, jak bardzo podobał nam się jego magiczny

numer, który wyciął prasie minionego lata? Teraz to dopiero jest prawdziwą gwiazdą mediów!

Yuki nawet się nie uśmiechnęła.

- Yuki, posłuchaj - zaczęłam, łapiąc ją za nadgarstek. - Bardzo dobrze ci idzie. Kontrolujesz wszystko, co się dzieje w procesie, a na dodatek jesteś bardzo przekonująca.

- Okay, okay - uspokajała się Yuki. - Już przestaję jęczeć. Dzięki za zeznanie. I dzięki za wsparcie.

- Zrób coś dla mnie dziewczyno.

- Co?

- Właduj w siebie teraz kilka kalorii i się zrelaksuj. Yuki podniosła hamburgera, ale po chwili z powrotem odłożyła go na talerz. Nawet nie musnęła go ustami.

- Wiesz, co mnie gryzie, Lindsay? Popełniłam błąd. W takiej sprawie jak ta nie wolno popełniać błędów. Ani jednego. A teraz właśnie zrozumiałam, że mogę przegrać tę sprawę.

## Rozdział 80

- Właśnie dzwonił Macklin - poinformował mnie Jacobi, ledwo przestąpiłam próg sali wydziału zabójstw po powrocie z lunchu, gdy razem z Conklinem zameldowaliśmy się w jego biurze. - Mniej więcej trzy godziny temu w Los Angeles porwano jakiegoś dzieciaka prosto z ulicy. Chłopczyka. Podobno jest matematycznym geniuszem.

Nawet nie usiadłam, tylko od razu zasypałam Jacobiego pytaniami:

- Czy dziecko porwał ktoś z czarnego minivana? Czy na miejscu porwania znaleziono jakieś dowody? Mamy jakiś opis? Numery tablic rejestracyjnych? Cokolwiek? Czy sprawdzono rodziców dziecka? Czy porywacze już się odezwali? Czy to uprowadzenie było podobne do porwania Madison Tyler?

- Boxer, wyluzuj, dobra?! - odbił piłkę Jacobi, wrzucając pozostałości po cheeseburgerze do kosza. - Powiem wam wszystko, co wiem. Każdy najmniejszy szczegół.

- W takim razie się streszczaj - zażartowałam. Usiadłam i pochyliłam się do przodu, opierając łokcie o jego biurko.

Jacobi zaczął relacjonować:

- Rodzice byli w domu, a dziecko bawiło się w ogródku z tyłu domu. Matka usłyszała pisk hamulców. Właśnie rozmawiała przez telefon, więc wyjrzała przez okno na ulicę i zobaczyła czarnego minivana odjeżdżającego z piskiem opon. Nie zwróciła na to większej uwagi. Dopiero kilka minut później zajrzała do ogródka i odkryła, że chłopiec zniknął.

- Czy chłopiec mógł sam znaleźć się w ogródku przed domem? - zapytał Conklin.

- Owszem. Brama była otwarta. Dzieciak sam mógł ją otworzyć. Przecież to bystrzacha, co nie? Albo też zrobił to ktoś inny. Departament Policji Los Angeles ogłosił już pomarańczowy alarm, ale ojciec wolał nie ryzykować i od razu powiadomił federalnych.

Jacobi podał mi faks z logo FBI. Druga strona zawierała zdjęcie cudownego chłopca o wielkich okrągłych oczach i dołeczkach w policzkach - prawdziwego cukiereczka.

- Chłopiec nazywa się Charles Ray i ma sześć lat. Policja przeprowadziła analizę śladów opon przed domem Rayów i odpowiadają one oponom montowanym fabrycznie w ostatnim modelu minivana Hondy. To dla nas dobra wiadomość, ale nie ma żadnego dowodu, że to właśnie ten samochód został wykorzystany do porwania u nas. Nie udało im się zebrać żadnych obcych odcisków palców z bramy.

- Czy dziecko miało nianię? - zapytałam.

- Tak. Nazywa się Briana Kearny. Gdy porwano Charliego, była akurat u dentysty. Jej alibi zostało potwierdzone. To pewnie przedwczesny wniosek, Boxer, ale może tak się zdarzyć, że ten sam ktoś, kto porwał Madison Tyler, jest również zamieszany w porwanie w Los Angeles. A może wcale nie.

- Powinniśmy przesłuchać rodziców chłopca - stwierdził Conklin.

- Po co się w ogóle pytacie? To tak, jakbym mógł was przed czymkolwiek powstrzymać, nawet gdybym chciał marudził Jacobi. - Para wściekłych psów śledczych.

Jacobi przesunął w naszą stronę dwie kartki - elektroniczne bilety lotnicze dla mnie i Conklina, z San Francisco do Los Angeles i z powrotem.

- Posłuchajcie - odezwał się na koniec. - Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, traktujemy porwanie tego chłopca jako część sprawy Tylera, więc macie złożyć raport porucznikowi Macklinowi. I mnie też informujcie, co się dzieje. - Spojrzał na zegarek. - Jest piętnaście po drugiej. W LA powinniście być przed czwartą.

## **Rozdział 81**

Rayowie mieszkali w jednym z kilkudziesięciu prawie identycznych, przytulonych do siebie bokami domów, rozłożonych po obu stronach ulicy. Przy radiowozach zaparkowanych przed ich domem stali gliniarze i rozmawiali między sobą. Kiedy pokazaliśmy im nasze odznaki, skinęli nam głowami na powitanie.

- Mama chłopca jest w domu - poinformował nas jeden z mundurowych.

Eileen Ray podeszła do drzwi. Była biała, tuż po trzydziestce, i miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Na oko mogła być w ósmym miesiącu ciąży i wyglądała, jakby ledwo trzymała się na nogach. Ciemne włosy spięła w kucyk, a jej twarz była czerwona i poorana śladami łez.

Przedstawiłam Conklina i siebie, a pani Ray zaprosiła nas do środka. Technik FBI zakładał właśnie podsłuch do telefonu.

- Policjanci byli bardzo mili... jesteśmy wdzięczni... - wyznała pani Ray i gestem wskazała na sofę i fotel.

Salon zawałony był kredensikami, których szuflady pokryto wzorami z szablonu, koszami, domkami dla ptaków i suszonymi kwiatami. Obok stołu kuchennego piętrzyła się sterta złożonych kartonów do pakowania. Wszechobecna woń lawendy potęgowała wrażenie, jakby człowiek znalazł się nagle w sklepie z upominkami.

- Pracujemy w domu - wyjaśniła pani Ray, odpowiadając na pytanie, którego jeszcze nie zdążyłam zadać. - Sprzedajemy nasze wyroby na eBayu.

- Gdzie jest pani mąż? - zapytał Conklin.

- Scotty z agentem FBI i Brianą jeżdżą po okolicy samochodem. Mój mąż ciągle ma nadzieję, że Charlie się zgubił i teraz błąka się gdzieś po okolicy. Charlie na pewno jest przerażony! - wykrzyknęła Eileen Ray. - Mój Boże, przez co on teraz przechodzi! Kto mógłby go nam zabrać? - pytała łamiącym się głosem. - I dlaczego?!...

Nie mogliśmy udzielić jej żadnych odpowiedzi, za to sami zadaliśmy jej mnóstwo pytań: o ich zwyczaje domowe, o relacje z mężem, o to, dlaczego brama była otwarta, czy ktokolwiek - członek rodziny, przyjaciele, albo ktoś obcy - wykazywał przesadne lub niewłaściwe zainteresowanie Charliem. Żadna odpowiedź nie była rewelacją, na której moglibyśmy oprzeć dalsze śledztwo.

Eileen Ray miętoszyła w rękach chusteczkę do nosa, gdy w domu pojawił się Scott Ray z agentem FBI i opiekunką chłopca, pełnoletnią nastolatką o twarzy dziecka. Conklin i ja podzieliliśmy się zadaniami, Conklin przesłuchiwał Scotta w pokoju chłopca, a ja rozmawiałam z Brianą w kuchni. W odróżnieniu od importowanych z Europy niań z Westwood Registry Briana Kearny była Amerykanką z drugiego pokolenia - miejscową dziewczyną, która mieszkała trzy przecznice dalej i opiekowała się Charliem, gdy zaszła taka potrzeba. Jednym słowem, była raczej babysitterką niż nianią.

Briana głośno łkała, gdy wypytywałam ją o przyjaciół, chłopaka oraz o to, czy ktokolwiek pytał ją o rodzinę Rayów i ich zwyczaje domowe.

Zakończyliśmy przesłuchania, schowaliśmy nasze notatniki i pożegnaliśmy się, zostawiając przytulny domek, w którego oknach wraz z zapadającym zmrokiem zapaliły się elektryczne świece.

- Dziewczyna nie miała nic wspólnego z porwaniem dziecka - oświadczyłam.

- Nie mogę także niczego złego powiedzieć o ojcu - dodał Conklin. - To wygląda tak, jakby jakiś pedofil wciągał dzieci do swojego vana.

- To przerażające, jak łatwo można porwać dziecko. Taki perwert mówi: „Chcesz zobaczyć uroczego pieska?” i malec sam podchodzi bliżej. Zbok łapie swoją ofiarę, wrzuca do samochodu i odjeżdża. Żadnych świadków. Żadnych dowodów. I pozostaje tylko długie czekanie na telefon od porywacza... który nigdy nie następuje.

## Rozdział 82

Sześcioletniego Charliego Raya uprowadzono ponad siedem godzin temu, a porywacze jeszcze nie zadzwonili do jego rodziców. Rayowie, w odróżnieniu od Tylerów, mieli skromne dochody, które raczej nie mogły zachęcić do uprowadzenia ich dziecka dla okupu. Charlie miał jednak pewną cechę, która mogła sprowokować do porwania.

Siedzieliśmy w biurze kapitana Jimeneza, a agent David Stanford przedstawiał nam fakty i hipotezy. Był niebieskookim facetem o siwiejących długich włosach spiętych w kucyk, który pracował jako tajniak w innym śledztwie, zanim został przydzielony do tej sprawy.

Wzięłam ulotkę ze stosu dokumentów na biurku kapitana i przyglądałam się okrągłym oczom, dziecięcym zębom i krótko przystrzyżonym kędziorkom Charliego Raya. Zastanawiałam się, czy jego ciało zostanie znalezione za kilka tygodni lub miesięcy na wysypisku śmieci albo w płytkim grobie, czy też zostanie wyrzucone przez ocean na plażę.

Po zakończeniu spotkania zadzwoniłam do Macklina i złożyłam ustny raport. Potem agent Stanford podwiózł nas na lotnisko. Skręcając z autostrady, Stanford zaproponował, żebyśmy wstąpili na drinka do Marriottu obok lotniska. Chciał, żebyśmy opowiedzieli mu wszystko o porwaniu Madison Tyler.

Jeśli chodzi o mnie, to na pewno miałam ochotę na drinka. A może nawet na dwa.

Siedzieliśmy w restauracji Latitude 33, gdzie - pogryzając fistaszki i popijając piwo - opowiedzieliśmy agentowi FBI o przypadku Madison, on zaś odwdzieczył się okropną historią porwania dziecka, nad którą pracował kilka miesięcy wcześniej.

Dziesięcioletnią dziewczynkę porwano prosto z ulicy, gdy wracała ze szkoły do domu. Została znaleziona dwadzieścia cztery godziny później zgwałcona i uduszona, porzucona na

ołtarzu w kościele z rączkami złożonymi jak do modlitwy. Zabójca nadal nie został odnaleziony.

- Jak często tego typu porwania kończą się odzyskaniem dziecka? - zapytałam.

- W większości przypadków porwania dokonywane są przez członków rodziny. W takich sytuacjach dziecko zwykle wraca do domu bez obrażeń. Gdy porywacz jest kimś obcym, to szanse na odzyskanie dziecka są fifty-fifty. - W głosie Stanforda, gdy nam to opowiadał, dawało się wyczuć ogromne napięcie. - Możecie to nazwać poświęceniem albo nawet obsesją, ale wierzę, że im więcej takich zboczonych drapieżców dorwę, tym świat będzie bezpieczniejszy dla mojej trójki dzieci.

### **Rozdział 83**

- A może dotrzymacie mi towarzystwa i zjemy razem obiad? - zaproponował Stanford.

Kelner przyniósł karty dań, a skoro nasz samolot o ósmej właśnie odleciał, chętnie przyjęliśmy zaproszenie Stanforda. David zamówił butelkę pinot grigio, a Conklin i ja opowiadaliśmy mu o porwaniu i morderstwie Paoli Ricci.

- I szczerze powiedziawszy, znaleźliśmy się w kropce - przyznałam się Stanfordowi. - Nasze ślepe uliczki stają się wręcz jeszcze ciemniejsze i bardziej ślepe. Jesteśmy już na piątym poziomie gry w ślepe uliczki.

Na stole pojawiły się nasze steki, a Stanford zamówił kolejną butelkę wina. Po raz pierwszy od dłuższego czasu udało mi się odprężyć, ciesząc się z towarzystwa i możliwości uczestniczenia w burzy mózgów, przy akompaniamencie muzyki county-and-western granej na żywo przez kapelę w rogu sali.

Stawałam się także coraz bardziej świadoma długich nóg Conklina, które od czasu do czasu dotykały moich, jego brązowej, zamszowej marynarki przytulającej się do mojego ramienia, a także jego charakterystycznego tembru głosu i wina lekko wlewającego się do przelęku wraz z wpływającym w przyjemnej atmosferze czasem. Około dwudziestej pierwszej piętnaście Dave Stanford zapłacił rachunek i powiedział, że będzie nas informował o postępach śledztwa i o wszystkim, co się wydarzy, a co mogłoby pomóc nam w śledztwie Ricci-Tyler. Przegapiliśmy kolejny lot do San Francisco i gdy zegnaliśmy się ze Stanfordem, wiedzieliśmy, że najbliższą godzinę spędzimy przed stanowiskiem United Airlines, czekając na następny lot.



Byliśmy już w drzwiach wyjściowych z restauracji, gdy zespół muzyczny zagrał kawałek z dyskografii Kenny'ego Chesneya i solistka zaczęła zachęcać gości do wspólnego tańca.

Towarzystwo przy barze, złożone z zawianych podróżników i personelu lotniczego, zaczęło ochoczo tańczyć Electric Slide - popularny taniec dyskotekowy.

Rich uśmiechnął się i zapytał:

- Potrząśniemy tyłkami na parkiecie?

- Jasne, do licha, a dlaczego nie? - odparłam z uśmiechem. Rich zaprowadził mnie na parkiet i zaczęliśmy się świetnie bawić, świrując w tańcu, zderzając się z innymi nakręconymi baletnikami i śmiejąc się radośnie. Dużo czasu minęło od ostatniego razu, gdy wręcz pokładałam się ze śmiechu. Czułam się wspaniale.

Gdy skończył się kolejny taniec, piosenkarka wyjęła mikrofon ze stojaka, zwilżyła usta i zaśpiewała Lyin Eyes z akompaniamentem elektrycznego pianina. Tańczący połączyli się w pary. Rich także wyciągnął do mnie ręce, a ja chętnie się w niego wtuliłam. Mój Boże, jak dobrze się czułam w jego objęciach.

Sala kręciła się trochę dookoła, więc przymknęłam powieki i trzymałam się Richiego, a odległość między nami zmniejszyła się do zera, choćby z tego powodu, że na małym parkiecie zrobiło się bardzo tłoczno. Tańczyłam na palcach, by móc położyć głowę na jego ramieniu, a on przycisnął mnie do siebie.

- Cholercia, nie chce mi się jechać na lotnisko, a tobie? zapytał Rich, gdy ucichła muzyka.

Jeśli dobrze pamiętam, to powiedziałam, że nie bardzo, tylko że trzeba będzie wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla szefa.

Byłam rozdarta wewnątrz, gdy wręczałam kartę kredytową recepcjonistce w Marriotcie, i wmawiałam sobie, że to wszystko nic nie znaczy. Nie miałam zamiaru robić czegokolwiek; chciałam tylko udać się do swojego pokoju i zasnąć. I to wszystko!

Przez dziesięć pięter jechaliśmy w milczeniu, stojąc po przeciwnych stronach wyłożonej lustrami kabiny windy. Między nami stała jakaś zmęczona para. Musiałam przyznać sama przed sobą, że żałowałam, iż nie jestem w jego ramionach.

- Dobranoc, Rich - powiedziałam, gdy wyszliśmy z windy, i odwróciłam się na pięcie. Wsunęłam elektroniczną kartę klucza do drzwi, świadoma, że on robi teraz dokładnie to samo po przeciwnej stronie korytarza.

- Do rana, Lindsay.

- Jasne. Spij dobrze, Richie.

Zapaliło się małe zielone światełko i drzwi ustąpiły po przekręceniu gałki.

## Rozdział 84

Zamknęłam drzwi na zasuwkę. Moje myśli wędrowały od tęsknoty i pożądanego do ulgi i żalu. Rozebrałam się i chwilę później krew pulsowała mi w skroniach, gdy stałam pod gorącym strumieniem wody z prysznica.

Czysta, z zaróżowioną od gorącej wody skórą, wytarłam się ciepłymi ręcznikami frotte i wysuszyłam włosy. Przetarłam lustro nad umywalką z pary wodnej i spojrzałam na swoje nagie ciało. Nadal byłam w dobrej kondycji, wyglądałam młodo i ponętnie. Miałam jędrne piersi, płaski brzuch, a moje blond włosy spływały falami aż na łopatki.

Zacząłam się zastanawiać, dlaczego Joe do mnie nie zadzwonił.

Owinęłam się białym hotelowym szlafrokiem, wyszłam z łazienki i sprawdziłam pocztę głosową w komórce. Była pusta. Zupełnie jak moja uparta sekretarka automatyczna w domu.

Minęło sześć dni od mojego ostatniego spotkania z Joem.

Czy wszystko między nami naprawdę było skończone?

Czy już nigdy go nie zobaczę? Dlaczego nie próbował mnie odzyskać?

Zaciągnęłam zasłony, złożyłam kapę przesywaną złotą nicią i przetrzepałam poduszki. Kręciło mi się w głowie od wina i gorącego prysznica, więc położyłam się na łóżku.

Z zamkniętymi oczami studiowałam w pamięci blaknące obrazy Joego, które stopniowo zmieniały się w dzisiejsze fantazje. Cofnęłam się o pół godziny, gdy Rich trzymał mnie w ramionach. Jeszcze raz przeżywałam tę chwilę, gdy taniec z nim przeistoczył się z normalnego w niezwykły, gdy czułam go tak blisko siebie, gdy objęłam go za szyję i mocno się do niego przycisnęłam.

Powiedziałam sobie, że takie uczucia nie są wcale niczym złym. Przecież jestem tylko człowiekiem i on też, i nasze reakcje „sam na sam” były zupełnie naturalne...

Nagle pukanie do drzwi poraziło mnie.

Serce podskoczyło mi do gardła, gdy pukanie się powtórzyło.

## Rozdział 85

Zawiązałam pasek szlafroka i potupałam boso do drzwi. Przez wizjer zobaczyłam Richa Conklina. Na jego głowie tkwił beznadziejny foliowy berecik prysznicowy! Ze śmiechem odsunęłam zasuwkę i otworzyłam drzwi. Conklin miał na sobie spodnie, a jego niebieska koszula była rozpięta do połowy. Trzymał w dłoni szczoteczkę do zębów, zaciskając palce na jej trzonku, jakby była to biała chorągiewka.

- Zastanawiałem się, czy masz może płyn do płukania ust, Lindsay. W mojej łazience jest pełno kremu nawilżającego, ale żadnego płynu do płukania ust.

Jego poważny wyraz twarzy, połączony z dziwaczną prośbą i foliowym berecikiem, rozłożył mnie całkowicie.

- Ja też nie mam płynu do płukania ust w łazience, ale chyba powinnam coś znaleźć w torebce... - odpowiedziałam i wpuściłam go do środka.

Gdy schylałam się po torebkę porzuconą niedbale na podłodze, potknęłam się o swoje buty.

Rich złapał mnie za ramię, żebym się nie przewróciła, i nagle stanęliśmy naprzeciwko siebie - oko w oko. Zakręciło mi się w głowie. Byliśmy zupełnie sami w pokoju hotelowym w LA. Zdjęłam mu z głowy foliowy berecik. Grzywka z jasnobrązowych włosów opadła na jego urodziwą twarz, a on upuścił szczoteczkę do zębów na podłogę, objął mnie w talii i mocno przyciągnął do siebie.

- W kwestii zagadnień organizacyjnych mam tylko jeden problem, i to duży!

Rich pochylił się, by mnie pocałować. Ja też tego chciałam. Drugi raz tego wieczoru objęłam go za szyję, a jego usta spotkały się z moimi ustami. Nasz pierwszy pocałunek wywołał chemiczną eksplozję.

Przytulałam się do niego, gdy kładł mnie na łóżku. Pamiętam, że leżałam pod nim; nasze palce splotły się, a on tak miękko wymawiał moje imię, tak delikatnie.

- Zawsze chciałem być tak blisko ciebie, Lindsay. Nawet gdy jeszcze nie znałaś mojego imienia.

- Zawsze znałam twoje imię.

Bardzo go pragnęłam i miałam prawo dać mu siebie. Ale gdy ten młody przystojniak rozchylił mój szlafrok i przyłożył usta do moich piersi, przeszła mnie strzała czystej paniki i poczułam coś, co przypominało pociągnięcie za hamulec bezpieczeństwa w móżgu.

To był zły pomysł. Naprawdę zły.

- Nie, Richie - wyszeptałam.

Gdy przekręcił się na bok, zsunęłam poły szlafroka. Zarumieniony z podniecenia, wpatrywał mi się głęboko w oczy.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie, nie przepraszaj. - Chwyciłam jego dłoń, przytuliłam do policzka i nakryłam swoją. - Pragnę tego tak bardzo, jak ty. Ale jesteśmy partnerami, Rich. Musimy wzajemnie o siebie dbać. Ale... nie w taki sposób.

Uśmiechnął się tylko, gdy powiedziałam:

- Nigdy nie będziemy mogli tego zrobić.

## Rozdział 86

Następnego ranka, po powrocie z LA, stanęliśmy z Conklinem przed drzwiami Westwood Registry. Stuknęłam kołatką. Otworzył nam elegancki mężczyzna po pięćdziesiątce o okrągłej twarzy, siwiejących blond włosach i szarych oczach, które przyglądały mi się przez soczewki okularów bez oprawek, nasadzonych na szpiczasty nos.

Czy on miał coś wspólnego z porwaniem Madison Tyler?

Czy wiedział, gdzie ona jest?

Pokazałam odznakę i przedstawiłam siebie i partnera.

- Tak, to ja jestem Paul Renfrew - przyznał stojący w drzwiach mężczyzna. - Czy państwo są tymi detektywami, którzy byli tutaj kilka dni temu?

Przytaknęłam i dodałam, że mamy kilka pytań dotyczących Paoli Ricci.

Renfrew zaprosił nas do środka. Poszliśmy za nim wąskim korytarzem, przez zielone drzwi, które były zamknięte na kłódkę, gdy byliśmy tutaj ostatnim razem.

- Proszę, niech państwo usiądą.

Conklin i ja usiedliśmy na małych sofach ustawionych pod kątem prostym w rogu przytulnego biura. Renfrew przysunął sobie fotel.

- Przypuszczam, że chcą państwo wiedzieć, gdzie byłem, gdy wprowadzono Paolę?

- To na początek - odparł Conklin. Wyglądał na zmęczonego. Ja chyba też.

Renfrew wyciągnął wąski notesik z kieszeni na piersiach - terminarz, który był popularny, zanim wprowadzono na rynek palmtopy. Bez żadnych dodatkowych pytań w treściwy sposób opowiedział nam o wszystkich swoich wyjazdach na północ od San Francisco poczynionych kilka dni przed porwaniem, w dniu, kiedy do niego doszło, i po śmierci Paoli. Podał nam także nazwiska potencjalnych klientów, z którymi się spotykał.

- Mogę zrobić państwu kserokopię tego terminarza - zaoferował.

Na skali jeden do dziesięciu, gdzie dziesiątka oznaczała katastrofalny pożar, wskazówka mojej intuicji wskazywała siódemkę. Renfrew był aż za dobrze przygotowany na spotkanie z nami.

Wzięłam od niego kserokopię i zapytałam, gdzie w tym czasie przebywała jego żona.

- Ona podróżuje po Niemczech i Francji - wyjaśnił Renfrew. - Nie mam dokładnego planu jej podróży, ponieważ żona dostosowuje się do sytuacji, ale spodziewam się jej w domu w przyszłym tygodniu.

- Czy ma pan jakieś podejrzenia co do tego, kto mógłby chcieć skrzywdzić Paolę lub Madison?

- Nie mam żadnych. Za każdym razem, gdy włączam telewizor, słyszę kolejne informacje o porwaniach. To jakaś epidemia! Paola była wspaniałą osobą i jest mi niezmiernie smutno, że nie żyje. Wszyscy ją uwielbiali. Madison widziałem tylko raz - ciągnął Renfrew. - Dlaczego ktoś chciałby porwać takie cudowne dziecko? W głowie mi się to nie mieści! Jej śmierć jest okropną, okropną tragedią...

- A dlaczego pan sądzi, że Madison nie żyje? - zapytałam natychmiast.

- To ona żyje? Przypuszczałem... przepraszam. To przejęzyczenie. Mam szczerą nadzieję, że odnajdziecie ją żywą.

Wychodziliśmy już z Westwood Registry, gdy administratorka Paula Renfrew, Mary Jordan, wstała zza biurka i ruszyła za nami w stronę drzwi.

Na zewnątrz był zimny i wilgotny poranek, a w powietrzu unosił się zapach ryb dochodzący z pobliskiego targowiska. Jordan wyszła za nami i złapała mnie za ramię.

- Zabierzcie mnie gdzieś, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Muszę wam coś powiedzieć - rzuciła pośpiesznie.

## **Rozdział 87**

Piętnaście minut później byliśmy z powrotem na komendzie. Siedzieliśmy z Jordan w naszej ponurej kuchence. Trzymała w ręce kubeczek z kawą, choć nie wypła jeszcze ani łyka.

- Po państwa wizycie kilka dni temu, zanim pan Renfrew wrócił z podróży, zdecydowałam się trochę poszperać w papierach. I natknęłam się na to - oświadczyła, wyjmując z torebki kserokopię bilansu kosztów z księgi przychodów i rozchodów Westwood Registry.

- Skąd to masz, Mary? - zapytał Conklin.

- Znalazłam klucze do prywatnego biura państwa Renfrew. Tam trzymają swoją księgowość.

Zadzwoiłam do biura prokuratora okręgowego i złapałam Kathy Valoy, zastępcę prokuratora. Opisałam jej sytuację, powiedziała, że będzie za minutkę. Valoy była jednym z tych ludzi, którzy gdy mówią „za minutkę”, to naprawdę mają na myśli jedną minutę. Wpadła do naszej kuchni i przedstawiliśmy ją Mary Jordan.

- Czy sierżant Boxer albo inspektor Conklin prosili panią o zdobycie tych materiałów?

- Absolutnie nie.

- Gdyby panią proszono o zdobycie tych materiałów - wyjaśniała Valoy - to działałaby pani jako przedstawiciel policji, i gdyby doszło do sprawy w sądzie, musielibyśmy wykluczyć księgę rachunkową z dowodów procesowych.

- Sama zdobyłam te materiały i nikt mnie o to nie prosił - odpowiedziała Jordan.

- Lindsay, musimy kiedyś wyskoczyć na lunch - rzuciła z uśmiechem Valoy, pomachała mi ręką i wyszła.

Poprosiłam Mary Jordan o kartkę i odczytałam nagłówek - Opiekunki, Klienci, Honoraria - wszystkie wpisy były datowane w bieżącym roku kalendarzowym.

Rubryka opiekunek zawierała głównie obco brzmiące nazwiska kobiet. W rubryce dotyczącej klientów pojawiło się słowo „państwo” przed każdym nazwiskiem. Honoraria były pięciocyfrowymi kwotami w dolnym przedziale.

- Czy wszystkie te dziewczyny umieszczono w rodzinach w tym roku? - zapytałam.

- Tak. A pamięta pani, jak opowiadałam o dziewczynie o imieniu Helga, która zniknęła około ośmiu miesięcy temu, gdy firma mieściła się jeszcze w Bostonie?

- Pamiętam.

- Sprawdziłam ją w rejestrze. Tu jest - wskazała Jordan, stukając palcem w nazwisko na liście. - Helga Schmidt. I obok jest nazwisko ludzi, u których pracowała: Penelope i William Whittenowie.

- Mów dalej - poprosił Conklin.

- Z informacji firmowych wynika, że Whittenowie mają córeczkę, Erice. To matematyczny geniusz rozwiązujący zadania na poziomie uniwersyteckim, choć ma zaledwie cztery lata. Sprawdziłam tych Whittenów w Internecie i znalazłam wywiad udzielony czasopismu „Boston Globe”...

Kolejna kartka z torebki Mary Jordan. Położyła wydruk artykułu na stole, odwróciła w naszą stronę, byśmy mogli go przeczytać, a sama zaczęła go nam streszczać.

- Ten artykuł ukazał się w dziale Życie w maju. Pan Whitten jest ekspertem w dziedzinie winiarstwa i wraz z żoną udzielali wywiadu w domu. A w tym miejscu - wskazała palcem na akapit na końcu wywiadu - Whittenowie mówią, że ich córka Erica pojechała do siostry pani Whitten do Anglii, do prywatnej szkoły. To wszystko wydaje mi się totalnie niewiarygodne - stwierdziła Jordan. - Whittenowie wynajęli nianię. Niania nagle znika, a oni wysyłają córkę do Europy? Przecież ona ma zaledwie cztery lata! Whittenowie mogą sobie pozwolić na prywatnych nauczycieli i guwernantki u siebie. Dlaczego mieliby wysyłać swoje dziecko tak daleko?

Rich i ja wymieniliśmy spojrzenia, a Jordan mówiła dalej.

- Może nawet bym się nad tym tak bardzo nie zastanawiała, gdyby nie zabójstwo Paoli i uprowadzenie Madison - oświadczyła. - Ja po prostu nie wierzę, że Erica Whitten mieszka w Anglii. Sądźcie, że zwariowałam?

- Wiesz, co ja sądzę, Mary? - zapytałam. - Masz instynkt gliny!

## Rozdział 88

Jacobi zakaszlał spazmatycznie za moimi plecami. Powietrze było siwe od dymu z ohydneho cygara Tracchia, a na jego biurku trzeszczał włączony speaker telefonu.

Na linii był agent FBI Dave Stanford, który dzwonił z domu Whittenów z Bostonu.

- Whittenowie mają zszargane nerwy, ale udało mi się wyciągnąć od nich całą historię. Ich najmłodsza córka, Erica, została uprowadzona osiem miesięcy temu razem z nianią Helgą Schmidt.

Czy wreszcie trafiliśmy na coś, co łączyło się ze sprawą Ricci-Tyler? Ale skoro Erice uprowadzono osiem miesięcy temu, dlaczego Whittenowie nie zgłosili tego na policję?

- Nie było świadków porwania - mówił dalej Stanford - ale Whittenowie znaleźli wiadomość pod drzwiami godzinę po spodziewanym powrocie Eriki i Helgi ze szkoły. Oprócz kartki było tam kilka zdjęć.

- Czy było to żądanie okupu? - zapytał Macklin.

- Nie. Macie gdzieś blisko faks?

Tracchio podał Stanfordowi numer faksu. W tle słychać było kobietę i mężczyznę sprzecajających się po cichu. W końcu wszyscy usłyszeli donośny głos kobiety:

- Powiedz im wszystko, Bill!

Stanford przedstawił Billa Whittena. Whitten powiedział „halo”, po czym Tracchio przedstawił siebie i ogólnie całą resztę zgromadzoną wokół jego biurka. Strach i złość Whittena ścisnęły mu gardło, przez co miał bardzo chrapliwy głos.

- Chcę, żebyście zrozumieli, co nam robicie. Oni napisali, że jeśli zadzwonimy na policję, to zabiją naszą córeczkę. Nasz dom może być na podsłuchu! Mogą nas teraz obserwować. Rozumiecie?!

Faks za biurkiem Tracchia zaczął wysuwać zadrukowaną kartkę, która wypadła na tackę.

- Sekundę - powiedział Tracchio, po czym podniósł przefaksowaną wiadomość i położył na stole tak, abyśmy mogli ją przeczytać.

MAMY ERICE. JEŚLI ZADZWONICIE NA POLICJĘ, ONA UMRZE. JEŚLI WOKÓŁ NAS BĘDZIE COŚ SIĘ DZIAŁO, ONA UMRZE. I WTEDY PRZYJDZIEMY PO RYAN, ALBO KAYLĘ, ALBO PATTY. BĄDŹCIE CICHO, TO ERICA BĘDZIE ZDROWA. DOSTANIECIE JEJ ZDJĘCIE RAZ NA ROK. MOŻE NAWET DO WAS ZADZWONI. MOŻE NAWET KIEDYŚ WRÓCI DO DOMU. BĄDŹCIE MĄDRZY. SIEDŹCIE CICHO. WSZYSTKIE WASZE DZIECI KIEDYŚ WAM ZA TO PODZIĘKUJĄ.

Wiadomość została napisana osiem miesięcy temu, ale jej okrutny język nadal był porażający. Można było odnieść wrażenie, że tę dziewczynkę dopiero co porwano. Wszystkie twarze wokół biurka wyrażały głębokie przejęcie, ale dopiero Macklin złapał za kartkę, trzymając ją tak, jakby ścisnął gardło porywacza.

Tracchio wyjął drugą kartkę z podajnika faksu.

- Zdjęcia nie są zbyt wyraźne - stwierdził.

- Ericę sfotografowano na tle białej ściany w ubraniu, które miała na sobie w chwili porwania - wyjaśnił Stanford. - Pozostałe zdjęcia przedstawiają starsze dzieci Whittenów w szkole. Jest też zdjęcie Kayli zrobione przez okno jej sypialni. Przeprowadzimy dokładną analizę tych fotografii.

Myślałam sobie: No tak, spróbujecie ściągnąć z nich odciski palców i zbadać drobinki na kopercie i jej zawartości. Ale Stanford nie powiedział Whittenom jednego: że DNA wszystkich niezidentyfikowanych zwłok kobiecych w całym kraju będzie porównane z DNA Eriki Whitten i Helgi Schmidt. Nie miałam żadnych wątpliwości, że zarówno list, jak i fotografie były podstępem, by zyskać na czasie.

Erica Whitten i Helga Schmidt były już martwe.

Ale co zyskali porywacze?

I czego chcieli?



W mojej głowie przewijały się obrazy małych dziewczynek i ich równie bezbronnych opiekunek, gdy zadzwoniła moja komórka. Na ekranie wyświetlił się numer inspektora Paula Chi.

- Właśnie odebraliśmy telefon z wezwaniem, Lindsay. W Blakely Arms znowu kogoś zaatakowano.

## Rozdział 89

Conklin i ja wyszliśmy z windy na wyłożony wykładziną dywanową korytarz na piątym piętrze apartamentowca Blakely Arms. Przed drzwiami mieszkania 6G zobaczyliśmy dwóch policjantów. W jednym z nich rozpoznałam posterunkowego Patricka Noonana, który usilnie zabiegał o przeniesienie do wydziału zabójstw.

- Co tu się stało, Noonan?

- Krwawa jatka, pani sierżant. Ofiara to Ben Wyatt. Mieszkał tu od roku.

Conklin uniósł policyjną taśmę i przeszedł pod nią.

- Napastnik wszedł przez drzwi - mówił dalej Noonan. - Albo były otwarte, albo ofiara go wpuściła, albo też bandzior miał klucz.

- Kto zadzwonił po policję?

- Kobieta spod sześć F. Virginia Howsam.

Weszłam z Conklinem do skąpo umeblowanego mieszkania. Wokół głowy ofiary na wypolerowanym dębowym parkiecie zastygała kałuża krwi.

Ofiarą napadu był czarny mężczyzna po trzydziestce, wysportowany, w szortach i w cienkiej szarej koszulce. Na nogach miał sportowe buty. Leżał na lewym boku tuż obok elektrycznej bieżni. Przykucnęłam, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Miał zamknięte oczy i ciężko oddychał, ale jeszcze żył.

W drzwiach pojawili się sanitariusze, pochylili się nad rannym, na „trzy” unieśli go i położyli na noszach. Jeden z nich, stojący najbliżej mnie, powiedział:

- Jest nieprzytomny. Zabieramy go do Szpitala Miejskiego. Czy może się pani przesunąć? Dzięki.

Syreny ambulansu oddalały się wzdłuż Townsend, gdy w mieszkaniu pojawili się Charlie Clapper i kilku techników kryminalistycznych. Podeszli do bieżni.

- Przewód elektryczny został przecięty - stwierdził Clapper, pokazując mi miejsce przecięcia. Zrobiono to ostrym nożem. - Widziałaś ofiarę? - zapytał.

- Tak, Charlie. Żyje. Przynajmniej jeszcze teraz. Wygląda na to, że został uderzony od tyłu.

Identycznie jak w przypadku Irenej Wolkowski, nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni, którego użyto do roztrzaskania głowy Bena Wyatta. I tak samo jak w poprzednim przypadku, prawie nic nie zostało zniszczone. Nie miałam wątpliwości, że istniał jakiś związek między atakami terroryzującymi mieszkańców Blakely Arms.

Co łączyło te dwie zbrodnie? I o co w tym wszystkim, do cholery, chodziło?

## Rozdział 90

Sąsiadką Bena Wyatta była Virginia Howsam, kobieta z trzydziestką na karku, pracująca w klubie nocnym w centrum miasta. Powiedziała nam, że Wyatt był maklerem giełdowym i bardzo miłym facetem, którego nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby skrzywdzić.

Podziękowaliśmy pani Howsam za pomoc i skierowaliśmy się na klatkę schodową, sądząc, że może ludzie mieszkający pod Wyattem coś słyszeli i mogliby pomóc w określeniu godziny napaści.

Conklin schodził tuż za mną po schodach, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy. Wydobyłam go z futerału przy pasku i zobaczyłam wyświetlony numer Dave'a Stanforda.

- Boxer.

- Mam dla ciebie wiadomości. - Dałam znak Conklinowi, żeby przyłożył ucho do mojego telefonu.

- Masz coś o Erice Whitten?

- Nie, ale na pewno chciałabyś wiedzieć, że Charlie Ray właśnie wypił gorącą czekoladę z ekstraduzą porcją bitej śmietany i śpi sobie spokojnie we własnym łóżku - zachichotał Stanford.

- To fantastycznie, Dave! Jak to się stało? Stanford opowiedział mi, że na policję zgłosił się mąż pewnej kobiety pogrążonej w okropnej depresji. Ich dziecko zmarło na śmierć łóżeczkową kilka tygodni wcześniej.

- Ta kobieta, która zabrała Charliego, była tak pogrążona w bólu, że gdy zobaczyła Charliego wychylającego się przez ogrodzenie, zatrzymała się i wsadziła go do samochodu.

- Została aresztowana?

- Tak, ale nie jest to ta osoba, której szukamy, Lindsay. Ona nie ma nic wspólnego z Ericą Whitten ani z Madison Tyler. Jest na antydepresantach pod opieką lekarzy i wczoraj po raz pierwszy od śmierci swojego dziecka wyszła z domu.

Podziękowałam Stanfordowi i zatrzasnęłam klapkę telefonu. Conklin stał tuż obok. Patrzyłam prosto w jego oczy i widziałam w nich żar.

- Więc znowu nic nie mamy? - zapytał.

- Właśnie że mamy - powiedziałam, ruszając w dół po schodach. - Mam mordercę na wolności włączającego się po tym cholernym apartamentowcu. A jeśli chodzi o Madison Tyler, to rzeczywiście ciągle tkwimy w ślepej uliczce.

## Rozdział 91

Był czwarty dzień procesu Alfreda Brinkleya.

Mickey Sherman siedział obok oskarżonego za ławą obrony, próbując przebić się do świadomości swojego klienta przez mgławicę psychotropów, które ktoś mu podawał, a które sprawiały, że niewiele do niego docierało.

- Fred! Fred! - Sherman potrząsał za ramiona swojego klienta. - Fred, dzisiaj zaczynamy obronę, rozumiesz? Będę wzywał ludzi na świadków, żeby świadczyli o twojej niewinności.

- I przyjdzie tu mój doktor, tak? - odezwał się w końcu Brinkley.

- Właśnie. Doktor Friedman będzie mówił o twojej chorobie psychicznej, więc się nie wkurzaj. On jest po naszej stronie.

- Chciałbym sam o sobie opowiedzieć.

- Zobaczymy. Nie wiem jeszcze, czy zajdzie taka potrzeba, byś zeznawał.

Asystent podał Mickeyowi kartkę z wiadomością, że wszyscy świadkowie stawili się punktualnie.

- Proszę wstać! Sąd idzie! - zawołał woźny i na salę, przez drzwi za katedrą, wszedł sędzia. Pojawili się także sędziowie przysięgli i usiedli na swoich miejscach.

- Panie Sherman - odezwał się sędzia Moore. - Czy pierwszy świadek jest gotowy?

- Obrona wzywa pana Isaaca Quintanę!

Quintana miał na sobie kilka warstw ubrań, ale jego wzrok był wyrazisty. Siadając na miejscu dla świadka, uśmiechał się szeroko.

- Panie Quintana - zaczął Sherman.

- Mów mi Ike - przerwał mu świadek. - Wszyscy tak się do mnie zwracają.

- Zatem będę do ciebie mówił Tke - powiedział uprzejmie Mickey. - Skąd znasz pana Brinkleya?

- Byliśmy razem w Napa State.

- To raczej nie jest nazwa college'u? - uśmiechnął się Mickey, pobrzękując drobniakami w kieszeni.

- Nieee, to dom wariatów - odpowiedział Ike, szczerząc zęby.

- Czyli stanowy szpital psychiatryczny, tak?

- Jasne.

- Czy wiesz, dlaczego Fred przebywał w szpitalu w Napa?

- Jasne. Miał depresję. Nie chciał jeść. Nie wstawał z łóżka. Miał złe sny. Jego siostra umarła i wtedy wprowadził się do Napa. Nie chciało mu się już żyć.

- Ike, skąd wiesz, że Fred miał depresję i myśli samobójcze?

- Bo mi o tym powiedział. No i wiedziałem, że jest na antydepresantach.

- Jak długo znałeś Freda?

- Prawie dwa lata.

- Przyjaźniliście się?

- Jasne. Był świetnym gościem. Właśnie dlatego jestem pewien, że nie chciał zabić tych wszystkich ludzi na promie...

- Sprzeciw! Wysoki Sądzie, to nie jest odpowiedź na pytanie! - wykrzyknęła Yuki. - Wnoszę o wykreślenie odpowiedzi świadka z protokołu!

- Podtrzymuję. Proszę wykreślić odpowiedź.

- Ike - zaczął Sherman uspokajającym tonem. - Czy przypominasz sobie, aby Fred Brinkley kiedykolwiek zachowywał się agresywnie, gdy się znaliście?

- Rany, nie! Kto tak panu powiedział? Był bardzo wyluzowany. Prochy tak na niego działały. Wystarczy połknąć tabletkę i już nie jest się czubkiem.

## Rozdział 92

Yuki podniosła się zza ławy oskarżenia i wygładziła fałdy na spódnicy w wąskie prążki. Quintana przywołał jej na myśl pacynkę o głupkowskim uśmiechu, którą ubrano we wszystko, co tylko znaleziono na wyprzedazy.

Jemu najwyraźniej to się podobało. Sędziowie przysięgli uśmiechali się, wyglądało na to, że też im się spodobał. No i przez to musieli także zapewne polubić Brinkleya...

- Panie Quintana, dlaczego znalazł się pan w Napa?

- Mam zaburzenia obsesyjne. To nie jest niebezpieczne ani nic takiego. Tylko że pochłania mi mnóstwo czasu, bo ciągle muszę zbierać różne rzeczy i sprawdzać, czy wszystko już mam...

- Dziękuję, panie Quintana. A czy jest pan przy okazji psychiatrą?

- Nie, ale kilku znam, oczywiście.

Yuki uśmiechnęła się, a sędziowie zachichotali. Trzeba będzie użyć sztuczki, żeby położyć zeznanie Quintany i jednocześnie nie zrazić do siebie przysięgłych, pomyślała.

- Gdzie pan pracuje, panie Quintana?

- Na zmywaku w Jade Cafe przy Bryant. Jeśli chce się mieć czyste naczynia, to nie ma nic lepszego niż zatrudnienie kogoś z obsesjami.

- Doskonale pana rozumiem - powiedziała Yuki, a przez publiczność przetoczyła się fala śmiechu. - Czy ma pan jakieś wykształcenie medyczne?

- Nie.

- A oprócz dzisiejszego dnia, kiedy ostatnio widział pan Alfreda Brinkleya?

- Jakieś piętnaście lat temu. Wypisał się z Napa w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku albo jakoś tak.

- Czy od tamtej pory kontaktował się pan z nim od czasu do czasu?

- Nie.

- To skąd pan może wiedzieć, czy od ostatniego razu, kiedy pan go widział, nie przeszedł dwóch lobotomii i transplantacji serca?

- Ha, ha, śmieszne. Aaa... czy to może prawda?

- Chodzi mi o to, panie Quintana, że szesnastolatek, którego określił pan jako „świątecznego gościa”, mógł się od tamtego czasu bardzo zmienić. Czy pan jest tą samą osobą, co piętnaście lat temu?

- Nooo, mam o wiele więcej zebranych rzeczy.

Publiczność zarechotała; nawet sędziowie przysięgli chichotali. Yuki też się uśmiechnęła, żeby pokazać wszystkim, że nie jest pozbawiona poczucia humoru. Gdy śmiech przebrzmiał, odezwała się do świadka:

- Ike, gdy powiedziałaś, że pan Brinkley jest pokrecony, to wyraziłaś tylko opinię o swoim przyjacielu, tak? Nie chciałaś wcale powiedzieć, że oficjalnie orzeciono u niego niepoczytalność? I że nie potrafi rozróżnić dobra od zła?

- Nie, na ten temat zupełnie nic nie wiem.

- Dziękuję, panie Quintana. Nie mam więcej pytań.

## Rozdział 93

Na sali pojawił się kolejny świadek Shermana - doktor Sandy Friedman. Był znanym psychiatrą, skończył Harvard i nawet wyglądał na psychiatrę w swoich designerskich okularach i krawacie od Brooks Brothers. Z twarzy przypominał aktora Liama Neesona.

- Doktorze Friedman - zaczął Sherman po zaprzysiężeniu świadka - czy przeprowadził pan wywiad z panem Brinkleyem?

- Tak, spotkałem się z nim trzy razy w areszcie przed rozpoczęciem procesu.

- Czy zdiagnozował pan jego chorobę?

- Tak. Uważam, że pan Brinkley cierpi na psychozę schizoafektywną.

- Czy może nam pan wytłumaczyć, co to znaczy? Friedman odchylił się w fotelu, przygotowując w myśli odpowiedź.

- Psychoza schizoafektywna to zaburzenia toku myślenia, obniżenie nastroju i zaburzenia aktywności złożonej połączone z elementami schizofrenii paranoidalnej. Można to nazwać zaburzeniami dwubiegunowymi.

- Czy zaburzenia dwubiegunowe to zaburzenia maniakalno-depresyjne? - dopytywał się Sherman.

- Dwubiegunowość w tym przypadku oznacza, że ludzie cierpiący na zaburzenia schizoafektywne mają wzloty i upadki, przechodzą z rozpaczy i depresji do hiperaktywności lub manii. Często udaje się kontrolować chorobę przez długi czas i nawet bardziej lub mniej dopasować się do życia na obrzeżach społeczeństwa.

- Czy ludzie cierpiący na tę psychozę słyszą głosy, doktorze Friedman?

- Tak, wiele osób je słyszy. To jest właśnie schizoidalny element tej choroby.

- Głosy, które grożą?

- Tak. - Lekarz się uśmiechnął. - Wtedy mamy do czynienia z paranoją.

- Czy pan Brinkley powiedział panu, że uważał, iż ludzie w telewizji zwracają się bezpośrednio do niego?

- Tak. Mamy tu do czynienia z dosyć częstym objawem zaburzeń schizoafektywnych. To przykład na zerwanie kontaktu z otaczającą rzeczywistością. A paranoja dodatkowo sprawia, że myśli, iż te głosy zwracają się właśnie do niego.

- Czy może pan wyjaśnić, jak należy rozumieć „oderwanie od rzeczywistości”?

- Oczywiście. Od początku choroby pana Brinkleya, gdy jeszcze był nastolatkiem, następowały pewne zniekształcenia w sposobie jego myślenia i działania, w wyrażaniu emocji. I co najważniejsze, w postrzeganiu rzeczywistości. To jest z kolei element

psychotyczny tej choroby; człowiek z takimi zaburzeniami jest niezdolny do odróżnienia rzeczywistości od tego, co sobie wyobraził.

- Dziękuję za wyjaśnienia, doktorze Friedman - powiedział Sherman. - A teraz, wracając do ostatnich wydarzeń, które doprowadziły pana Brinkleya do udziału w tym procesie, co może nam pan powiedzieć na ten temat?

- Przy zaburzeniach schizoafektywnych istnieje zwykle jakaś przyczyna, która powoduje intensyfikację zachowań nienormalnych. W mojej ocenie dla pana Brinkleya tym wyzwalaczem była utrata pracy. Pozbawienie rutynowych czynności, eksmisja z zajmowanego mieszkania, to wszystko spowodowało nasilenie jego choroby.

- Rozumiem. Doktorze Friedman, czy pan Brinkley opowiedział panu o wydarzeniach na promie?

- Tak. Podczas naszych sesji dowiedziałem się, że pan Brinkley nie płynął łodzią ani statkiem od śmierci swojej siostry, która zginęła podczas wycieczki żaglówką, gdy miał szesnaście lat. W dzień wydarzeń na promie wystąpił jeszcze jeden bodziec. Otóż pan Brinkley dostrzegł żaglówkę. I właśnie to wywołało w nim impuls do dalszych działań. Mówiąc potocznie, była to kropla, która przepełniła czarę. Nie potrafił wtedy odróżnić wyobrażenia od rzeczywistości.

- Czy pan Brinkley wspomniał, że na promie także słyszał głosy?

- Tak. Powiedział, że głosy kazały mu zabijać. Należy zrozumieć, że Fred odczuwa głęboko ukrytą złość spowodowaną śmiercią siostry, która objawiła się właśnie takim wybuchem wściekłości. Ludzie na promie nie byli dla niego rzeczywistymi osobami, lecz projekcją jego urojeń. Jego rzeczywistość stanowiły te głosy, jedynym zaś sposobem, żeby zamilkły, było wykonanie ich poleceń.

- Doktorze Friedman - odezwał się Sherman, dotykając wskazującym palcem górnej wargi. - Czy na podstawie swojej wiedzy medycznej może pan stwierdzić ze sporą dozą pewności, że gdy pan Brinkley wykonywał polecenia głosów i strzelał do pasażerów na promie, nie potrafił rozróżnić dobra od zła?

- Tak. Opierając się na rozmowach z panem Brinkleyem i dwudziestu latach doświadczenia w pracy z pacjentami cierpiącymi na zaburzenia psychiczne, muszę stwierdzić, że w czasie strzelaniny Alfred Brinkley cierpiał na chorobę psychiczną, która uniemożliwiła mu rozróżnienie tego, co jest dobrem, a co złem. Jestem absolutnie o tym przekonany.

David Hale podał Yuki karteczkę z wiadomością - rysunek kreską przedstawiający wielkiego buldoga z obrożą nabijaną ostrymi ćwiekami i śliną ciekącą z paszczy. Pod spodem był podpis: Dorwij im się do tyłka!

Yuki się uśmiechnęła. Wyobraziła sobie Leonarda Parisiego stojącego w rozkroku pośrodku sali sądowej i rozrywającego wynajętego przez Shermana doktora na kawałki.

Narysowała ramkę wokół buldoga i postawiła obok wykrzyknik. Następnie wstała i zaczęła mówić, zanim dotarła do podium.

- Doktorze Friedman, jest pan znanym rzeczoznawcą z dziedziny psychiatrii, prawda?

Friedman przytaknął i wyjaśnił, że w ciągu ostatnich dziewięciu lat przedstawiał w sądzie swoje ekspertyzy zarówno na rzecz obrony, jak i oskarżenia.

- A w tym przypadku został pan wynajęty przez obronę?

- Tak, to prawda.

- Jakie było pana honorarium?

Friedman spojrzał na sędziego Moore'a, który pochylił się w jego stronę i powiedział:

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, doktorze Friedman.

- Otrzymałem około ośmiu tysięcy dolarów.

- Osiem tysięcy dolarów. Okay. A jak długo leczy pan oskarżonego?

- Pan Brinkley nie jest moim pacjentem.

- Ach tak... - westchnęła Yuki. - To pozwolę sobie zapytać, czy można zdiagnozować kogoś, kogo nigdy się nie leczyło?

- Odbyłem z panem Brinkleyem trzy sesje, podczas których przeprowadziłem cały szereg testów psychologicznych. Tak, potrafię ocenić stan psychiczny pana Brinkleya, nie lecząc go - odparł Friedman i pociągnął znacząco nosem.

- Zatem na podstawie trzech spotkań i tych testów uważa pan, że oskarżony podczas popełniania przestępstwa nie potrafił rozróżnić dobra od zła?

- Tak jest.

- Nie zrobił mu pan żadnego prześwietlenia i nie stwierdził pan, że może to jakiś guz uciska płat jego mózgu?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc skąd możemy wiedzieć, czy pan Brinkley nie kłamał i czy nie odpowiadał na pytania w testach tak, by nie zostać uznanym za winnego morderstwa?

- Nie potrafiłby tego zrobić - odpowiedział Friedman. - Pytania testowe są tak skonstruowane, że same w sobie stanowią wykrywacz kłamstw. Pytania powtarzają się w



zmienionych formach stylistycznych i gramatycznych. Jeśli odpowiedzi są konsekwentne, to pacjent mówi prawdę.

- Panie doktorze, korzysta pan z testów, ponieważ tak naprawdę nie wie pan, co siedzi w mózgu pacjenta, prawda?

- Swoją ocenę opieram także na obserwacji zachowania.

- Rozumiem. Doktorze Friedman, czy jest pan zaznajomiony z prawnym określeniem: „świadomość winy”?

- Tak. Odnosi się ono do działań podejmowanych przez osobę, które wskazują, że ta osoba jest świadoma, iż to, co uczyniła, było niewłaściwe.

- Doskonałe wyjaśnienie, panie doktorze - stwierdziła Yuki. - Zatem jeśli ktoś strzela do pięciorga ludzi, po czym ucieka, a tak właśnie postąpił Alfred Brinkley, czyż nie wskazuje to właśnie na „świadomość winy”? Czy nie dowodzi to, że oskarżony wiedział, iż jego postępek był niewłaściwy?

- Pani Castellano, nie każde postępowanie człowieka w stanie psychotycznym jest nielogiczne. Ludzie na promie wrzeszczeli i rzucili się na niego, żeby go skrzywdzić. Więc uciekł. Większość ludzi w takiej sytuacji po prostu by uciekła.

Yuki ukradkiem zerknęła na Davida, który skinął zachęcająco głową. Lepiej, żeby przekazał jej telepatycznie coś, co pozwoliłoby pogrzebać Friedmana, bo ona sama tego nie miała.

I nagle ją olśniło.

- Doktorze, czy przecucie odgrywa jakąś rolę w pana ocenie stanu psychicznego człowieka?

- Oczywiście. Przecucie, czyli intuicja, bierze się z wielu poziomów doświadczenia zawodowego i życiowego. Tak, w mojej ocenie opierałem się na intuicji oraz na oficjalnych technikach psychologicznych.

- Czy ustalił pan, czy oskarżony jest niebezpieczny?

- Przesłuchiwałem pana Brinkleya zarówno przed rozpoczęciem kuracji risperdalem, jak i później. Według mnie, jeśli pan Brinkley będzie przyjmował odpowiednie leki, to nie będzie niebezpieczny.

Yuki oparła obydwie ręce na podium dla świadka, spojrzała Friedmanowi w oczy i, ignorując wszystko i wszystkich w sali sądowej, powiedziała pod wpływem strachu, jaki odczuwała za każdym razem, gdy patrzyła na takich świrów, jak ten siedzący obok Mickeya Shermana:

- Doktorze Friedman, przesłuchiwał pan oskarżonego za kratkami. Niech pan sprawdzi swój instynkt na następującym przykładzie: czy byłby pan odprężony, jadąc do domu taksówką z panem Brinkleyem? Czy czułby się pan bezpiecznie, jedząc z nim obiad w swoim domu? Albo jadąc z nim sam na sam windą? Mickey Sherman zerwał się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie! Zgłaszam sprzeciw! Te pytania należałoby wyprowadzić na zewnątrz i rozstrzelać!

- Podtrzymuję - mruknął sędzia.

- Skończyłam ze świadkiem, Wysoki Sądzie.

## Rozdział 95

W poniedziałek rano o ósmej trzydzieści Miriam Devine zgarnęła stos korespondencji z kredensiku na korytarzu i przeniosła na stół kuchenny.

Poprzedniego dnia wieczorem wróciła z mężem z bajecznego rejsu statkiem po Morzu Śródziemnym, gdzie byli całkowicie odcięci od telefonów, telewizji, gazet i rachunków do zapłacenia. Celowo chciała zapomnieć o realnym świecie choć na parę dni, by w pełni cieszyć się wakacjami.

Miriam zrobiła kawę w ekspresie przelewowym, odmroziła i podgrzała dwie cynamonowe bułeczki i zabrała się do poczty, układając katalogi po prawej stronie stołu, rachunki po lewej, a pozostałą korespondencję przed sobą, obok kubka z kawą.

Gdy natrafiła na zwykłą białą kopertę zaadresowaną na nazwisko Tyler, położyła ją na kupkę zwykłej korespondencji i dalej grzebała w papierach, wypisując czeki i wyrzucając ulotki reklamowe do kosza.

W kuchni pojawił się jej mąż i sięgnął po kawę.

- Jezu, jak mi się nie chce iść do biura. Tam będzie prawdziwe piekło, nawet jeśli nikt nie zauważy, że już wróciłem - jęknął, popijając na stojąco kawę.

- Zrobię ci klopsy na obiad, szczęście moje. Twoje ulubione.

Okay. Dla nich warto będzie jakoś przeboleć ten dzień.

Jim Devine wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi. Miriam dokończyła walkę z pocztą, umyła naczynia i zadzwoniła najpierw do córki, a dopiero potem do swojej sąsiadki, Elizabeth Tyler.

- Liz, kochanie! Wczoraj wieczorem wróciłam z Jimem z wakacji. Mam jakiś list do ciebie, który przez pomyłkę dostarczono do nas. Wpadnę do ciebie i pogadamy chwilę, dobra?

## Rozdział 96

Conklin i ja staliśmy w salonie Tylerów. Minęło zaledwie piętnaście minut, odkąd ich sąsiadka Miriam Devine przyniosła napisany ręcznie list od porywaczy. Na Elizabeth Tyler zadziałał on jak bomba atomowa, na mnie zresztą podobnie.

Pamiętam, jak sprawdzaliśmy dom Devine'ów w dzień uprowadzenia. Był niemal identyczny - kremowy, w wiktoriańskim stylu - z domem Tylerów. Rozmawiałam wówczas z gosposią Devine'ów, Guadalupe Perez, która łamaną angielszczyzną powiedziała nam, że Devine'owie wyjechali.

Dziewięć dni temu nie mogłam przewidzieć, że Guadalupe Perez podniesie kopertę wsuniętą do szczeliny na pocztę w drzwiach i położy ją na stos zbierającej się korespondencji. Nikt tego nie mógł przewidzieć, ale mimo to poczułam się przybita i odpowiedzialna.

- Jak dobrze znają państwo Devine'ów? - zapytał Conklin, zwracając się do Henry'ego Tylera, który, wściekły, przemierzał pokój z kąta w kąt. Na wszystkich ścianach wisiały zdjęcia Madison: gdy była niemowlęciem, razem z rodzicami, wspólne fotki z wakacji.

To nie oni, okay? Devine'owie nie mogli tego zrobić! - wrzeszczał Tyler. - Madison zniknęła! - krzyczał, trzymając się za głowę - - Wszystko stracone!

Spojrzałam na kredens i zaczęłam czytać list napisany dużymi drukowanymi literami.

MAMY WASZĄ CÓRKĘ.

JEŚLI ZADZWONICIE NA POLICJĘ, ONA UMRZE.

JEŚLI WOKÓŁ NAS BĘDZIE COŚ SIĘ DZIAŁO, ONA UMRZE.

MADISON JEST ZDROWA I BEZPIECZNA I JEŚLI

BĘDZIECIE CICHU, TO NIC JEJ SIĘ NIE STANIE.

TO JEST PIERWSZE ZDJĘCIE. DOSTANIECIE ZDJĘCIE

MADISON RAZ NA ROK.

MOŻE DO WAS ZADZWONI.

MOŻE NAWET KIEDYŚ WRÓCI DO DOMU.

BĄDŹCIE MĄDRZY. SIEDŹCIE CICHU.

KIEDYŚ MADISON WAM ZA TO PODZIĘKUJE.

Zdjęcie, które towarzyszyło listowi, zostało wydrukowane na domowej drukarce w ciągu godziny od porwania. Dziewczynka wyglądała na zdrową. Miała na sobie granatowy płaszcz i czerwone półbuty.

- Czy on mógł wiedzieć, że nie otrzymaliśmy tej wiadomości? Czy mógł się domyślić, że nie chcieliśmy go prowokować?

- Nie wiem, panie Tyler, i trudno jest się domyślić...

Elizabeth Tyler przerwała mi i zaczęła mówić z takim napięciem w głosie, że na jej szyi uwidoczniły się wszystkie ścięgna.

- Madison jest najradośniejszą, najszczęśliwszą dziewczynką, jaką tylko można sobie wyobrazić. Ślicznie śpiewa. Gra na fortepianie. Ma najpiękniejszy uśmiech na świecie. Czy ktoś ją zgwałcił? Czy jest przykuta łańcuchem do jakiegoś łóżka w piwnicy? Może jest głodna? Zziębnięta? Czy nie zrobiono jej krzywdy? Czy się boi? Czy nas woła? Czy zastanawia się, dlaczego po nią nie przychodzimy? Czy może wszystko już się skończyło i jest bezpieczna w Bożych rękach? To wszystko nas przeraża i cały czas o tym myślimy. Musimy się dowiedzieć, co stało się naszej córce. A wy musicie zrobić więcej, niż kiedykolwiek w ogóle myśleliście, że będziecie robić w policji - powiedziała na koniec Elizabeth Tyler. - I macie przyprowadzić Madison do domu!

## **Rozdział 97**

List od porywaczy, umieszczony w plastikowej okładce, położyłam na swoim biurku w taki sposób, aby Conklin także mógł go widzieć.

**JĘŚLI ZADZWONICIE NA POLICJĘ, ONA UMRZE.**

**JĘŚLI WOKÓŁ NAS BĘDZIE COŚ SIĘ DZIAŁO, ONA UMRZE.**

Te słowa zupełnie nas powaliły; nie mogliśmy pozbyć się paskudnego uczucia, że prowadząc śledztwo w sprawie Ricci-Tyler, możemy doprowadzić do śmierci Madison.

W południe przyjechał do nas Dave Stanford. Przekazaliśmy mu list od porywaczy. Jacobi zamówił ciasto z Presto Pizza. Conklin przysunął krzesło dla Stanforda, po czym podzieliliśmy się z nim dotychczasowymi wynikami naszego śledztwa. Godzinę później nadal mieliśmy tylko jeden trop: zarówno Whittenów w Bostonie, jak i Tylerów w Pacific Heights łączyła jedna rzecz - Westwood Registry.

Podzieliliśmy się nazwiskami klientów, które skopiowała dla nas Mary Jordan, i zaczęliśmy po kolei do nich dzwonić. W niedługim czasie byliśmy gotowi wyruszyć w miasto. Conklin i Macklin wsiedli do samochodu Stanforda, a Jacobi i ja znowu staliśmy się

partnerami. Miło było widzieć tuż obok jego głowę i wielkie cielsko rozwalone w siedzeniu kierowcy

- Przepraszam za szczerość, ale wyglądasz, jakby ktoś przeciągnął cię pod kilem - wyznał.

- Rzygać mi się chce od tego pieprzonego śledztwa. Ale skoro już to powiedziałaś, Jacobi, to mam do ciebie pytanie - czy zdarzyło ci się kiedykolwiek, że okłamałaś mnie, gdy wyglądałam kiepsko?

- Nie przypominam sobie takiego przypadku.

- Więc jest to chyba jedna z twoich cech, którą uwielbiam.

- Uuu... tylko broń Boże się teraz nie roztkliwiaj! - Uśmiechnął się, skręcił ostro w Lombard Street i zatrzymał samochód.

Następne pięć godzin spędziliśmy na przesłuchiowaniu czterech klientów Westwood Registry i opiekunek ich dzieci. Gdy słońce zaczęło podświetlać na różowo chmury wyglądające jak wata cukrowa, wróciliśmy do komendy, gdzie spotkaliśmy się z Macklinem i resztą.

Spotkanie było krótkie, ponieważ nasz dwudziestopięciogodzinny dzień pracy nie dał nam niczego oprócz pochwał dla Westwood Registry i ich pięciogwiazdkowych importowanych opiekunek. Rozeszliśmy się około siódmej wieczorem, umówiwszy się wcześniej na rano. Przeszłam na drugą stronę Bryant, wyostałam samochód z parkingu i ruszyłam ku Potrero Hill.

Gdy parkowałam przed ukochanym domem, w całym mieście powoli zaczęły zapalać się lampy uliczne. Trzymając rękę na klamce samochodu, dostrzegłam, że jakiś cień zasłonił blask padający od strony drzwi pasażera. Serce zaczęło mi walić, gdy odwróciłam nagle głowę i zobaczyłam ciemną postać. Mój mózg potrzebował kilku sekund, by poskładać wszystkie bodźce. Ale nawet wtedy nie wierzyłam własnym oczom.

To był Joe.

## **Rozdział 98**

To był Joe! To był Joe!

Nikogo innego na świecie nie pragnęłam bardziej zobaczyć.

- Ile razy ci mówiłam... - Serce biło mi z prędkością karabinu maszynowego. Wysiadłam z samochodu, trzaskając drzwiami. -...nigdy nie rób podchodów do uzbrojonego oficera policji?

- Oczywiście. A masz coś przeciwko telefonom? Jakaś fobie? - Joe uśmiechał się do mnie nieśmiało. - Nawet nie powiesz mi „cześć”? Taka jesteś twarda, Blondi?

- Tak uważasz?

Wcale nie czułam się twardzielką. Byłam wyczerpana, osłabiona i bliska płaczu, ale nie chciałam tego po sobie pokazać. Zmarszczyłam gniewnie brwi, stukając paznokciami w maskę samochodu, ale nie mogłam nie zauważyć, że Joe wygląda wspaniale.

- Przepraszam. Chciałem skorzystać z okazji - przyznał, a jego uśmiech wręcz zwałł mnie z nóg - i spotkać się z tobą. Co u ciebie słychać?

- Nigdy nie było lepiej - skłamałam. - Wiesz, jak to jest... praca, praca, praca.

- No jasne. Jesteś we wszystkich gazetach, superwoman!

- Tylko sama się zastanawiam, czy uda mi się zakończyć te śledztwa - odrzekłam. - A co u ciebie? - zapytałam uśmiechając się do niego. Przestałam stukać paznokciami w samochód i przysunęłam się trochę bliżej. - Jak się tobie układa?

- Też byłem bardzo zajęty.

- Jak widzę, obydwójce unikamy kłopotów. - Zamknęłam samochód, ale nie ruszyłam się z miejsca. Chwilowo odpowiadało mi, że między nami jest kupa żelastwa. Mój eksplorator jako przyzwoitka. Niezłe rozwiązanie, przynajmniej miałam czas na zastanowienie się, co też by tu począć z tym Joem.

- No tak, ale ja miałem na myśli to, że byłem bardzo zajęty, starając się ułożyć sobie życie od nowa. - Joe uśmiechnął się szeroko.

Co on powiedział? Co to niby miało znaczyć?

Serce mi zamarło, a nogi ugięły się pode mną. Przez głowę przeleciała mi myśl, że Joe wygląda tak wspaniale i promieniuje radością, bo pewnie zakochał się w kimś innym. I odwiedził mnie tylko dlatego, że postanowił mi o tym powiedzieć osobiście.

- Nie chciałem do ciebie dzwonić, dopóki nie upewniłem się, że to ostateczna decyzja - rzekł, a jego słowa wbijały mnie w asfalt - ale te wszystkie formalności ciągną się tak długo...

- O czym ty mówisz?

- Złożyłem prośbę o przeniesienie do San Francisco, Lindsay.

Nie posiadałam się z radości. Gdy na niego patrzyłam, łzy napłynęły mi do oczu. Z mojej pamięci zaczęły wydobywać się coraz to nowe obrazy, których nie mogłam zatrzymać, wspomnienia naszego romansu. Nie była to jednak ta najbardziej romantyczna część, lecz zwykłe, domowe chwile, gdy Joe śpiewał pod prysznicem albo gdy ukradkiem przyglądałam się jego twarzy w lustrze i widziałam cofającą się linię włosów na czole. I to, jak przyczajał

się przy miseczce z chrupkami śniadaniowymi, zupełnie jakby ktoś niespodziewanie chciał je mu sprzątnąć sprzed nosa - bo miał sześcioro rodzeństwa i nikt z nich nie miał prawa do swojego talerza na wyłączność. Wiedziałam, że Joe był jedynym człowiekiem w moim życiu, który pozwalał mi się wygadać i który nie oczekiwał, że cały czas będę silna. No tak... i oczywiście pamiętałam również te chwile, gdy się kochaliśmy, gdy sprawiał, że czułam się malutka i lekka jak piórko, i gdy z poczuciem bezpieczeństwa zasypiałam w jego ramionach.

- Zapewniono mnie, że zrobią, co się da, ale to jeszcze chwilę potrwa... - Zamilkł i tylko patrzył na mnie. - Boże, Lindsay, nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłem!...

Wiejący znad zatoki wiatr wysuszył łzy na moich policzkach. Byłam przepelniona dziękczynieniem za ten nieoczekiwany prezent w postaci jego wizyty i obietnicy wspólnie spędzonej nocy. Nadal miałam butelkę Courvoisier w barku. I olejek do masażu na nocnym stoliku... Pomyślałam o cudownym chłodzie powietrza i o płomieniach żaru, który potrafimy wzniecić, leżąc obok siebie, zanim nawet wyciągniemy ręce, by się objąć.

- Chodź na górę! - odezwałam się w końcu. - Nie musimy rozmawiać na ulicy.

Zmarszczył brwi, jakby pomyślał o czymś nieprzyjemnym, po czym podszedł do mnie i delikatnie, z uczuciem, położył mi dłonie na ramionach.

- Chciałbym wejść, ale spóźnię się na samolot. Musiałem ci to powiedzieć osobiście. Proszę, nie odrzucaj mnie!

Joe objął mnie i przyciągnął do siebie. Zesztywniałam. Instynktownie skrzyżowałam ręce na piersiach i opuściłam brodę. Nie chciałam patrzeć na jego twarz. Nie chciałam być czarowana ani poddawać się jego wpływowi, bo przez ostatnie trzy minuty miałam wrażenie, że jadę rollercoasterem. Ponad tydzień temu przygotowałam się na zerwanie z nim przez te jego przekłete sztuczki z pojawianiem się i znikaniem i zupełnie nic się nie zmieniło!

Byłam wściekła. I nie mogłam sobie pozwolić na otwarcie się przed Joem tylko po to, żeby znowu mnie zawiódł.

- Przykro mi. Naprawdę. Przez moment myślałam, że jesteś kimś innym. Lepiej już idź - wyplułam z siebie. - Miłego lotu.

Wołał za mną, gdy wbiegałam po schodach tak szybko, jak tylko potrafiłam. Włożyłam klucz w zamek i przekreśliłam gałkę. Wcisnęłam się do środka, zatrasnęłam za sobą drzwi i na oślep biegłam po schodach. Gdy weszłam do mieszkania, musiałam chociaż podejść do okna...

Rozsunęłam zasłony i tylko zobaczyłam, jak samochód Joego właśnie odjeżdża.

Mój telefon zaczął dzwonić, zanim jeszcze zdążyłam opuścić zasłony. Domyślałam się, że to Joe dzwoni z samochodu, ale nie miałam mu nic do powiedzenia.

Długo brałam prysznic, może jakieś piętnaście albo dwadzieścia minut. Gdy wyszłam z kabiny, telefon znowu zadzwonił. Zignorowałam go. I tak samo postąpiłam z wściekle mrugającym światelkiem na sekretarce automatycznej i bzyczeniem komórki, przypominającym o nieodebranych rozmowach.

Wrzuciłam gotowy obiad do mikrofalówki. Otworzyłam Courvoisiera i nalałam sobie cały kieliszek, gdy moja komórka znowu zaczęła dzwonić.

Wyciągnęłam ją z kieszeni blezera.

- Boxer - mruknęłam, przygotowana już do tego, by powiedzieć: „Joe, zostaw mnie w spokoju, dobrze?”. Poczulałam niewytłumaczalne rozczarowanie, gdy w słuchawce rozległ się głos mojego partnera.

- Lindsay? Co trzeba zrobić, żebyś odebrała telefon? - Rich był na mnie zły, ale miałam to gdzieś.

- Brałam prysznic i, o ile wiem, prawo na to zezwala. Co się dzieje?

- Był kolejny atak w Blakely Arms. Zdrętwiałam.

- Zabójstwo?

- Powiem ci, kiedy tam dotrę. Jestem już blisko.

- Zablokujcie wszystkie wyjścia z budynku! Nikt nie ma prawa go opuścić!

- Tak jest, pani sierżant!

I wtedy przypomniałam sobie o biegaczu - ofierze ostatniego ataku. Jak mogłam o nim zapomnieć?

- Rich, zapomnieliśmy sprawdzić, jak się czuje Ben Wyatt.

- Nie zapomnieliśmy.

- Dzwoniłeś do szpitala?

- Tak.

- Czy Wyatt odzyskał przytomność?

- Umarł dwie godziny temu.

Powiedziałam Richowi, że za chwilę do niego dojadę, i zadzwoniłam do Cindy. Nie podnosiła słuchawki. Zatrzasnęłam klapkę komórki i rzuciłam ją na blat kuchni, z trudem powstrzymując się od wyrzucenia jej przez okno. Mikrofalówka piknęła pięć razy, dając znać, że obiad jest już gotowy.

- Ja chyba zwariuję! - krzyknęłam. - Po prostu dostanę świra!



Pieprzyć to wszystko! Zostawiłam nietknięte brandy na stole i obiad w mikrofalówce. Szybko się ubrałam, założyłam kaburę i narzuciłam na siebie blezer. Zadzwoiłam do Cindy, która wreszcie odebrała telefon, i opowiedziałam jej, co się stało.

Ruszyłam ostro w stronę Townsend i Trzeciej Ulicy.

Dojeżdżając na miejsce, wyobrażałam sobie, co powiem Cindy, gdy tylko ją zobaczę. I nie miałam zamiaru wysłuchiwać żadnych głupich tłumaczeń. Wprowadzi się do mnie i będzie mieszkała u mnie tak długo, dopóki jej kamienica znowu nie stanie się bezpieczna.

## Rozdział 100

Cindy czekała na mnie z rozwianymi blond włosami przed drzwiami wejściowymi do Blakely Arms. Szminka na jej ustach wyglądała tak, jakby ją właśnie zjadła.

- Jezu! Znowu? Czy to naprawdę znowu się stało? - pytała z niedowierzaniem.

- Cindy, czy były jakieś plotki albo podejrzenia wśród mieszkańców? Czy zaczęli na kogoś wskazywać palcami?

- Jedyłą rzeczą, jaką słyszałam, było to, że wszystkim zaczynają już puszczać nerwy.

Weszłyśmy razem do windy i znowu znalazłam się w apartamentowcu Blakely Arms wypełnionym umundurowanymi gliniarzami.

Conklin skinął Cindy głową na powitanie i przedstawił mnie Aidenowi Blausteinowi - wysokiemu, młodemu, białemu mężczyźnie w czarnych postrzępionych dżinsach, koszulce, kamizelce i skórzanej kurtce z mnóstwem naszywek. Jego czarne, rozczochrane włosy były przycięte z tyłu, a z przodu opadały grzywką na przerażone brązowe oczy.

- Ofiarą jest właśnie pan Blaustein - oświadczył Conklin.

- Jestem Cindy Thomas z „Chronicie”. Czy może mi pan Przeliterować swoje nazwisko?

Odetchnęłam. Ten dzieciuch był żywy i nietknięty, ale - co było po nim widać - przerażony jak diabli.

- Czy może nam pan powiedzieć, co tu się stało? - zapytałam.

- Skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć?! Wskoczyłem tylko po browar około piątej. Wpadłem na swoją byłą i poszliśmy wrzucić coś na ząb. Gdy wróciłem do domu, moje mieszkanie było totalnie zdemolowane.

Conklin pchnął drzwi do kawalerki Blausteina i wszedł do środka. Cindy wślizgnęła się za mną.

- Trzymaj się blisko mnie... - powiedziałam.

-...i niczego nie dotykaj - dokończyła za mnie. Mieszkanie wyglądało jak sklep ze sprzętem elektronicznym, który został nawiedzony przez rozjuszonego nosorożca. Doliczyłam się dwóch komputerów, trzech monitorów, wieży stereo i czterdziestocalowej plazmy. Wszystko było potraskane na drobne kawałki. Niczego nie ukradziono, ale za to wszystko totalnie zniszczono!

- Przez lata oszczędzałem i doбираłem ten sprzęt - wyznał Blaustein.

- Czym pan się zajmuje zawodowo? - zapytała Cindy.

- Projektuję witryny internetowe i gry komputerowe. To wszystko kosztowało mnie jakieś dwadzieścia pięć patyków.

- Panie Blaustein, czy gdy pan wychodził, to nie zostawił pan przypadkowo otwartych drzwi? - zapytałam.

- Zawsze zamykam drzwi na klucz.

- Pan Blaustein zostawił włączoną muzykę, gdy wyszedł z mieszkania - wyjaśnił bardzo rzeczowym głosem Rich, wcale na mnie nie patrząc.

- Czy ktoś narzekał na zbyt głośną muzykę? - zapytałam.

- Dzisiaj?

- Kiedykolwiek.

- Dzwonił do mnie jeden wyjątkowo złośliwy facet.

- Jak się nazywał?

- Przecież mi się nie przedstawił! Nawet nie mówił „dzień dobry”. Zawsze zaczynał od zdania: „Jak nie wyłączysz tego gówna, to cię zabiję”. Dzwonił do mnie z wyzwiskami po parę razy w tygodniu już od jakiegoś czasu. Za każdym razem przeklinał mnie i moje dzieci.

- A ma pan dzieci? - zapytałam, bo jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić.

- Nie. On przeklinał moje przyszłe dzieci.

- I co pan wtedy robił?

- Ja? Ja znam takie przekleństwa, jakich ten facet zapewne nie słyszał jeszcze nigdy w życiu. Chodzi o to, że rozpoznałbym jego głos, gdybym go wcześniej usłyszał. Moje uszy są tak czułe, że równie dobrze mogłyby być ubezpieczone przez Agencję Lloyd'a w Londynie. Ale nie znam tego gościa. A znam wszystkich, którzy tu mieszkają. Znam nawet ją - powiedział Blaustein, wskazując na Cindy. - Drugie piętro, prawda?

- I twierdzi pan, że nikt inny w tym budynku nie narzekał na pana sprzęt?

- Nie, ponieważ, po pierwsze, pracuję tylko w ciągu dnia, po drugie, regulamin zezwala na słuchanie muzyki do jedenastej wieczorem. A po trzecie, wcale nie puszczałam muzyki za głośno.

Westchnęłam, wzięłam do ręki komórkę i zadzwoniłam do laboratorium kryminalistycznego. Telefon odebrał kierownik zmiany nocnej. Powiedziałam mu, co nam jest potrzebne.

- Zna pan kogoś, u kogo może pan przenocować? - zapytał Conklin.

- Chyba tak.

- Bo tu nie może pan zostać. W tej chwili pana mieszkanie jest miejscem przestępstwa.

Blaustein rozejrzał się po rumowisku, jakim było jego mieszkanie; jego twarz wyrażała coraz większy smutek, gdy szacował straty.

- Nie zostałbym tu dzisiaj na noc, nawet gdyby ktoś mi za to zapłacił.

## Rozdział 101

Cindy, Rich i ja jechaliśmy windą na parter i próbowaliśmy znaleźć wspólny mianownik przestępstw.

- Pies, pianino, bieżnia... - wyliczał Rich.

- Mieszkanie webmastera... - uzupełniła Cindy.

- Chodzi o tę samą rzecz: o hałas - wywnioskowałam.

- Chyba tak - zgodził się ze mną Rich. - Kimkolwiek jest ten maniak, to hałas pobudza go do agresji.

- Rich, przepraszam, że tak dziś na ciebie naskoczyłam. Miałam zły dzień - wyjaśniłam.

- Nic się nie stało, Lindsay. Zamkniemy tę sprawę i obydwójce poczujemy się lepiej.

Drzwi windy rozsunęły się i wyszliśmy do holu budynku. Tłoczyło się tam około dwustu przestraszonych mieszkańców kamienicy.

Cindy z notatnikiem w ręku przeciskała się w stronę przewodniczącej wspólnoty mieszkańców. Conklin niczym pług rozpychał ludzi na boki, a ja sunęłam za nim, aż dotarliśmy do recepcji.

Ktoś krzyknął: „Cisza!” i gdy zgiełk ustał, przedstawiłam się mieszkańcom.

- Jestem sierżant Boxer. Nie muszę chyba mówić, że ostatnio doszło tu do serii przykrych wydarzeń...

Musiałam przeczekać utyskiwanie, że policja nic nie robi, aZ wreszcie znowu udało mi się dorwać do głosu. Obwieściłam wszystkim, że przesłuchamy każdego mieszkańca oraz że nikomu nie wolno opuszczać budynku, dopóki my na to nie pozwolimy.

Siwy mężczyzna pod siedemdziesiątkę podniósł rękę i przedstawił się jako Andy Durbridge.

- Pani sierżant, mam przydatną informację. Dziś po południu spotkałem w pralni na dole mężczyznę, którego nigdy do tej pory nie widziałem. Miał na rękach jakieś ślady, które wyglądały na ugryzienia psa.

- Czy potrafiłby pan opisać tego człowieka? - zapytałam. Poczulałam ukłucie w żołądek. Ale takie pozytywne.

- Wyglądał na jakieś metr sześćdziesiąt siedem, muskularny brunet, łysiejący, po trzydziestce. Rozglądałam się, ale nie widzę go tutaj.

- Dziękuję, panie Durbridge. Czy ktoś z państwa może dopasować czyjeś nazwisko do tego opisu?

Drobna młoda kobieta o popielatych włosach skręconych w loki przypominające sprężyny do łóżka precyzyjnie się między zebranymi, aż znalazła się przy mnie. Była wręcz nienaturalnie blada i patrzyła na mnie rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Nazywam się Portia Fox - przedstawiła się drżącym głosem. - Pani sierżant, czy mogę z panią porozmawiać na osobności?

## Rozdział 102

Wysłałam z Portią Fox na zewnątrz apartamentowca Blakely Arms.

- Chyba znam tego mężczyznę, o którym mówił pan Durbridge. Wygląda na to, że jest to facet, który mieszka w moim mieszkaniu w ciągu dnia.

- Czy to pani sublokator?

- Oficjalnie nie - powiedziała kobieta, odwracając wzrok. - On tylko wynajmuje ode mnie jadalnię. Ja pracuję w ciągu dnia. On pracuje w nocy. Jesteśmy jak mijające się statki.

- To jest pani mieszkanie, a ten facet tylko od pani podnajmuje, czy dobrze zrozumiałam?

Skinęła głową.

- Jak się nazywa?

- Garry Tenning. Przynajmniej takie nazwisko widnieje na jego czekach.

- A gdzie jest teraz ten Tenning?

- Jest w pracy na budowie.

- Pracuje na budowie? W nocy? - zdziwiłam się. - Czy ma pani numer jego komórki?

- Nie. Widywałam się z nim codziennie przez prawie rok w kawiarni Starbucks po drugiej stronie ulicy. Wydawał się miłym facetem, a kiedy zapytał, gdzie można tanio wynająć jakieś lokum... no cóż, potrzebowałam pieniędzy...

To „duże dziecko” wpuściło obcą osobę do swojego mieszkania! Miałam ochotę nią potrząsnąć. Chciałam naskarżyć na nią jej rodzicom. Zamiast tego wszystkiego zapytałam:

- Kiedy Tenning wraca do domu?

- Około ósmej trzydzieści rano. Tak jak wcześniej pani powiedziałam, nie ma mnie już w mieszkaniu, gdy on wraca, a teraz mamy porządny ekspres do kawy w pracy, więc nie wpadam już do Starbucksa...

- Będziemy musieli przeszukać pani mieszkanie.

- Oczywiście - odpowiedziała, wyciągając klucze z torebki. - Musicie to zrobić. Matko Boska, a jeśli w moim mieszkaniu mieszka morderca?...

### **Rozdział 103**

- Zupełnie jak moje - stwierdziła Cindy, gdy weszliśmy do mieszkania Portii Fox. Drzwi wejściowe otwierały się na wielki salon, którego okna wychodziły na ulicę. Był przestronny, słoneczny i nowocześnie umeblowany.

W salonie znajdował się aneks kuchenny, ale w miejscu, gdzie Cindy miała otwartą jadalnię, u pani Fox stała gipsowo-kartonowa ścianka z płycinowymi drzwiami.

- Właśnie tam mieszka - wskazała Fox ręką.

- Czy ma tam okno? - zapytałam.

- Nie. Ale właśnie tak mu się podoba. Dlatego zgodził się na taki układ.

Niedobrze, że jadalnia była odgradzona ścianką, bo teraz potrzebowaliśmy zgody Tenninga albo nakazu sądowego. Nawet jeśli Tenning nie figurował oficjalnie na liście mieszkańców, to płacił za wynajem, a to dawało mu legalne prawo do zajmowanego lokalu.

Położyłam rękę na gałce drzwi do pokoju Tenninga, łudząc się, że się przekręci, ale wcale nie czułam się zaskoczona, że drzwi były zamknięte na klucz.

- Czy ma pani przyjaciółkę, u której może dziś pani przenocować? - zapytałam Portię Fox.

Wezwałam posterunkowego, by przypilnował mieszkania, gdy Portia Fox zabierała jakieś drobne rzeczy.

Wręczyłam Cindy swoje klucze i kazałam jej pojechać do mojego mieszkania. Nawet się ze mną nie kłóciła.

Przez następne dwie godziny Rich i ja przesłuchiwalismy mieszkańców Blakely Arms. Wróciliśmy do komendy o dziesiątej wieczorem.

Sala wydziału zabójstw była ponurym miejscem za dnia, ale w nocy wydawała się jeszcze gorsza. Górne światło dawało trupią atmosferę. Śmierdziało tu jedzeniem, które w ciągu dnia ktoś wyrzucił do kosza.

Odsunęłam od siebie kubek z zimną kawą i włączyłam komputer. Rich zrobił to samo. Weszłam w bazę danych i choć nastawiłam się psychicznie na długie szukanie i czytanie życiorysu Garry'ego Tenninga, to jednak wszystko, czego potrzebowaliśmy, pojawiło się na ekranie w ciągu kilku minut.

Była tu wzmianka o przeterminowanym nakazie aresztowania Tenninga za zupełną błahostkę - niezgłoszenie się do sądu w sprawie wykroczenia drogowego. To nam w zupełności wystarczyło.

Ale było coś jeszcze.

- Garry Tenning pracuje w Conco Construction - powiedział Rich. - Może być na patrolu i sprawdzać jeden ze stu różnych placów budowy. Nie uda nam się go odnaleźć, dopóki nie otworzą biura Conco rano.

- Ma pozwolenie na broń? - zapytałam.

Palce Richa zaczęły wstukiwać polecenia w klawiaturę.

- Tak. Ważne i uaktualnione. Czyli Garry Tenning miał broń.

## **Rozdział 104**

Następnego ranka nad San Francisco nadciągnęły gęste, szare chmury, z których bez przerwy lał deszcz, niczym zapowiedź biblijnej powodzi.

Conklin zaparkował samochód na pustym placu budowy naprzeciwko kompleksu wysokich apartamentowców Beacon, gdzie na dolnych kondygnacjach mieściły się sklepy, punkty usługowe, a także kawiarnia Starbucks, w której dawniej spotykali się Tenning i Fox.

W bezchmurny dzień widzielibyśmy stąd frontowe drzwi pięciopiętrowej kamienicy Blakely Arms i jednocześnie wąskie przejście dla pieszych prostopadłe do Townsend, biegnące wzdłuż wschodniej ściany budynku, które prowadziło na wewnętrzne podwórze i do tylnego wejścia. Niestety, strugi deszczu niemal całkowicie przesłoniły nam pole obserwacji; przez przednią szybę samochodu praktycznie nie było nic widać.

Inspektorzy Chi i McNeil siedzieli w swoim samochodzie za nami i także usiłowali cokolwiek dostrzec przez strumienie deszczu. Obserwowaliśmy okolicę, rozglądając się za

białym mężczyzną, metr sześćdziesiąt siedem, z rzednącymi ciemnymi włosami, najprawdopodobniej ubranym w mundur ochroniarza i przypuszczalnie uzbrojonym w rewolwer marki Colt.

Jeśli Tenning nie zmienił swoich przyzwyczajzeń, to zatrzyma się w Starbucksie, przejdzie na drugą stronę ulicy Townsend i dotrze do domu między ósmą trzydzieści a dziewiątą. Przypuszczaliśmy, że Tenning korzysta z tylnego wejścia i klatki schodowej, żeby unikać stałych mieszkańców.

Przez zaparowane szyby samochodu obserwowałam pieszych ubranych w długie płaszcze i osłaniających głowy czarnymi parasolami. Przystawali przed drogerią i apteką, wstępowali do pralni chemicznej i spieszyli się do kolei dojazdowej Caltrain, kursującej między San Francisco a San Jose.

Rich i ja byliśmy niewyspani, więc gdy tylko widziałam kogoś odpowiadającego opisowi Tenninga, kto przechodził na drugą stronę Townsend bez kubeczka z kawą w ręku, nie byłam pewna, czy to facet, na którego czekamy, czy też bardzo chciałam, żeby to był on. Naprawdę bardzo, bardzo tego chciałam.

- W przeciwdeszczówce Windbreaker, ma czarny parasol! Światło zmieniło się na zielone i strumień samochodów przesłonił nam widok na wystarczająco długo, by podejrzany zniknął w grupie przechodniów po przeciwnej stronie ulicy. Pomyślałam, że zapewne wślizgnął się niepostrzeżenie w alejkę dla pieszych biegnącą wzdłuż Blakely Arms.

- Tak. To chyba on - potwierdził Conklin. Skontaktowałam się z Chi, informując go, że mamy zamiar wkroczyć do akcji. Przeczekaliśmy jeszcze parę minut i wysiedliśmy z samochodu, kierując się do głównego wejścia Blakely Arms.

Wjechaliśmy windą na czwarte piętro. Skorzystałam z kluczy Portii Fox, by przekreślić zapadkę zamka, ale jeszcze nie otworzyłam drzwi. Wyciągnęłam broń. Dopiero gdy na piętrze pojawili się Chi i McNeil, Conklin nacisnął klamkę i wszyscy razem wpadliśmy do mieszkania Portii Fox. Najpierw sprawdziliśmy pozostałe pokoje i dopiero wtedy zbliżyliśmy się do pomieszczenia zajmowanego przez Tenninga. Przyłożyłam ucho do cienkich drzwi. Usłyszałam odgłos zasuwanej szuflady i butów upadających na drewnianą podłogę. Skinęłam na Conklina, by zapukał do drzwi.

- Policja, panie Tenning. Mamy nakaz aresztowania.

- Wyoście się stąd - rozległ się wściekły głos. - Nie macie żadnego nakazu, a ja znam swoje prawa!

- Panie Tenning, zaparkował pan samochód w strefie hydrantu pożarowego, pamięta pan? Piętnastego sierpnia ubiegłego roku. Nie pojawił się pan w sądzie.

- I zamierzacie mnie za to aresztować?

- Proszę otworzyć, panie Tenning.

Szczęknięta gałka i drzwi się uchyliły. Pełne złości spojrzenie Tenninga zmieniło się we wściekłość, gdy zobaczył broń wycelowaną w jego pierś.

Zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

- Wyważ je! - szepnęłam do partnera.

Conklin kopnął dwa razy i po chwili drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Schowaliśmy się po obydwu stronach futryny, ale i tak zdążyłam zauważyć Tenninga stojącego trzy metry dalej, opartego o ścianę i trzymającego w obydwu dłoniach colta wycelowanego prosto w nas.

- Nigdzie mnie nie bierzecie - powiedział. - Jestem za bardzo zmęczony i po prostu nie mam na to ochoty.

## Rozdział 105

Serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Po plecach ciekły mi strużki potu. Wzięłam głęboki oddech i stanęłam w drzwiach. Przyjęłam postawę strzelecką, nogi rozstawione, glock wycelowany w Tenninga. Mimo że miałam na sobie kamizelkę kuloodporną, to mógł mi przecież strzelić prosto w głowę. A cienkie jak papier ściany nie dawały mojemu zespołowi żadnej osłony.

- Rzuć broń, gnojku! - krzyknęłam ostro. - Albo za sekundę wsadzę ci kulę prosto w serce!

- Czterech uzbrojonych gliniarzy na faceta, który popełnił wykroczenie drogowe? To ci dopiero! Myślicie, że jestem głupi?

- Jesteś głupi, Tenning, jeśli chcesz zginąć za pięćdziesięciodolarowy mandat.

Wzrok Tenninga przeniósł się z mojej broni na trzy pozostałe lufy wymierzone prosto w niego.

- To jakaś gówniana pomyłka! - mruknął i wypuścił rewolwer z rąk.

Natychmiast wpadliśmy do pokoju. Przewróciło się krzesło, a blat biurka runął na podłogę. Kopnęłam colta w stronę drzwi, a Conklin złapał Tenninga i wykręcił mu ręce do tyłu. Rzucił go o ścianę i skuł mu nadgarstki kajdankami.

- Jest pan aresztowany za niestawienie się na wezwanie w sądzie - sapnął Conklin - oraz za stawianie oporu policji.



Przeczytałam Tenningowi jego prawa. Byłam tak zestresowana i przejęta tym, co właśnie zrobiłam, że aż chrypiałam.

- Dobra robota - podziękowałam wszystkim, czując się tak, jakbym miała za chwilę zemdleć.

- Wszystko z tobą w porządku, Lindsay? - zapytał McNeil, kładąc mi swoją wielką łapę na ramieniu.

- Taaa, dzięki, Cappy - odparłam, myśląc o tym, że to aresztowanie o mało nie przemieniło się w krwawą jatkę, a jedyną rzeczą, za jaką mogliśmy zgarnąć Tenninga, było wykroczenie drogowe.

Rozejrzałam się po jego pokoiku: trzy na cztery metry, pojedyncze łóżko, sosnowy kredens z szufladami na ubrania, dwa kontenerki biurowe z szufladami, które służyły także jako podstawa jego biurka. Szeroka płyta drewniana, pełniąca funkcję blatu, leżała na podłodze wraz z komputerem i rozsypanym stosem kartek.

Coś jeszcze zmieniło dotychczasowe miejsce podczas szamotaniny i pojawiło się w zasięgu wzroku. Spod łóżka wysunęła się stalowa rura. Miała około czterech centymetrów średnicy, pół metra długości, a na jej końcu znajdował się przykręcony zawór kulowy.

Stanęłam, żeby przyjrzeć się z bliska tej oryginalnej, skręconej z dwóch elementów pałce. Na pakułach wystających z gwintu łączącego zawór z rurą dostrzegłam delikatne, brązowe przebarwienia. Szturchnęłam Conklina, który przykucnął obok mnie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę.

- I chyba mamy narzędzie zbrodni - oświadczył Conklin.

## **Rozdział 106**

Siedzieliśmy w pokoju przesłuchań numer dwa wydziału zabójstw, który był mniejszy od pokoju numer jeden. Tenning siedział przy stole, twarzą do lustra weneckiego, ja - naprzeciw niego. Miał na sobie dżinsy i białą koszulkę. Oparł łokcie na stole. Zwiesił głowę; górne światło prześwitywało przez jego rzadniejące włosy.

Nie zeznawał, ponieważ zażądał adwokata. Jego żądanie będzie teraz przez piętnaście minut filtrowane na niższych piętrach, zajmowanych przez obrońców publicznych, i minie kolejne piętnaście minut, zanim jakiś adwokat wreszcie pojawi się tu i odnajdzie swojego klienta w pokoju przesłuchań.

Teraz, nawet gdyby coś powiedział, i tak nie mogłoby to zostać użyte przeciwko niemu.

- Mamy nakaz przeszukania zajmowanego przez ciebie lokalu - poinformowałam Tenninga. - A ta rura, której użyłeś do zabicia Irene Wolkowski i Bena Wyatta, jest teraz w laboratorium kryminalistycznym. Zdążymy poznać wyniki, zanim pojawi się tu twój adwokat.

- Więc zostawcie mnie, do cholery, w spokoju, dopóki on nie przyjdzie, okay? Chcę zostać sam ze swoimi myślami.

- Ale mnie właśnie interesują twoje myśli. Te wszystkie statystyki i tabele, które widziałam w twoim pokoju. O co w tym chodzi?

- Piszę książkę i chciałbym do niej jak najszybciej wrócić. W pokoju przesłuchań pojawił się Conklin, trzymając w ręce mały radiodbiornik na baterie. Trzasnął mocno drzwiami i włączył radjko. Zatrzeszczał głośnik; Rich kręcił gałką strojenia i podgłośnił dźwięk.

- Ciężko tu z odbiorem fal radiowych, ale chciałbym się dowiedzieć, kiedy wreszcie przestanie padać.

Gdy trzeszczenie głośnika radiowego przemieniło się w elektroniczny pisk, dostrzegłam wyraźny niepokój w oczach Tenninga. Przyglądał się, jak Conklin usiłuje wyszukać jakąś stację, i zaczął się pocić.

- Hej - odezwał się w końcu. - Czy może pan to wyłączyć?

- Jeszcze minutkę, jedną minutkę - odpowiedział Conklin. Nastawił radio jeszcze głośniej i postawił je na stole.

- Chcesz kawy, Garry? To nie będzie, co prawda, Starbucks, ale przynajmniej ma w sobie pełno kofeiny, jak to kawa.

- Słuchajcie - zaczął Tenning, wpatrując się w radio - nie macie prawa mnie przesłuchiwać podczas nieobecności adwokata. Powinniście zamknąć mnie w celi.

- Przecież my cię nie przesłuchujemy - odparł Conklin, po czym podniósł metalowe krzesło, z hukiem postawił je tuż obok Tenninga i usiadł na nim.

- Próbuje ci tylko pomóc. Chcesz prawnika, w porządku! - wrzasnął wprost do ucha Tenninga. - Ale tracisz przez to możliwość przyznania się do winy i dobrowolnego poddania się wynegocjowanej z prokuratorem karze. A chyba nie mielibyśmy nic przeciwko temu, prawda, pani sierżant?

- Absolutnie! - stwierdziłam, przekrzykując trzeszczące radio. Pokręciłam gałką strojenia, znalazłam jakąś stację nadającą heavy metal z lat osiemdziesiątych i pogłośniłam tak bardzo, że metalowy blat stołu wpadł w wibracje.

- Mamy zamiar ekshumować zwłoki psów, które zabiłeś, Garry! - przekrzykiwałam hałas z radia. - Porównamy ich zgryzy z odciskami zębów na twoich rękach. Sprawdzimy też,

czy DNA krwi pobranej z rury będzie pasowało do DNA twoich ofiar. I wtedy, za jakieś dwadzieścia lat, inspektor Conklin i ja zasiądziemy w pierwszym rządzie podczas twojej egzekucji, o ile oczywiście nie będziesz chciał, żebym zadzwoniła do prokuratora okręgowego. Może warto się postarać, żeby nie dostać od razu kary śmierci? - Spojrzałam na zegarek. - Masz jeszcze jakieś dziesięć minut.

Z głośników rozległa się właśnie jakaś wyjątkowo jazgotliwa, heavymetalowa wersja rockandrollowego przeboju. Twarz Tenninga skurczyła się z bólu; wcisnął sobie palce do uszu.

- Dobra. Dobra. Odwołajcie prawnika. Wszystko wam powiem. Tylko, błagam, wyłączcie to piekielne radio!

## **Rozdział 107**

Nadal lało jak z cebra, gdy zaparkowałam swój samochód za SUV-em Claire.

W strugach deszczu przeszłam na drugą stronę ulicy i przebiegłam ostatnie pięćdziesiąt metrów do drzwi wejściowych baru U Susie. Uchyliłam drzwi i od razu poczułam zapach kurczaka w sosie curry; usłyszałam też walenie w bębny zrobione z metalowych beczek po ropie.

Powiesiłam płaszcz na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi. Zobaczyłam, że Susie namawia swoich stałych klientów do uczestnictwa w zawodach, kto lepiej zatańczy karaibskie limbo.

- Lindsay, zdejmuj mokre buciska. I chodź tutaj, dziewczyno! - zawołała.

- W żadnym wypadku, Suz - zaśmiałam się serdecznie. - Już raz dałam się na to namówić, nie pamiętasz?

Przemknęłam do tylnej sali, przywitałam się z Lorraine i zamówiłam piwo Corona.

Yuki pomachała do mnie z boksu. Cindy odwróciła się i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wsunęłam się za stolik i usiadłam obok mojej najlepszej przyjaciółki, Claire. Sporo czasu minęło od ostatniego spotkania całej naszej paczki. O wiele za dużo.

Gdy na stole pojawiło się moje piwko, Cindy zaproponowała toast za ujęcie Garry'ego Tenninga. Roześmiałam się głośno.

- Miałam bardzo silną motywację. Wcale nie potrzebuję sublokatorki, a ty musiałabyś wprowadzić się do mnie na stałe, gdybyśmy nie złapali tego drania.

Yuki i Claire nie znały szczegółów, więc streściłam im wydarzenia.

- Tenning pisze książkę zatytułowaną Liczby, z podtytułem Statystyczne kompendium dwudziestego wieku.

- No coś ty! Pisze o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich stu lat? - zapytała Yuki.

- Tak. O ile dane statystyczne w tabelkach na każdej stronie można nazwać „pisaniami”. Dam wam przykłady: ile mleka i zboża wyprodukowano w każdym stanie każdego roku, ile dzieci ukończyło szkołę podstawową, ile było wypadków z udziałem urządzeń domowych i tak dalej.

- O rany! - Yuki nie posiadała się ze zdumienia. - Przecież to można znaleźć w Internecie.

- Ale Garry Tenning uważa, że napisanie książki Liczby jest jego powołaniem - wyjaśniłam, gdy Lorraine przyniosła piwo i rozdała nam menu. - Zarabiał na życie jako stróż nocny na budowach. Miał dużo czasu „na ważne przemyślenia”, jak zeznał.

- Ale jak mógł słyszeć tych ludzi i te hałasy w tak odizolowanym pokoju? - zapytała Claire.

- Dźwięk przenosi się rurami i kanałami wentylacyjnymi - wyjaśniła Cindy. - I wychodzi w różnych dziwnych miejscach. Ja, na przykład, przez kratkę wentylacyjną w swojej łazience słyszę, jak ludzie śpiewają. Kim są? Gdzie mieszkają? Nie mam pojęcia.

- Zastanawiam się, czy on nie cierpi na hyperacusis - wyznała Claire.

- Na co? - zapytałam.

- Na nadwrażliwość słuchową. Jest to schorzenie polegające na tym, że ośrodki słuchowe w mózgu mają problem z percepcją hałasu - tłumaczyła nam Claire na tle zgiełku w tylnej sali i brzęczenia naczyń w kuchni. - Dźwięki, które inni ledwie słyszą, są wręcz nietolerowane przez osobę z nadwrażliwością.

- Jakie są tego efekty? - dopytywałam się.

- Taka osoba czuje się izolowana. Dodaj do tego jeszcze zaburzenia umysłowe i socjopatologiczne i wyjdzie ci taki Garry Tenning.

- „Upiór z Blakely Arms” - zażartowała Cindy. - Tylko daj mi słowo, że nie ma żadnej szansy na to, by wyszedł za kaucją.

- Żadnej - powtórzyłam. - Przyznał się do winy. Mamy narzędzie zbrodni. Tenning jest zapuszkowany i ugotowany.

- Jeśli to rzeczywiście jest nadwrażliwość słuchowa, to Garry Tenning totalnie znikuje w więzieniu - stwierdziła Yuki, gdy Lorraine podała nam to, co zamówiliśmy.

Zaczęłyśmy pałaszować, wymieniając się historyjkami i ploteczkami. Claire powiedziała, że ilość jej obowiązków wzrosła dwukrotnie i że dziś wieczorem mają zakrapiane pożegnanie doktora G., który dostał atrakcyjną ofertę pracy gdzieś w Ohio. Wzniosłyśmy toast za zdrowie doktora Germaniuka i zapytałyśmy Yuki, co u niej słyhać.

- Czuję się trochę dwubiegunowo - roześmiała się. - W niektóre dni jestem pewna, że Fred-a-lito-lindo rzeczywiście przekona sędziów przysięgłych o swojej chorobie psychicznej. Następnego dnia budzę się absolutnie przekonana, iż tak dołożę Mickeyowi Shermanowi, że ten wyskoczy z majtek.

Wpadłyśmy w dobre humory i zaczęłyśmy wymyślać imię dla nienarodzonego dziecka Claire.

- Jeśli urodzi się dziewczynka, to będzie miała na imię Margarita - przekrzyczała wszystkich Cindy i wygrała następną kolejkę drinków.

Nasz wieczór kończył się zbyt wcześnie, obiad został zredukowany do kości i resztek, podano nam kawę, a inne głodomory tłoczyły się już w przedsionku. Zostawiłyśmy pieniądze za rachunek na stole i wypychałyśmy się przez drzwi, bo żadna nie chciała pierwsza wyjść na deszcz. Mnie udało się wyjść ostatniej.

Jechałam w stronę Potrero Hill zaabsorbowana rytmem wycieraczek i okręgami świetlnymi wokół reflektorów nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Pomyślałam, że cisza, która zapadła po tak burzliwym dniu i wesołym spotkaniu z przyjaciółkami, znowu wpycha mnie w smutny nastrój.

Joe nie będzie na mnie czekał na schodach frontowych pod domem.

Martha jest cały czas na wakacjach.

Zagrzmiało. Gdy kładłam się sama spać, ciągle padał deszcz.

## **Rozdział 108**

Następnego ranka Rich i ja z niepokojem czekaliśmy na Mary Jordan. Spóźniła się dziesięć minut i wyglądała na poruszoną.

Zaprosiłam kierowniczkę biura Westwood Registry do pozbawionej okna celi, którą nazywaliśmy „kuchenką”. Richard podsunął jej krzesło, a ja zrobiłam kawę - czarną z dwoma łyżeczkami cukru - taką, jaką piła, gdy widzieliśmy się ostatnim razem.

- Modlę się za Madison - westchnęła Jordan, ściskając dłonie na kolanach. Pod oczami miała sine cienie ze zmartwienia. - Głęboko w sercu czuję, że zrobiłam to, czego żądał ode mnie Bóg.

Jej słowa tak mnie zaniepokoiły, że aż zakłuło mnie w dołku.

- Co takiego zrobiłaś, Mary?

- Gdy pan Renfrew wyszedł dziś rano, znowu włamałam się do jego biura i pogrzebałam trochę głębiej.

Postawiła na stole sporą skóropodobną damską torebkę i wyciągnęła z niej starodawną, szaroniebieską księgę rachunkową oprawioną w materiał, z napisem: Queensbury Registry.

- To jest pismo pana Renfrew - oświadczyła Jordan, wskazując na równe wielkie drukowane litery i liczby. - To rachunkowość firmy, którą państwo Renfrew prowadzili dwa lata temu w Montrealu.

Otworzyła księgę na stronach zaznaczonych sztywnym kawałkiem tektury. Jordan wyjęła ją i przewróciła na drugą stronę.

Była to fotografia chłopca o blond włosach w wieku około czterech lat i o niezwykle intensywnych zielonych oczach.

- Masz kilka minut? - zapytałam Jordan. Skinęła głową.

Rano w windzie spotkałam zastępcę prokuratora okręgowego, Kathy Valoy, wiedziałam zatem, że będzie u siebie. Zadzwoiłam do niej i opowiedziałam o Queensbury Registry i o zdjęciu chłopca.

- Renfrew jeżdżą po całym kontynencie, otwierając i zamykając swoje firmy. Kathy, podejrzewam, że mamy tu zdjęcie jeszcze jednej ofiary.

Kathy pokonywała chyba po dwa schody naraz, bo pojawiła się w drzwiach kuchni niemalże w tym samym momencie, gdy odkładałam słuchawkę.

Kolejny raz zapytała Mary Jordan, czy samodzielnie dotarła do tych informacji, i po raz kolejny Jordan przysięgła, że nie działała na nasze zlecenie.

- Zadzwoię do sędziego Murphy'ego - powiedziała Valoy, wpatrując się w fotografię i przeczesując palcami krótkie, czarne włosy. - Zobaczymy, co da się zrobić w tej sprawie.

Zadzwoiła do mnie kilka minut po tym, jak odprowadziłam Jordan do windy.

- Właśnie faksuję do ciebie nakaz przeszukania.

## **Rozdział 109**

Paul Renfrew szybko zareagował na pukanie do drzwi i otworzył je na całą szerokość. Wyglądał elegancko w szarym garniturze w jodełkę, wykrochmalonej koszuli i muszce.

Uniół brwi znad okularów bez oprawek i uśmiechnął się szeroko. Wydawało się, że był wręcz zachwycony naszą wizytą.

- Macie dobre wiadomości? Czy znaleźliście Madison? - zapytał w progę.

Po chwili dostrzegł czterech mundurowych policjantów gramolących się z nieoznakowanego policyjnego vana.

- Mamy nakaz rewizji, panie Renfrew - poinformowałam go rzeczowo.

Conklin dał sygnał mundurowym, którzy zaczęli wchodzić po schodach z pustymi kartonami w rękach i szli za nami przez korytarz do biura firmy.

W biurze wszystko było w jak największym porządku: na biurku stał kubek z herbatą i talerz z do połowy wyjedzonymi muffinkami obok stosu otwartych teczek z dokumentami.

- Proszę opowiedzieć nam wszystko o Queensbury Registry - poprosiłam Renfrew.

- Niech państwo usiądą - zaprosił nas na dwie małe sofy ustawione pod kątem prostym w rogu pokoju. Usiadłam, a Renfrew przyciągnął swój obrotowy fotel na kółkach. Cały czas zerkał z zaniepokojeniem na Conklina udzielającego wskazówek posterunkowym. Pięć teczek z aktami powędrowało do kartonu.

- Queensbury nie jest żadną tajemnicą - zaczął wyjaśniać Renfrew. - Powiedziałbym o nim wcześniej, ale zlikwidowaliśmy tę firmę, bo po prostu upadła. - Na znak czystych intencji rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, że niczego nie ukrywa. - Jestem kiepskim biznesmenem - przyznał.

- Musimy też porozmawiać z pana żoną.

- Oczywiście, oczywiście, ona też chce z państwem porozmawiać. Dziś wieczorem przylatuje z Zurychu.

Zachowanie Renfrew było ujmujące; pozwoliłam mu przez chwilę poczuć, że wygrał. Uśmiechnęłam się i pokazałam fotografię chłopca o blond włosach i zielonych oczach.

- Nie, nie rozpoznaję go. A powinienem?

Pojawił się Conklin z mundurowym, ściskając pod pachą kilka ksiąg rachunkowych.

- Panie Renfrew, niniejszym nakładam zakaz prowadzenia przez pana działalności gospodarczej przez siedemdziesiąt dwie godziny. Zakaz obejmuje także korzystanie z telefonu służbowego. To jest posterunkowy Pat Noonan, który dopilnuje, by przez ten czas firma była zamknięta.

- On tu zostanie?

- Dopóki mniej więcej za osiem godzin nie pojawi się jego zmiennik. Lubi pan futbol? Pat jest wielkim fanem drużyny Fighting Irish. Może gadać o nich godzinami, jeśli tylko mu się na to pozwoli.

Noonan się uśmiechnął, ale twarz Renfrew pozostała nieruchoma.

- I, panie Renfrew, nie radzę w tym czasie opuszczać miasta. To raczej nie wyszłoby panu na dobre.

## Rozdział 110

Napięcie w biurze Tracchia było wręcz nie do zniesienia. Nienasycony medialny potwór atakował nas non stop przez ponad tydzień - w telewizji, gazetach i tabloidach. A my nie mieliśmy czym go pokonać. Zamordowano dziewiętnastoletnią dziewczynę. Zaginęło dziecko znanej rodziny i przypuszczano, że już nie żyje. To było okropne uczucie i wszyscy zebrani w biurze u Tracchia brali to sobie do serca.

- Boxer, przedstaw panu komendantowi wszystko, co mamy - poprosił Jacobi.

Wlepiłam w Jacobiego spojrzenie mówiące: „Wiem, co mam robić, panie poruczniku”.

Opisałam całą sytuację, przedstawiając po kolei wszystkie dowody. Najpierw listy od porywaczy. Potem zdjęcia trojga dzieci - Eriki Whitten, Madison Tyler i nieznanego chłopca o zielonych oczach.

- Nie wiemy, jak nazywa się ten chłopiec. Renfrew twierdzi, że go nie zna, ale to zdjęcie znaleźliśmy w jednej z jego ksiąg rachunkowych. - Rich położył na biurku księgę firmy Queensbury Registry obok dwóch ksiąg rachunkowych Westwood Registry. - Wiemy, że państwo Renfrew prowadzili trzy firmy oferujące opiekunki do dzieci: jedną w Bostonie, jedną u nas i jedną, na samym początku, w Montrealu. Policja w Montrealu ma niewyjaśnioną sprawę porwania chłopca o nazwisku Andre Devereaux prosto z placu zabaw blisko domu, dwa lata temu. Ten chłopiec także miał nianię.

- Czy niania była z Queensbury Registry?

- Tak - odpowiedział Conklin. - Przystudiowałem te księgi. Przy tak solidnych honorariach Renfrew wydają wszystkie pieniądze na koszty wynajmu, rekrutacji i importowania dziewcząt zza oceanu, koszty biurowe oraz prawne.

- Ale mimo to nadal robią to samo - wtrąciłam. - I warto się zastanowić dlaczego. Jak im się to opłaca?

Porucznik Macklin przesunął wydruk zdjęcia w stronę Tracchia.

- To jest Andre Devereaux. Wygląda tak samo, jak chłopiec na zdjęciu znalezionym w księdze Queensbury Registry. Nianią Andrego była obywatelka Szwecji, Britt Osterman. Została zatrudniona przez Queensbury Registry. Tydzień po uprowadzeniu chłopca



znaleziono ją w rowie przy jakiejś lokalnej drodze. Z kulą w głowie. Właścicielami Queensbury Registry była para Amerykanów, podających się za Johna i Tinę Langerów - ciągnął Macklin. - Langerowie zniknęli po uprowadzeniu Andrego Devereaux i Britt Osterman. Kanadyjska policja przysłała nam to zdjęcie Langerów.

Macklin położył na biurku Tracchia jeszcze jeden wydruk z drukarki laserowej. Przedstawiał on białą kobietę i białego mężczyznę sporo po czterdziestce. Było to zwykłe zdjęcie zrobione podczas wakacyjnego przyjęcia. Piękny pokój. Rzeźbione panele ścienne. Mężczyźni i kobiety w wytwornych wieczorowych strojach.

Palec Macklina wskazywał kobietę o ciemnych włosach w wydekolowanej brązowej sukni. Opierała się o uśmiechniętego mężczyznę obejmującego ją ramieniem. Mogłam tylko domyślać się jej nazwiska, ale znałam tego mężczyznę. Miał zaczesane do tyłu proste czarne włosy i kocią bródkę. Na nosie brakowało okularów.

Jeszcze całkiem niedawno patrzyłam na tę twarz.

John Langer to Paul Renfrew.

## Rozdział 111

Tego samego dnia w południe Conklin i ja siedzieliśmy w kawiarni U Wuja w Chinatown. Obydwoje zamówiliśmy śródową specjalność: duszoną wołowinę, ziemniaczane puree i zieloną fasolkę. Conklin rzucił się na swoje jedzenie, ale ja zupełnie straciłam apetyt.

Mieliśmy stąd świetny widok na Westwood Registry.

Ciężarna Chinka z mysimi ogonkami na głowie ponownie napelniła nasze filiżanki herbatą. Gdy spojrzałam przez okno jedną nanosekundę później, zobaczyłam, jak Paul Renfrew - bo tak się teraz nazywał - wychodzi przez główne drzwi swojego biura i miejsca zamieszkania.

- Uwaga! - powiedziałam i postukałam w talerz Conklina widelcem. Zadzwoiła moja komórka. To był Pat Noonan.

- Pan Renfrew powiedział, że wychodzi na lunch. Wróci za godzinę.

Szczerze w to wątpiłam. Renfrew miał zamiar prysnąć.

I nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, ile par oczu go obserwuje.

Conklin zapłacił rachunek, po czym zadzwonił do Stanforda i Jacobiego, zapiął mi kurtkę zakrywającą kamizelkę kuloodporną i obserwował pełen wigoru marsz pana Renfrew, mijającego właśnie kwaciarnię i sklep z upominkami i zmierzającego w kierunku skrzyżowania Waverly i Clay.

Conklin i ja wskoczyliśmy do naszej crown victorii w tym samym momencie, gdy Renfrew otwierał swoje granatowe bmw. Spojrzał przez ramię, wszedł do samochodu i odjechał na południe.

Dave Stanford i jego partner Heather Thomson ruszyli za Renfrew, gdy ten dojechał do Sacramento Street, a w tym samym czasie Jacobi z Macklinem jechali północną trasą w stronę Broadwayu. Nasze krótkofalówki pikały i trajkotały, gdy członkowie grupy ścigającej podawali swoje pozycje, zamieniając się na miejscu bezpośrednio śledzących tak, by nie spłoszyć ściganego.

Serce waliło mi jak młotem podczas ucieczki Paula Renfrew do miejsca, którego nie znaleźliśmy.

Minęliśmy Bay Bridge i skierowaliśmy się na północ drogą stanową numer 24, prowadzącą do hrabstwa Contra Costa.

Conklin i ja jechaliśmy właśnie za Renfrew, gdy ten skręcił nagle z Altarinda Road w jedną z mniejszych uliczek prowadzących do Orindy - cichego, ekskluzywnego miasteczka ukrytego wśród otaczających je wzgórz.

Usłyszałam Jacobiego przez radio, gdy informował lokalną policję, że prowadzimy na ich terenie obserwację w ramach trwającego śledztwa w sprawie morderstwa. Macklin zażądał wsparcia od policji stanowej, po czym zadzwonił do Departamentu Policji w Oakland i poprosił o monitorowanie terenu helikopterem. Kolejny głos, jaki usłyszałam przez radio, należał do Stanforda. Ten wzywał całą artylerię-oddziały szturmowe FBI.

- Czyli policja z San Francisco właśnie straciła kontrolę nad przejęciem obiektu - zakomunikowałam Conklinowi. Bmw pana Renfrew zwolniło i skręciło na podjazd białego domu z wielospadowym dachem.

Conklin przejechał obok domu, jak gdyby nigdy nic.

Zawróciliśmy na skrzyżowaniu na końcu ulicy i podjechaliśmy z powrotem, parkując nasz samochód w zacienionym miejscu naprzeciwko posesji, na której Renfrew zaparkował swoje bmw tuż za czarnym minivanem marki Honda.

To nie mógł być zbieg okoliczności.

To musiał być ten van, którego użyto podczas porwania Madison Tyler i Paoli Ricci.

## **Rozdział 112**

Wprowadziłam numery rejestracyjne minivana do komputera policyjnego zainstalowanego w naszym nieoznakowanym radiowozie. W głowie planowałam już

załatwienie nakazu rewizji i zatrzymanie vana jako dowodu sądowego, z nadzieją że gdzieś na nici ściegu tapicerki znajdziemy drobiną zaschniętej krwi Paoli - pierwszy prawdziwy dowód, który połączyłby państwa Renfrew z uprowadzeniem Paoli Ricci i Madison Tyler.

W ciągu godziny ustalone zostały dwa sektory działania: wewnętrzny sektor obejmował dom, a zewnętrzny stanowiły dwa kwartały wokół domu.

Zastanawiałam się, co się dzieje w środku, bo z zewnątrz nie było widać żadnego ruchu. Czy Renfrew się już pakowali? Niszczyli dowody?

Była prawie czwarta po południu, gdy na ulicy pojawiło się pięć czarnych SUV-ów. Zaparkowały na chodniku prostopadle do domu podejrzanych.

Dave Stanford podszedł do naszego radiowozu i podał mu megafon. Nie miał już kucyka, a włosy przyciął zgodnie ze standardami FBI. Jego wesołość też gdzieś się zapodziała. Nie był już tajnym agentem.

- Zaczynamy, Lindsay - powiedział. - A skoro Renfrew cię znają, to może uda ci się wyciągnąć ich z domu.

Conklin przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchomił silnik i ruszyliśmy na drugą stronę ulicy, zatrzymując się bezpośrednio przed wjazdem na posesję. Zablokowaliśmy podjazd, unieruchamiając tym samym bmw i hondę.

Wzięłam megafon, stanęłam za otwartymi drzwiami radiowozu i zawołałam:

- Panie Renfrew, mówi sierżant Boxer. Mamy nakaz aresztowania pana pod zarzutem zabójstwa. Proszę powoli wyjść z domu z rękami uniesionymi nad głową.

Mój głos brzmiał bardzo donośnie i rozchodził się na całą okolicę. Gdy pojawił się helikopter i słychać było łopot jego wirnika, wszystkie ptaki poderwały się do lotu.

- Ruch na piętrze - rzucił Conklin.

Każdy mięsień mojego ciała był napięty. Ze skupieniem obserwowałam front domu. Mimo że niczego podejrzanego nie dostrzegłam, to i tak czułam ciarki przebiegające po kręgosłupie. Podniosłam megafon i wcisnęłam przycisk.

- Panie Renfrew, to jest pana ostatnia i jedyna szansa. Mamy wystarczającą ilość artylerii, by obrócić pański dom w kupę gruzu. Proszę nie zmuszać nas do użycia siły.

Drzwi frontowe otworzyły się szeroko i pojawił się w nich Renfrew.

- Wychodzę! Nie strzelać! Proszę nie strzelać! - krzyczał nerwowo.

Spojrzałam na chwilę w lewo, by zobaczyć reakcję sił szturmowych FBI. Ponad dwanaście karabinków bojowych M16 zostało wycelowanych we frontowe drzwi. Wiedziałam, że gdzieś na dachu, może trzydzieści metrów dalej, czai się snajper z remingtonem model 700 i potężną lunetą celowniczą wymierzoną w czoło Renfrew.

- Proszę wyjść na zewnątrz tak, byśmy dobrze pana widzieli - zawołałam. - Mądra decyzja, panie Renfrew. Teraz proszę się odwrócić i iść tyłem w kierunku mojego głosu.

Renfrew stał pod daszkiem frontonu. Dziesięć metrów przystrzyżonego trawnika dzieliło nas od podejrzanego.

- Nie mogę tego zrobić - jęczał Renfrew. - Jeśli wyjdę dalej, to ona mnie zastrzeli.

### Rozdział 113

Renfrew wyglądał na przerażonego i chyba miał ku temu dobry powód. Jeśli wykonałby jeden fałszywy ruch, to prawdopodobnie żyłby nie dłużej niż jakieś dwie sekundy. On jednak nie bał się nas.

- Kto pana zastrzeli? - zawołałam.

- Moja żona, Laura. Jest na górze i ma pistolet samopowtarzalny. Nie udało mi się jej zmusić, by ze mną wyszła. Ona chyba nie chce, żebym się poddał.

No to mieliśmy mały kłopot. Jeśli chcieliśmy dowiedzieć się, co się stało z małą Madison Tyler, musieliśmy postarać się zachować Paula Renfrew przy życiu.

- Proszę zrobić dokładnie to, co każę! - krzyknęłam. - Proszę zdjąć marynarkę i odrzucić ją na bok... Okay. Dobrze! Teraz proszę wywrócić kieszenie spodni na drugą stronę!

Mikrofon mojej krótkofalówki pozostawiłam włączony, żeby wszyscy mogli mnie słyszeć.

- Proszę rozpiąć pasek i opuścić spodnie!

Renfrew spojrział na mnie, ale posłuchał. Po chwili spodnie leżały na stopach, a jego koszula zwisała aż do ud.

- Teraz proszę powoli się obrócić... O pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Proszę podnieść koszulę, tak żebyśmy mogli zobaczyć talię - uściśliłam, nie zważając na to, że wydawał się nieco skrępowany. - Dobrze, można włożyć spodnie. Renfrew wykonał to bardzo szybko.

- A teraz proszę podnieść nogawki spodni aż do kolan.

- Zgrabne nogi jak na faceta - rzucił Conklin ponad dachem radiowozu. - No dobra, wyciągnijmy go stamtąd.

Skinęłam głową, wiedząc, że gdyby jego żona zbiegła na dół, to mogłaby sprzątnąć go w mgnieniu oka. Kazałam Renfrew opuścić nogawki spodni, wyjść i przylgnąć do ściany.

- Jeśli mnie pan posłucha, to ona nic panu nie zrobi! -. powiedziałam i wydałam kolejne komendy. - Proszę trzymać dłonie oparte o ścianę. W ten sposób, przyciskając się do

ściany, proszę przejść, krok po kroku, za południowy róg domu. Potem proszę się położyć twarzą do ziemi i spleść dłonie na karku.

Gdy Renfrew leżał z rękami na karku, podjechał do niego jeden z czarnych suburbanów. Wyskoczyło z niego dwóch agentów FBI. Skuli go i przeszukali jeszcze raz.

Gdy upychali go na tylnej kanapie samochodu, doszedł do mnie odgłos wybijanej na piętrze szyby. O cholera!

W oknie pojawiła się twarz kobiety. Trzymała pistolet w ręce, przyciskając jego lufę do skroni przerażonej dziewczynki, którą była Madison Tyler.

Kobietą, która ją więziła, była Tina Langer - alias Laura Renfrew - i rzeczywiście wyglądała na zabójczynię. Jej twarz była wręcz pomarszczona ze złości i nie dostrzegłam na niej ani cienia strachu.

- Koniec gry jest zawsze najciekawszy, prawda, sierżant Boxer? Żądam bezpiecznego przejścia. Oczywiście mam na myśli przejście dla mnie i dla Madison. Ten helikopter bardzo się przyda na początek. Niech ktoś zadzwoni do pilota. Ma natychmiast wylądować. Wykonać to! Natychmiast! - krzyczała przez okno. - No i tak przy okazji... jeśli ktokolwiek wykona ruch w moim kierunku, to zastrzelę tę małą...

W tym samym momencie zobaczyłam czarną dziurkę w jej czole i dopiero ułamek sekundy później doszedł do mnie dźwięk wystrzału oddanego ze snajperskiego remingtona z dachu po przeciwnej stronie ulicy.

Madison krzyczała, gdy kobieta przez moment stała jeszcze w oknie jak skamieniała, nadal ściskając dziecko. Upadając, puściła dziewczynkę.

## **Rozdział 114**

Czy Madison Tyler nie ucierpiała? - zastanawiałam się, wbiegając po schodach na górę. Wpadłam z Conklinem do sypialni, nigdzie jednak nie zobaczyliśmy dziewczynki.

- Madison? - zawołałam niemal histerycznie.

Obok drzwi stało pojedyncze niepościelone łóżko, a na nim walizka z ubraniami dziecka.

- Gdzie się schowałeś, kochanie? - zawołał Rich, gdy zbliżyliśmy się do garderoby. - Jesteśmy z policji.

- Madison, już po wszystkim - zapewniałam dziewczynkę, przekręcając gałkę. - Nikt już ci nie zrobi krzywdy.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam na podłodze stos ubrań poruszający się lekko w rytm czyjegoś oddechu. Przykucnęłam, nadal obawiając się tego, co mogłabym zobaczyć.

- Maddy - powiedziałam. - Mam na imię Lindsay i jestem policjantką. Przyszłam, żeby zabrać cię do domu.

Zaczęłam odsuwać ubrania na bok, aż wreszcie wyłoniła się spod nich drobna dziewczynka. Kuląc się ze strachu, kołysała się z zamkniętymi oczami, kwiląc cichutko. Dzięki Ci, Boże. To była Madison.

- Już dobrze, słoneczko - uspokajałam ją drżącym głosem. - Wszystko będzie dobrze.

Gdy Madison otworzyła oczy, wyciągnęłam do niej ramiona, podskoczyła do mnie, a wtedy przycisnęłam ją mocno do siebie, przytulając policzek do jej włosów.

Wzięłam komórkę do ręki i zaczęłam wyszukiwać w pamięci telefonu pewien numer. Palce tak mi się trzęsły, że musiałam powtórzyć wybieranie.

Po drugiej stronie telefon odebrano już po drugim dzwonku.

- Pani Tyler, tu Lindsay Boxer. Jestem z inspektorem Conklinem i mamy Madison. - Przyłożyłam telefon do ucha dziewczynki i wyszeptalam: - Powiedz coś do mamy.

## **Rozdział 115**

Wczesnym wieczorem tego samego dnia byliśmy z Conklinem w kwaterze FBI na dwunastym piętrze biurowca przy Golden Gate Avenue. Siedzieliśmy w sali projekcyjnej razem z piętnastoma innymi policjantami i agentami FBI i oglądaliśmy na monitorach wideo przesłuchanie Paula Renfrew, które prowadził Dave Stanford ze swoim partnerem, Featherem Thomsonem.

Ze skupieniem obserwowałam, jak Stanford i Thomson analizują zbrodnie popełnione przez Paula Renfrew, alias Johna Langerę, alias Davida Cornwalla, alias Josefa Wallera - to ostatnie nazwisko miał wpisane w akcie urodzenia.

- On wręcz pławi się w zainteresowaniu, jakie wzbudza - oceniłam sposób bycia przesłuchiwanego.

- Dobrze, że ja tam nie siedzę - odparł Conklin. - Nie potrafiłbym się powstrzymać.

Conklin miał namyśli samozadowolenie i słodką uprzejmość Wallera. Zamiast stawiać opór i zaprzeczać, Waller rozmawiał ze Stanfordinem i Thomsonem tak, jakby byli najlepszymi kolegami z pracy i jakby oczekiwał, że ta przyjacielska relacja będzie trwała po zakończeniu jego opowieści.

Macklin, Conklin i ja siedzieliśmy przykuci do foteli, gdy Waller pieszczotliwie podawał nazwiska uprowadzonych dzieci: Andrego Devereaux, Eriki Whitten, Madison Tyler i nazwisko małej dziewczynki z Mexico City - Dorothei Alvarez.

Dziecka, o którym nic nie wiedzieliśmy.

Dziecka, które nadal mogło być żywe.

Sącząc kawę, Waller zeznał przed Stanfordem i Thomsonem, że troje uprowadzonych dzieci jest sekszabawkami w łapach zboczonych milionerów. Podał też miejsca ich pobytu na całym świecie.

- To był pomysł mojej żony, by importować piękne europejskie dziewczyny i znajdować im pracę jako nianie w bogatych domach. A potem znajdować kupców na dzieci. Ja zajmowałem się opiekunkami. To była moja praca. Dziewczęta były dumne ze swoich dzieci. Opowiadały, że są najpiękniejsze, najbardziej inteligentne i uzdolnione. A ja zachęcałem je, aby mówiły mi o nich jak najwięcej.

- Zatem wykorzystywaliście nianie do wskazywania dzieci, a one nie wiedziały, co zamierza pan z nimi zrobić - podsumował Thomson.

Renfrew się uśmiechnął.

- A jak znajdowaliście kupców? - zapytał Stanford.

- Reklama szeptana - wyjaśniał Renfrew. - Naszymi klientami byli ludzie bogaci i wytworni. Zawsze miałem pewność, że dzieci znalazły się w dobrych rękach.

Chciało mi się rzygać, ale złapałam się za podłokietniki i dalej patrzyłam w ekran.

- Trzymaliście Madison przez prawie dwa tygodnie - zaczął Thomson. - To było chyba dość ryzykowne?

- Czekaliśmy na przelew - wyjaśnił Renfrew. - Za Madison obiecano nam półtora miliona, ale interes nie doszedł do skutku. Mieliśmy inną ofertę, ale już nie tak dobrą, i wtedy ten pierwszy oferent wrócił do gry. Te dodatkowe kilka dni kosztowały nas wszystko.

- A to porwanie Madison i Paoli - odezwał się Stanford - przecież w parku było tylu ludzi i do tego środek dnia imponujące zagranie, muszę przyznać. Ciekawe, jak to się panu udało?

- No tak, to było rzeczywiście niezłe, ale muszę przyznać, że o mało co wszystko się nie posypało - zeznał Waller, oddychając głęboko na wspomnienie wydarzenia i zastanawiając się zapewne, jak najlepiej opowiedzieć tę historię. - Podjechaliśmy vanem pod park Alta Plaža - zaczął nową opowieść psychopata w eleganckim szarym garniturze w jodełkę. - Poprosiłem Paolę i Madison, aby wsiadły i pojechały z nami. Widzi pan, dzieci zawsze ufały swoim nianiom, a nianie ufały nam.

- Niezwykłe - skomentował Stanford.

Renfrew skinął głową; po takiej zachęcie chciał opowiedzieć wszystko do końca.

- Powiedzieliśmy Paoli i Madison, że w domu wydarzył się wypadek, że mama Madison spadła ze schodów. Uśpiłem Madison chloroformem na tylnej kanapie. Ale Paola zaczęła łapać za kierownicę. Mogła nas wszystkich zabić. Musiałem jak najszybciej ją uciszyć. A co innego pan by zrobił w takiej sytuacji? - zapytał Renfrew Stanforda.

- Ja uciszyłbym pana już w momencie narodzin - odpowiedział Stanford. - I żałuję, że nie mogłem tego zrobić.

## **Część piąta**

### **Fred-a-lito-lindo**

#### **Rozdział 116**

Ławki dla publiczności do ostatniego miejsca wypełnione były prawnikami, reporterami, rodzinami ofiar i dziesiątkami ludzi, którzy znajdowali się na Del Norte, gdy Alfred Brinkley strzelał do bezbronnych pasażerów. Na sali pojawił się oskarżony, eskortowany przez dwóch strażników sądowych, a wtedy przyciszone rozmowy przeszły w nieprzyjazne bulgotanie.

Mickey Sherman wstał, gdy Brinkleyowi zdejmowano kajdanki z rąk i rozpinano łańcuch na biodrach. Wsunął mu nawet fotel spod stołu.

- Czy będę mógł coś od siebie powiedzieć? - zapytał adwokata klient.

- Cały czas się nad tym zastanawiam - odpowiedział obrońca. - Naprawdę tego chcesz?

Brinkley skinął głową i zapytał:

- Dobrze wyglądam?

- Taaa. Świetnie.

Mickey rozsiadł się w fotelu i obrzucił uważnym spojrzeniem swojego klienta, który był blady, potwornie chudy, z lekko rozczochranymi włosami, zacięciami po goleniu, ubrany w połyskliwy garnitur wiszący na nim jak na strachu na wróble. Generalną zasadą obrony jest niedopuszczanie klienta do głosu, co najmniej do momentu, gdy procesu obrony nie zaczyna trafiać szlag. I można z oskarżonego zrobić świadka, ale tylko wtedy, gdy jest on na tyle wiarygodny i sympatyczny, by móc próbować przeciągnąć przysięgłych na swoją stronę.

Ale Fred Brinkley wyglądał jak niedorozwój i nudziarz.



Nie mieli jednak nic do stracenia. Oskarżenie dysponowało zeznaniami naocznych świadków, nagraniem wideo i przyznaniem się do winy jego klienta. Sherman cały czas zastanawiał się nad tym, co będzie lepsze. Z jednej strony mógł uniknąć ryzyka, z drugiej - miał szansę, że Fred-a-lito-lindo jakoś przekona sędziów o tym, jak bardzo natrętne były te głosy w jego głowie i że totalnie zwariował, gdy strzelał do tych biednych ludzi...

Fred miał prawo złożyć zeznania we własnej obronie, ale Sherman sądził, że uda mu się go od tego odwieść. Nawet gdy pojawili się przysięgli i sędzia główny, nie był do końca zdecydowany, jak powinien postąpić. Tymczasem woźny ogłosił rozpoczęcie procedowania, a salę ogarnęła pełna oczekiwania cisza.

Sędzia Moore spojrzął znad czarnych oprawek grubych okularów i zapytał:

- Jest pan gotowy, panie Sherman?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Adwokat wstał, zapiął środkowy guzik marynarki i zwrócił się do swojego klienta: - Fred...

## Rozdział 117

- A zatem po wypadku siostry poszedłeś do stanowego szpitala psychiatrycznego w Napa? - zapytał Sherman, zdając sobie sprawę, że Fred jest bardzo rozluźniony. Nawet bardziej, niż można się było po nim tego spodziewać.

- Tak, poddałem się leczeniu. Zacząłem się załamywać.

- Rozumiem. Czy przechodziłeś kurację leczniczą w Napa?

- Oczywiście. Szesnastolatek ma wystarczająco pomieszane w głowie, a co dopiero, gdy na jego oczach ginie siostra.

- Więc byłeś załamany, ponieważ twoją siostrę uderzył bom i wypadła za burzę, a ty nie mogłeś jej uratować, prawda?

- Wysoki Sądzie - przerwała Yuki, zrywając się z miejsca - nie mam nic przeciwko temu, żeby pan Sherman składał zeznania, ale uważam, że przynajmniej powinien zostać zaprzysiężony.

- Zadam pytanie w inny sposób - odparł z uśmiechem Sherman, w pełni opanowany. - Fred, czy słyszałeś głosy w głowie przed wypadkiem siostry?

- Nie. On zaczął do mnie przemawiać dopiero po wypadku.

- Czy możesz powiedzieć sędziom przysięgłym, kogo masz na myśli, mówiąc „on”?

Brinkley stuknął się otwartymi dłońmi w głowę i westchnął ciężko, jakby opisanie głosu miało go pobudzić do życia.

- Bo... to nie jest tylko jeden głos - wyjaśnił. - Jeden jest kobiecy, taki śpiewający i zawodzący, ale on nie jest tak ważny. Jest jeszcze jeden i on jest stale zły. Nieprzewidywalny, krzykliwy, dręczący. I to on mną rządzi.

- Czy to ten głos nakazał ci zabić ludzi na promie? Brinkley skinął żałośnie głową.

- On wrzeszczał do mnie: „Zabij, zabij, zabij!”. I nic innego się wtedy nie liczyło. Słyszałem tylko ten krzyk. Mogłem zrobić jedynie to, co mi kazał. Był tylko on, a cała reszta wydawała się okropnym snem.

- Fred, czy prawdziwe byłoby stwierdzenie, że nigdy, przenigdy, nie zabiłbyś nikogo, gdyby te głosy nie kierowały tobą piętnaście lat po wypadku twojej siostry? - zapytał Sherman.

Sherman zauważył, że jego klient zupełnie się zdekoncentrował i wpatruje się w kogoś na widowni.

- Tam jest moja matka - stwierdził niepewnie Brinkley, wskazując na jakąś osobę w tłumie. - Tak, to moja mama!

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę atrakcyjnej Afroamerykanki o jasnej cerze, niewiele po pięćdziesiątce, która przemknęła wzdłuż ławek, uśmiechnęła się sztywno do syna i usiadła.

- Fred - Sherman próbował odwrócić jego uwagę.

- Mamó! Powiem im wszystko! - zawołał Brinkley; jego głos zadrżał z emocji, a twarz skrzywiła się z bólu. - Słuchasz mnie, mamó? Przygotuj się na całą prawdę! Panie Sherman, pan to wszystko źle zrozumiał. Pan to nazywa „wypadkiem”. To nie był wypadek!

Sherman zwrócił się do sędziego, mówiąc rzeczowym głosem:

- Wysoki Sądzie, to chyba dobry moment na zrobienie przerwy...

Ale Brinkley przerwał mu ostro:

- Nie potrzebuję przerwy. I, szczerze mówiąc, nie potrzebuję już pańskiej pomocy, panie Sherman.

## **Rozdział 118**

- Wysoki Sądzie - zaczął Sherman, starając się zachować spokój, zupełnie jakby jego klient wcale nie psuł mu szyków. - Wnoszę o wykreślenie zeznań pana Brinkleya z akt sprawy.

- Na jakiej podstawie, panie Sherman?

- Mamo, ja się z nią kochałem! - krzyczał Brinkley na całą salę. - My to już robiliśmy wcześniej. Właśnie zdejmowała koszulkę, gdy bom się przesunął...

Ktoś jęknął: „Mój Boże!”.

- Wysoki Sądzie - Sherman znowu zabrał głos - to zeznanie nie dotyczy sprawy.

Yuki zerwała się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie, to pan Sherman umożliwił zeznawanie świadkowi, który jest jednocześnie jego klientem!

Brinkley odwrócił się od matki i przyspilił przysięgłych intensywnym, choć rozbieganym spojrzeniem.

- Przysięgałem, że będę mówił prawdę - oświadczył. W sali zapanował zgiełk. Nawet uderzenia młotka sędziego, walącego wściekle w podstawkę, tonęły w ogólnym poruszeniu. - A prawda jest taka, że nawet nie kiwnąłem palcem, żeby pomóc mojej siostrze - mówił dalej Brinkley. - I to ja zabiłem tych ludzi na promie, bo głos mi tak kazał. Jestem bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Sherman usiadł za stołem i zaczął wkładać teczki z dokumentami do harmonijkowego segregatora.

- Tego dnia na promie - krzyczał Brinkley - wycelowałem broń w tych ludzi i pociągałem za spust! I mogę to zrobić jeszcze raz!

Sędziowie przysięgli wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, a Alfred Brinkley wycierał dłońmi łzy z policzków.

- Dostyc już, panie Brinkley - warknął sędzia.

- Wy tutaj złożyliście przysięgę, że będziecie sędzić sprawiedliwie - ciągnął Brinkley, waląc rytmicznie rękami w swoje kolana. - Musicie mnie zlikwidować za to, co zrobiłem tym ludziom! To jedyny sposób na to, żebym nie zrobił tego drugi raz! I jeśli nie dacie mi kary śmierci, obiecuję, że wrócę i zrobię to jeszcze raz!...

Mickey Sherman włożył harmonijkowy segregator do błyszczącej metalowej aktówki i zatrzasnął sprzączki. Czas zamknąć warsztat.

- Panie Sherman - zabrał głos sędzia Moore, jego twarz była czerwona z poirytowania.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do swojego świadka?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- A pani Castellano? Czy chce pani jeszcze raz przesłuchać świadka?

Yuki nie miała już o co pytać, zresztą nic nie przyniosłoby lepszego skutku niż własne słowa Brinkleya: „Jeśli nie dacie mi kary śmierci, obiecuję, że wrócę i zrobię to jeszcze raz”.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Ale gdy sędzia nakazał Brinkleyowi opuścić podium dla świadków, w głowie Yuki zapaliła się mała, czerwona lampka.

Czy Brinkley na pewno przybił gwóźdź do wieka swojej trumny?

Czy też właśnie zrobił więcej, niż cokolwiek mógł zrobić Mickey Sherman, żeby przekonać sędziów, że jest niepoczytalny?

## Rozdział 119

Fred Brinkley siedział na pryczy w celi dwa na trzy metry na dziewiątym piętrze Budynku Sprawiedliwości. Wokoło rozchodziły się odgłosy typowe dla aresztu: głosy zatrzymanych, pisk kółek wózków rozwożących tacki z posiłkami i trzaskanie drzwi odbijające się echem od ścian.

Brinkley trzymał tacę z obiadem na kolanach; zjadł suchą pierś z kurczaka, wodniste puree i bułkę. Poprzedniego wieczoru podano mu to samo, więc przeżuwał jedzenie dokładnie, lecz bez przyjemności.

Wytrzeł usta serwetką, zwinął ją w twardą kulkę i upuścił na środek talerza. Plastikowe sztucce ułożył równo z boku, wstał, zrobił dwa kroki i wsunął tacę pod drzwi. Wrócił na pryczę i usiadł na niej, opierając się plecami o ścianę. Z tego miejsca widział szafkę z umywalką po lewej stronie i przeciwną ścianę z bloczków żwirowych.

Na pomalowanej na szary kolor ścianie wryto grypsy, numery telefonów, nazwy gangów ulicznych i symbole, których zupełnie nie rozumiał. Zaczął liczyć bloczki, śledząc uważnie łączące się pod kątem prostym linie labiryntu zaprawy cementowej, jakby to właśnie tam mógł znaleźć rozwiązanie swoich problemów.

Na zewnątrz strażnik schylił się po pustą tacę. Na identyfikatorze widniało jego nazwisko: Ozzie Quinn.

- Czas na pigułki, Fred-o - rzucił.

Brinkley podszedł do kraty, wyciągnął rękę i wziął mały papierowy kubeczek z pigułkami. Quinn patrzył, jak bierze tabletki i wkłada je do ust.

- Masz wodę do popicia - powiedział strażnik, podając mu drugi kubeczek przez kratę drzwi, i obserwował, jak Fred połyka tabletki.

- Za dziesięć minut gasimy światło. Karaluchy do poduchy.

- I szczypawki do zabawki - odpowiedział Fred. Wrócił na pryczę i usiadł, opierając się plecami o ścianę.

Zaczął podśpiewywać pod nosem: Aj, aj, aj, aj, Mama-cita-lindo.

Nagle chwycił za krawędź łóżka i z całej siły rzucił się do przodu, uderzając głową w przeciwległą ścianę. I po chwili zrobił to samo.

## Rozdział 120

Gdy Yuki weszła do sali sądowej, przy ławie oskarżenia dostrzegła Leonarda Parisiego, swojego szefa, siedzącego obok Davida Hale'a. Yuki zadzwoniła do Lena natychmiast po odebraniu wiadomości o usiłowaniu popełnienia samobójstwa przez Brinkleya, ale nie spodziewała się, że spotka go w sądzie.

- Leonard, miło cię widzieć na nogach - powitała go, myśląc: Cholera! Czy teraz odbierze mi prowadzenie sprawy? Zrobi mi coś takiego?

- Czy z przysięgłymi wszystko w porządku? - zapytał Parisi.

- Tak przynajmniej powiedzieli sędziemu. Nikt nie chce unieważnienia procesu. Mickey nawet nie wnosił o odroczenie.

- To dobrze. Uwielbiam tego nadętego cwaniaczka - mruknął Parisi.

Po drugiej stronie przejścia Sherman rozmawiał ze swoim klientem. Oczy Brinkleya były sinoczarne; głowę miał owiniętą bandażem opatrunkowym sklejonym plastrem na środku czoła. Ubrany był w jasnoniebieski szlafrok szpitalny, spod którego wystawały pasiaste spodnie od piżamy.

Sherman coś do niego mówił, a Brinkley wpatrywał się nieruchomo w blat biurka, szczypiąc włoski przedramienia drugą ręką. Nawet nie podniósł głowy, gdy woźny nakazał wszystkim powstać. Sędzia usiadł za katedrą, nalał szklankę wody i zapytał Yuki, czy jest gotowa na mowę końcową.

Yuki przytaknęła. Podeszła do podestu mównicy, słysząc tętno krwi pulsującej w skroniach. Odchrząknęła delikatnie, pozdrowiła sędziów przysięgłych i zaczęła:

- Nie znaleźliśmy się tutaj po to, by stwierdzić, czy pan Brinkley ma jakieś problemy psychologiczne. Wszyscy mamy jakieś problemy i jedni radzą sobie z nimi lepiej, a drudzy gorzej. Pan Brinkley zeznał, że słyszał w głowie zły głos, i może rzeczywiście coś słyszał. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy to prawda, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Panie i panowie, choroba psychiczna nie jest licencją na zabijanie. Słyszenie głosów nie zmienia faktu, że Alfred Brinkley doskonale wiedział, iż postępuje źle, gdy mordował czworo niewinnych ludzi, a wśród nich dziewięcioletnie dziecko. Skąd o tym wiemy? - zapytała retorycznie. - Bo zdradziło go jego postępowanie i zachowanie przed całym zajściem, w trakcie popełniania zbrodni i po tej tragedii. - Yuki zamilkła na moment dla wywołania

większego efektu i rozejrzała się po sali. Dostrzegła ciężkie i napięte spojrzenie Lena Parisiego, patrzącego spode łba Brinkleya i skupienie sędziów przysięgłych, czekających na dalszą część przemówienia. - Zastanówmy się nad zachowaniem pana Brinkleya. Po pierwsze, zabrał na pokład promu rewolwer smith and wesson model dziesięć. Potem czekał na moment przybijania promu do nabrzeża, żeby nie utknąć na środku zatoki, skąd nie miałby możliwości ucieczki. Takie postępowanie wskazuje na premedytację działania. Gdy Del Norte przybijał do brzegu - kontynuowała Yuki, patrząc w oczy sędziów - Alfred Brinkley dokładnie wymierzył swoją broń w pięciu ludzi i strzelił. Potem uciekł.

I zwiewał gdzie pieprze rośnie. To jest właśnie dowód na świadomość winy. On doskonale wiedział, że to, co zrobił, było złe. Oskarżony ukrywał się przez dwa dni, zanim oddał się w ręce policji i przyznał się do popełnienia zbrodni, ponieważ wiedział, że to, co zrobił, było złe. Zapewne nigdy nie dowiemy się, jakie myśli krążyły w głowie pana Brinkleya pierwszego listopada, ale dokładnie wiemy, co zrobił. I co do tego nie mamy żadnych wątpliwości, ponieważ oskarżony wczoraj po południu wyznał to wszem i wobec. Wymierzył z rewolweru w ofiary - Yuki ułożyła palec na kształt luty pistoletu i z uniesionym ramieniem zatoczyła półkole, celując w ławę przysięgłych i publiczność na sali. - Sześć razy pociągnął za spust. I ostrzegł nas, że jest niebezpiecznym człowiekiem. Mówiąc najprościej, najlepszym dowodem na poczytalność pana Brinkleya jest fakt, że całkowicie zgodził się z oskarżeniem. Jest winny. I za swoje czyny powinien dostać maksymalną karę przewidzianą przez prawo. Proszę przysięgłych, by wymierzili mu właśnie taką karę, o jaką oskarżony sam prosił. Abyśmy już nigdy nie musieli się bać, że pojawi się na ulicach z naładowaną bronią.

Siadając obok Lena Parisiego, Yuki czuła, że ma wypiek na twarzy.

- Świetne zaniknięcie, Yuki. Pierwsza klasa - szepnął do niej Parisi.

## **Rozdział 121**

Mickey Sherman podniósł się natychmiast po mowie Yuki. Stał przed ławą przysięgłych i opowiedział im prostą i tragiczną historię, zupełnie jakby opowiadał ją matce albo przyjaciółce.

- Szczerze mówiąc, moi drodzy sędziowie, Fred Brinkley chciał wystrzelić ze swojej broni do ludzi i wystrzelił. Nigdy temu nie zaprzeczył i nigdy tego nie zrobi. Zatem jaki miał motyw? Czy któraś z ofiar miała z nim na pieńku? Czy była to napaść rabunkowa albo nieudana sprzedaż narkotyków? Czy strzelał do ludzi w obronie własnej? Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! Policji nie udało się ustalić żadnej sensownej przyczyny, dla której Fred

Brinkley miałby zastrzelić tych ludzi, bo tak naprawdę nie miał on żadnego motywu. A jeśli nie istnieje żaden motyw popełnienia przestępstwa, nadal pozostaje nam pytanie: dlaczego? Fred Brinkley cierpi na zaburzenia schizofreniczne, a to jest choroba, tak jak chorobą jest białaczka lub stwardnienie rozsiane. Nic nie zrobił, by sobie na nią zasłużyć. Nawet nie wiedział, że ją ma. Gdy Fred strzelał do swoich ofiar, nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest to złe ani też że ci ludzie są prawdziwi. Sam wam to przecież powiedział. Za to bardzo dobrze słyszał w swojej głowie ten silny, zły głos, który nakazywał mu zabić. I jedynym sposobem na uciszenie tego głosu, było wykonanie rozkazu. Nie musicie mi wcale wierzyć, że Fred Brinkley jest niepoczytalny. Fred Brinkley ma całą historię choroby, która sięga piętnaście lat wstecz, gdy był pacjentem szpitala psychiatrycznego. Wielu świadków zeznało, że słyszeli, jak pan Brinkley przemawiał do telewizorów, śpiewał pod nosem i walił się ręką w głowę tak mocno, że na czole na długo zostawały mu odciski dłoni. Tak bardzo chciał odgonić od siebie te głosy. Słyszeliście także opinię doktora Sandy'ego Friedmana, wybitnego psychiatry, który badał oskarżonego trzy razy i zdiagnozował u niego zaburzenia schizofreniczne. Doktor Friedman stwierdził, że podczas popełniania zbrodni Fred Brinkley znajdował się w stanie urojenia psychotycznego. Cierpiał na chorobę psychiczną, która odmawiała mu zdolności do przestrzegania prawa i reguł życia społecznego. To właśnie jest definicja niepoczytalności. To nie jest choroba stworzona na użytek prawników - oświadczył Sherman, podchodząc do stołu obrony, z którego podniósł grubą książkę w twardej oprawie. - Oto encyklopedia statystyki i diagnostyki chorób psychicznych, biblia dla lekarzy psychiatrów. Zostawię ją wam, byście w pokoju narad mogli przeczytać, że zaburzenia schizofreniczne to poważna choroba psychiczna, która steruje świadomością cierpiącego na nią człowieka. Mój klient nie jest żadnym przyjemniaczkiem - mówił dalej Sherman. - Nie dostanie żadnego medalu ani pochwały. Ale też Fred Brinkley nie jest kryminalistą i nic, co wydarzyło się w jego przeszłości, na to nie wskazuje. Jego wczorajsze zachowanie wyraźnie świadczyło o jego chorobie. Zastanówmy się, czy zdrowy na umyśle człowiek prosiłby sąd o skazanie go na karę śmierci?

Sherman wrócił do ławy obrony, odłożył książkę i upił łyk wody, zanim znów podszedł do mównicy.

- Dowód na niepoczytalność jest przeważający w tej sprawie. Fred Brinkley nie zabił z miłości ani z nienawiści, ani dla pieniędzy, ani dla satysfakcji. Nie jest nawet złym człowiekiem. Jest po prostu chory. Proszę dziś ławę przysięgłych o jedną, jedyną rzecz: uznanie Freda Brinkleya za niewinnego z przyczyn niepoczytalności umysłowej. Mam też

nadzieję, że nasz system opieki psychiatrycznej zajmie się tym biednym człowiekiem i w ten sposób zapewni pozostałym obywatelom odpowiednie bezpieczeństwo.

## Rozdział 122

- Szkoda, że nie słyszeliście mowy kończącej Yuki - oświadczyła Cindy, obejmując ją ciepło ramieniem i uśmiechając się przez stół do Claire i do mnie. - Była jak żyłeta.

- Czy to jest ten dziennikarski obiektywizm? - zapytała zarumieniona z radości Yuki, zaczesując włosy za uszy.

- A skądże! To mówiło moje własne ja! Całkowicie poza protokołem - zażartowała Cindy.

Siedziałyśmy u MacBaina, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Budynku Sprawiedliwości. Na stole leżały nasze telefony komórkowe. Sydney MacBain - nasza kelnerka i jednocześnie córka właściciela - postawiła przed nami cztery szklanki i dwie duże butelki wody mineralnej.

- Woda, woda dla wszystkich - zawołała z przekąsem. - Co się dzieje, dziewczyny?! To jest bar, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi...

- Syd, z nami to jest tak - zaczęłam tłumaczyć, po kolei wskazując nas palcami - ta jest w pracy, ta w pracy, ta też, a ta jest w ciąży i w pracy.

Sydney zaśmiała się, pogratulowała Claire, przyjęła od nas zamówienia i poszła do kuchni.

- Więc on naprawdę słyszy głosy? - zapytałam Yuki.

- To całkiem możliwe. Ale przecież wielu ludzi słyszy głosy. W samym San Francisco jest to pięć osób na dziesięć tysięcy mieszkańców. Prawdopodobnie nawet paru takich siedzi teraz tutaj w barze. Ale jakoś nie widzę, żeby strzelali do tłumu. Fred Brinkley mógł słyszeć głosy równie dobrze jak inni. Ale tego dnia? Doskonale wiedział, że postępuje źle.

- To gnojek. I właśnie to powiedziałam, jako naoczny świadek i ofiara. I proszę to zaprotokołować - skomentowała ze śmiechem Claire.

Tamten dzień stanął mi teraz przed oczami i bardzo wyraźnie zobaczyłam wszystko jeszcze raz - pokład we krwi i krzyczących pasażerów; przypomniałam też sobie, jak bardzo bałam się, że Claire może umrzeć. Przytulałam Williego i dziękowałam Bogu, że nie dosięgła go ostatnia kula Brinkleya.

- Sądysz, że przysięgli go skażą? - zapytałam Yuki.



- Nie mam pojęcia. Ale powinni. Jeśli ktokolwiek zasługuje na ostatni zastrzyk, to właśnie on - odpowiedziała Yuki, energicznie potrząsając solniczką nad frytkami i odwracając wzrok, by nikt nie mógł nic wyczytać w jej oczach.

## Rozdział 123

Minęła już druga po południu, trzeci dzień od rozpoczęcia narady przez sędziów przysięgłych. Yuki odebrała telefon i poczuła, jak przepływa przez nią prąd.

Sędziowie wydali werdykt.

Przez moment siedziała sztywno i tylko mrugała oczami.

Wysłała SMS-a do Leonarda i zadzwoniła do Claire, Cindy i Lindsay, które w ciągu kilku minut pojawiły się na sali sądowej. Wstała od biurka, przeszła przez korytarz i podeszła do stanowiska Davida.

- Sędziowie są zgodni co do wyroku.

David odłożył kanapkę z tuńczykiem i poszedł za Yuki do windy, którą zjechali na parter. Skierowali się na drugą stronę holu do podwójnych, obitych skórą i ćwiekami drzwi wiodących do kolejnego holu, przeszli przez wykrywacze metalu przed salą sądową i, mijając przeszklony przedsionek, znaleźli się na sali rozpraw.

Sala wypełniała się ludźmi. Obsługa wewnętrznej telewizji sądowej ustawiała kamery. Reporterzy lokalnych gazet i tabloidów, dziennikarze agencji prasowych i ogólnokrajowych mediów wypełniali tylne rzędy ławek dla publiczności. Cindy siedziała przy przejściu między rzędami.

Yuki dostrzegła Claire i Lindsay gdzieś pośrodku miejsc dla publiczności, ale nie mogła wypatrzeć w tłumie Eleny Brinkley, matki oskarżonego.

Mickey Sherman wszedł na salę ubrany w elegancki granatowy garnitur. Przed sobą, na stole, położył metalową aktówkę, skinął głową w stronę Yuki i podniósł telefon do ucha.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Yuki. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko jej szefa.

- Len, sędziowie wydali werdykt.

- Jestem u pieprzonego kardiologa - odpowiedział Parisi. - Daj mi znać, jaki będzie wynik.

Drzwi po lewej stronie otworzyły się i woźny wprowadził Alfreda Brinkleya.

## Rozdział 124

Brinkley nie miał już bandażu na głowie, za to widać mu było szwy biegnące od środka czoła aż do linii włosów. Sińce pod jego oczami zaczęły blednąć i przybrały teraz kolor rozgotowanych żółtek jajka - żółtawozielony.

Woźny rozkuł Brinkleya z kajdanek i pasa biodrowego. Oskarżony usiadł obok obrońcy.

Po prawej stronie ławy przysięgłych otworzyły się drzwi i dwunastu sędziów oraz dwoje ich zastępców weszło na salę. Wszyscy wyglądali niezwykle elegancko; mężczyźni uczesali się porządnie, włosy kobiet były starannie ułożone, a na ich szyjach i rękach połyskiwała biżuteria. Nie spojrzeli ani na Yuki, ani na oskarżonego. Wyglądali na strasznie spiętych, jakby jeszcze godzinę temu walczyli o jednogłośnie werdykt.

Drzwi za katedrą uchyliły się i na sali pojawił się sędzia Moore. Przetarł okulary i odwrócił się w stronę ławy przysięgłych.

- Panie przewodniczący, czy sędziowie przysięgli ustalili werdykt?

- Tak, Wysokie Sądzie.

- Czy może pan podać werdykt woźnemu? Przewodniczącym zespołu sędziowskiego był stolarz o blond włosach sięgających ramion i żółtych od nikotyny palcach. Wyglądał na podenerwowanego, gdy wręczał kartkę z werdyktem woźnemu, który następnie przekazał ją sędziemu.

Sędzia Moore rozłożył kartkę i rzucił okiem na protokół z werdyktem. Następnie zwrócił się do publiczności z prośbą o respektowanie zasad postępowania sądowego i kulturalne zachowanie podczas odczytywania werdyktu.

Yuki złożyła dłonie na stole. Niemal słyszała bicie serca siedzącego obok Davida Hale'a. Sędzia Moore zaczął czytać werdykt.

- Odnosnie do zarzutu o morderstwo pierwszego stopnia Andrei Canello sędziowie uznają oskarżonego Alfreda Brinkleya za niewinnego popełnionego czynu z powodu choroby psychicznej.

Yuki zrobiło się niedobrze.

Opadła na oparcie fotela, ledwie słysząc głos sędziego odczytującego kolejne nazwiska i kolejne werdykty „niewinny z powodu niepoczytalności”.

Yuki wstała, gdy Claire i Lindsay podeszły do niej po odczytaniu wyroku. Stały przy niej, gdy Brinkleya zakuwano w kajdanki, i wszystkie widziały, jak patrzył na Yuki.

To było dziwne spojrzenie, w połowie skupione, a w połowie nieodgadnione. Yuki nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale poczuła gęsią skórę na karku.

- Bardzo się pani starała, pani Castellano. Ale jeszcze pani nie wie, że ktoś będzie musiał za to zapłacić.

Jeden ze strażników pociągnął Brinkleya, który, rzuciwszy Yuki ostatnie spojrzenie, podreptał do aresztu.

Bez względu na to, czy był wariatem, czy też nie, to jedno było dla Yuki pewne: Alfred Brinkley przez długi czas nie pojawi się na ulicach miasta jako wolny człowiek.

Ale mimo to opuszczała salę sądową ze strachem w sercu.

## Rozdział 125

Miesiąc później Conklin i ja wróciliśmy do parku Alta Plaža, gdzie wszystko się zaczęło. Podszedł do nas Henry Tyler w rozpiętym płaszczu, powiewającym na wietrze. Wyciągnął rękę do Conklina, a następnie do mnie.

- Zwróciliście nam życie. Nie potrafię znaleźć słów, które mogłyby wyrazić naszą wdzięczność...

Tyler zawołał żonę i małą dziewczynkę bawiącą się na drabinkach. Madison puściła drążki i przybiegła do nas ze słonecznym uśmiechem.

Henry Tyler złapał córkę i podniósł ją. Madison wychyliła się z jego objęć i uściśnęła najpierw mnie, a potem Richiego.

- Jesteście moimi najbardziej ulubionymi ludźmi - oświadczyła.

Nie przestawałam się uśmiechać, gdy Henry Tyler postawił Madison na ziemi i z radosną twarzą powiedział:

- Jesteśmy wam ogromnie wdzięczni. Ja, Liz, Maddy... Macie w nas przyjaciół na całe życie.

Gdy usłyszałam te słowa, łzy napłynęły mi do oczu. Miło być gliną w taki dzień.

Wychodząc z parku, rozmawiałam z Richiem, ile trudności trzeba pokonać, by doprowadzić śledztwo do końca - jaka to codzienna harówka, a do tego stres płynący z bezpośredniego kontaktu z zabójcami albo narkomanami, fałszywe tropy i ślepe uliczki.

- A potem znajdujemy wreszcie rozwiązanie i następuje wielka radość - podsumowałam.

- Zatrzymajmy się tutaj na chwilę - poprosił nagle Richie, kładąc mi rękę na ramieniu.

Usiadłam na jednym z szerokich stopni rozgrzanych słońcem, a Richie spoczął obok mnie. Coś mu chodziło po głowie.

- Lindsay, pewnie myślisz, że mam na twoim punkcie bzika - zaczął - ale powinnaś wiedzieć, że to jest coś więcej niż tylko to.

Po raz pierwszy patrzenie na ładną twarz Richiego wywołało we mnie ukłucie bólu. Na samo wspomnienie naszych przytulaniek w hotelu rumieniłam się ze skrępowania.

- Dasz nam szansę? - zapytał. - Umówmy się na kolację. Nie będę na nic nalegał, Lindsay. Chciałbym tylko, żebyśmy... eee...

Rich musiał odczytać uczucia malujące się na mojej twarzy, bo zamilkł. Pokręcił głową i powiedział:

- To ja już się lepiej zamknę. Położyłam moją dłoń na jego.

- Przepraszam cię.

- Nie przepraszaj... Spoko, Lindsay. Zapomnij o tym, co przed chwilą mówiłem, okay?

- Próbował się uśmiechnąć i prawie mu się to udało. - Jakoś będę musiał sobie z tym poradzić na terapiach przez kilka lat...

- Chodzisz do psychoterapeuty?!

- A myślisz, że by mi to pomogło? Nie, no co ty!... - Zaśmiał się. - Ja... no... wiesz przecież, co do ciebie czuję...

To był trudny powrót na komendę. Rozmowa się nie kleiła, dopóki nie dostaliśmy wezwania do Tenderloin, gdzie znaleziono jakieś zwłoki. Pracowaliśmy nad tą nową sprawą, robiąc spore nadgodziny, do późnego wieczora. I czuliśmy się doskonale, jakbyśmy byli partnerami od wielu lat.

Tuż po dziewiątej wieczorem pożegnałam się z Richiem. Gdy otwierałam samochód, zadzwoniła moja komórka. Co znowu, do licha? - mruknęłam do siebie.

W słuchawce zatrzeszczało i odezwał się głęboki, wyraźny głos, który zmienił noc w dzień:

- Wiem, że nie wolno niespodziewanie nachodzić oficera policji na schodach jego własnego domostwa, Blondi. Zatem potraktuj to jak wczesne ostrzeżenie. Będę we Frisco w weekend. Mam ci do przekazania pewne wiadomości. I naprawdę muszę się z tobą zobaczyć.

## Rozdział 126

Zabrzączał dzwonek do drzwi. Nacisnęłam guzik domofonu i odpowiedziałam: „Już schodzę?”. Zbiegłam po schodach, wiedząc, że przed drzwiami czeka Karen Triebel, opiekunka mojego psa. Przytuliłam ją na powitanie i pochyliłam się, by objąć moją ukochaną Marthę.

- Naprawdę za panią tęskniła - stwierdziła Karen.

- Serio? - spytałam z powątpiewaniem i roześmiałam się, gdy Martha zaskomliła, szczeknęła i o mały włos mnie nie przewróciła z radości, że mnie widzi. Usiadłam na progu, a Martha oparła mi łapy na ramionach i zaczęła z zapamiętaniem lizać moją twarz.

- Muszę już lecieć, widzę, że musicie się sobą nacieszyć - zawołała Karen, schodząc po schodach do swojego starego volvo.

- Poczekaj, Karen, chodź na górę. Wypiszę ci czek.

- Może następnym razem - powiedziała i zanurkowała w swoim samochodzie, zabezpieczając drzwi linką do wieszania prania, by się nie otworzyły, a następnie uruchomiła silnik.

- Dziękuję! - zawołałam jeszcze, gdy przejeżdżała obok i pomachała mi ręką na pożegnanie. Spojrzałam na swoją najlepszą przyjaciółkę.

- Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? - wyszeptałam w jedwabiste ucho Marthy.

Najwyraźniej wiedziała.

Pobiegłam z nią na górę, gdzie nałożyłam czapkę, bluzę i wsunęłam na nogi sportowe buty. Wyruszyłyśmy na spacer uliczkami, które najbardziej lubimy; pobiegłyśmy wzdłuż Dziewiętnastej Ulicy w stronę parku Rec Center, gdzie położyłam się na ławce na plecach i obserwowałam, jak Martha wykonuje swój taniec border collie. Biegała w szalonych, radosnych kołach, zaganiając inne psy do stada i świetnie się bawiąc.

Po dłuższej chwili wróciła do mnie i usiadła obok ławki, oparła mi pysk na udzie i wlepiała we mnie duże brązowe oczy.

- Cieszysz się, że jesteś w domu, Boo? Fajnie było na wakacjach?

Do domu biegłyśmy nieco wolniej. Nasypałam suni do miski jej psiego jedzenia i poszłam pod prysznic. Gdy wytarłam się i wysuszyłam włosy, Martha spała już na moim łóżku jak zabita; ruszała szczękami i machała łapami, śniąc jakiś wspaniały psi sen.

Nawet nie drgnęła, gdy przebierałam się na randkę z Joem.

## **Rozdział 127**

Restauracja Big 4 mieści się na szczycie wzgórza Nob naprzeciwko Katedry Łaski Pańskiej. Została tak nazwana na cześć czterech baronów kolei Central Pacific. Jej wnętrze jest pięknie wyłożone ciemnym drewnem, przystrojone wspaniałymi światłami i bukietami kwiatów. A według wielu czasopism poświęconych ekskluzywnemu życiu, restauracja Big 4 może się poszczycić jednymi z najlepszych szefów kuchni w mieście.

Podano nam przekąski - Joe zamówił dla siebie foie gras polane jabłkowym musem, mnie zaś uwiodła francuska gruszka z prosciutto. Nie byłam jednak na tyle przejęta otoczeniem w restauracji i widokiem, żeby nie dostrzec w oczach Joego pewnego onieśmienia oraz tego, że przez cały czas uważnie mi się przyglądał.

- Miałem całą garść oklepanych pomysłów - powiedział. - I nie pytaj mnie, proszę, jakie to były pomysły, okay, Linds?

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnęłam się. - Nie będę naciskać. - Nałożyłam odrobinę koziego sera posypanego kruszonymi orzechami laskowymi na widelec z płatkami gruszki, wsunęłam to do ust i pozwoliłam podniebieniu rozkoszować się tą kompozycją.

- Po poważnych przemyśleniach, serio, Blondi, naprawdę pogрузyłem się w głębokich rozważaniach, wymyśliłem coś i chcę ci teraz o tym opowiedzieć.

Odłożyłam widelec i pozwoliłam kelnerowi zabrać mój talerz.

- Zamieniam się w słuch.

- Okay - zaczął Joe. - Wiesz, że mam sześcioro rodzeństwa i że wszyscy dorastaliśmy w szeregowcu w Queens. A nasz ojciec ciągle podróżował.

- Był komiwojażerem.

- No właśnie. Materiały i pasmanteria. Podróżował z góry na dół po Wschodnim Wybrzeżu i nie widzieliśmy go przez sześć dni w tygodniu. Czasem nawet dłużej. Wszyscy bardzo za nim tęskniliśmy. Ale najbardziej tęskniła nasza mama. Był jej najprawdziwszym szczęściem, ale pewnego dnia zaginął - opowiadał dalej Joe. - Każdego wieczoru, zanim poszliśmy spać, zawsze dzwonił do domu, ale tym razem nie. Więc mama zadzwoniła na policję stanową, która odnalazła go następnego dnia, śpiącego w samochodzie na kanale warsztatu samochodowego, na obrzeżach jakiegoś małego miasteczka w Tennessee.

- Zepsuł mu się samochód?

- Tak, a wtedy oczywiście nie istniały jeszcze telefony komórkowe i, Chryste, dopóki nie dowiedzieliśmy się, co się z nim stało, to nawet sobie nie wyobrażasz, co przeżywaliśmy. Myśleliśmy już, że jego samochód wpadł do rzeki i ojciec utonął. Albo że został zastrzelony podczas napadu na stację benzynową. Podejrzewaliśmy nawet, że może prowadzi podwójne życie i ma gdzieś jeszcze jakąś inną rodzinę.

- No tak, Joe, rozumiem, o co chodzi.

Joe zamilkł na chwilę, bawiąc się sztucami, i wrócił do swojej opowieści.

- Ojciec zrozumiał, jak bardzo mama cierpi, jak my wszyscy się o niego martwimy, i postanowił zrezygnować z tej roboty. Nie mógł tego jednak zrobić i jednocześnie zarabiać

tyle, by zapewnić nam taki poziom życia, jaki uważał za właściwy. Ale pewnego dnia, kiedy byłem już w drugiej klasie gimnazjum, wreszcie rzucił tę pracę. Został w domu.

Joe napełnił kieliszki winem. Zdążyliśmy upić po łyżku, gdy pojawił się kelner i postawił przed nami danie główne. Napięcie w głosie Joego i uczucie, które we mnie narastało, sprawiły, że nagle przestałam być głodna.

- Co się stało dalej, Joe?

- Został w domu. My zaczęliśmy go opuszczać, jedno po drugim. Moi rodzice żyli za mniejsze pieniądze, ale byli szczęśliwi. I nadal są szczęśliwi. A ja to widziałam i obiecałem sobie, że nigdy nie zrobię mojej rodzinie tego, co robił nam mój tata, wyjeżdżając na całe tygodnie. I wtedy przypomniałem sobie twoją twarz, gdy byłem tu ostatni raz i powiedziałem ci, że muszę złapać samolot. I wszystko, co do tej pory mówiłaś, wreszcie do mnie dotarło. Zrozumiałem, że zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, postępowałem tak samo, jak mój ojciec. No i, Lindsay, to jest właśnie ta wiadomość, którą chciałem ci przekazać. Zostaję w domu.

## Rozdział 128

Gdy Joe powiedział mi, że przeprowadza się do San Francisco, chwyciłam jego dłoń. Słuchałam jego słów, wpatrywałam się w jego twarz - była przepelniona miłością do mnie. Jednak w mojej głowie wirowały różne myśli.

Kiedyś już rozmawialiśmy o tym, jak by to było być razem w tym samym miejscu i w tym samym czasie. I przecież zerwałam z nim właśnie dlatego, że tylko o tym rozmawialiśmy, zamiast zrealizować to krok po kroku.

Teraz, siedząc blisko niego, zastanawiałam się, czy problemem rzeczywiście była praca Joego, czy czasem wspólnie nie konspirowaliśmy, żeby utrzymać stały związek na bezpieczną odległość, mimo że istniała szansa, aby stał się czymś trwałym i realnym.

Joe uniósł łyżeczkę do kawy i wsunął ją do kieszonki marynarki - jestem pewna, że był przekonany, iż są to jego okulary do czytania.

Potem wyciągnął z innej kieszeni niewielkie pudełeczko, pięć na pięć centymetrów, pokryte czarnym aksamitem.

- Chciałbym, żebyś coś ode mnie przyjęła. - Odsunął wazonik z różami stojący na środku stołu i podał mi pudełeczko. - Proszę, otwórz je.

- Nie wiem, czy mogę - odrzekłam.

- Tylko podnieś wieczko. Z tyłu jest taki mały zawiasik. Uśmiechnęłam się z jego żartu, ale jestem przekonana, że gdy robiłam to, o co mnie prosił, w moich płucach zabrakło powietrza. Wewnątrz, umieszczony na aksamicie, spoczywał platynowy pierścionek z trzema wielkimi diamentami i po jednym małym po bokach.

W końcu odzyskałam oddech. Ten pierścionek po prostu ścinał z nóg. Spojrzałam w oczy Joego i poczułam się tak, jakbym widziała swoje własne.

- Kocham cię, Lindsay. Wyjdiesz za mnie? Czy zostaniesz moją żoną?

Podszedł kelner, ale natychmiast oddalił się bez jednego słowa. Zamknęłam pudełeczko. Usłyszałam przytłumiony klik i - mogłabym przysiąc - że w sali zrobiło się ciemniej.

Z trudem przełykałam ślinę, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Kręciło mi się w głowie i miałam wrażenie, że sala wokół nas także zaczyna wirować.

Obydwoje byliśmy kiedyś w związkach małżeńskich.

Obydwoje byliśmy rozwodnikami.

Czy byłam gotowa spróbować tego jeszcze raz?

- Linds?

W końcu się odetkałam.

- Ja też cię kocham, Joe, i jestem... jestem... strasznie tym wszystkim przejęta - chrypiałam, gdy próbowałam mówić. - Potrzebuję trochę czasu, bym mogła wszystko głęboko przemyśleć. Chcę być absolutnie pewna. Czy możesz to trzymać przy sobie? - zapytałam, przesuwając pudełeczko w jego stronę. - Najpierw zobaczmy, jak sobie damy radę być z sobą na co dzień. No wiesz, takie normalne życie... - tłumaczyłam. - Pranie, wyjście do kina. Weekendy, które nie kończą się twoim wyjazdem na lotnisko...

Na twarzy Joego malowało się rozczarowanie. Ten widok sprawiał mi ból. Przez chwilę wydawał się kompletnie zagubiony, ale wreszcie położył na mojej dłoni pudełeczko i zacisnął mi na nim palce.

- Ty to trzymaj przy sobie, Lindsay. Ja nie zmienię zdania. Jesteś mi przeznaczona, bez względu na to, ile prania będziemy musieli zrobić. Bez względu na to, ile razy umyjemy samochód i wyniesiemy śmieci albo nawet pokłócimy się, czyja jest teraz kolej na zrobienie czegoś tam. Ja naprawdę nie mogę się doczekać życia z tobą.

To niesłychane, ale wydało mi się, że w sali znowu zrobiło się jaśniej.

Joe uśmiechnął się i zaniknął swoje dłonie wokół moich.

- Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa, żebym mógł włożyć ci ten pierścionek na palec i żebym mógł powiedzieć moim rodzicom, że będziemy mieli wielkie włoskie wesele.



## Rozdział 129

Był szósty czerwca. Jacobi wezwał mnie i Richiego do swojego biura. Wyglądał na totalnie wkurzonego. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- Mam złe wiadomości. Alfred Brinkley uciekł. Opadła mi szczęka.

Przecież nikt nie ucieka z Atascadero! To był szpital psychiatryczny dla niepczytalnych kryminalistów, a to oznaczało, że pełnił bardziej funkcję więzienia o zaostrozonym rygorze niż szpitala.

- Jak to się stało? - zapytał Conklin.

- Walił głową w ścianę celi...

- To nie był na prochach? Ani na obserwacji? Jacobi wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. No dobra, lećmy dalej. Zwykle dzieje się tak, że to lekarz przychodzi do pacjentów na bloku, ale akurat ten doktorek, niejaki Carter, życzy sobie, by przyprowadzać więźniów pod strażą do jego gabinetu, który mieści się w skrzydle o minimalnym poziomie zabezpieczeń.

- O nie! - jęknęłam, wyobrażając sobie, co się stało. Nawet nie musiałam słuchać zakończenia tej historii. - I strażnik miał broń?!

- Strażnicy noszą przy sobie broń, tylko kiedy przeprowadzają więźniów między skrzydłami budynku. No i ten doktorek każe rozkuć Brinkleya, żeby przeprowadzić test neurologiczny...

Jacobi opowiadał dalej, jak to Brinkley złapał za skalpel, rozbroił strażnika i zabrał mu broń. Przebrał się w ubranie lekarza, skorzystał z kluczy zabranych strażnikowi i wyjechał samochodem doktorka.

- To wszystko wydarzyło się dwie godziny temu. Jest już nakaz zatrzymania wozu Cartera, granatowego subaru outback.

- Pewnie już porzucił ten samochód - stwierdził Conklin.

- Pewnie tak. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale kierownik oddziału powiedział, że Brinkley był nieźle zakręcony na punkcie Edmunda Kempera, tego seryjnego zabójcy, o którym gdzieś przeczytał.

- Zabił sześć młodych kobiet, a sam mieszkał u mamusi - przypomniał nam Conklin.

- To ten sam facet - przyznał Jacobi. - Pewnej nocy wrócił do domu z randki, a jego matka mówi coś takiego: „A teraz pewnie będziesz mnie zanudzać tym, co robiłeś przez cały wieczór?”.

- Czyjego matka wiedziała o zabójstwach? - zapytałam.

- Nie, nic nie wiedziała - odpowiedział Jacobi. - Ona była jak modliszka. Słuchajcie, akurat szedłem do kibla, gdy do mnie zadzwoniono, więc pozwólcie mi opowiedzieć wszystko do końca, dobra?

- Dawaj, szefie. - Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu.

- No więc mama Kempera mówi: „Co, będziesz mnie zanudzał?”. Toteż Edmund Kemper czeka, aż mamusia położy się spać, a kiedy zasypia, odcina jej głowę i kładzie na półce nad kominkiem. I wtedy opowiada głowie swojej matki o wszystkim, co zrobił tego wieczoru. Z detalami, jak się domyślam.

- Ten psychol sam się zgłosił na policję, jeśli dobrze pamiętam - powiedział Conklin i zacisnął pięści, aż chrupnęły mu chrząstki palców. Był mocno wkurzony.

Ja także bardzo się przejęłam wizją Brinkleya na wolności, uzbrojonego i w stanie psychotycznego pobudzenia. Pamiętałam jego twarz, gdy po procesie patrzył z pogardą na Yuki. Pochylił się do niej i powiedział: „Ktoś za to zapłaci”.

- Tak, Kemper oddał się w ręce policji. Chodzi o to, że gdy składał zeznania, powiedział glinom, że zabijał te dziewczyny zamiast swojej matki. Rozumiecie? - Jacobi zwrócił się teraz do mnie. - Aż wreszcie zabił właściwą osobę.

- A oddziałowy twierdził, że Alfred Brinkley zachwycił się Kemperem?

- No właśnie - odparł Jacobi, trzymając ręce na pasku spodni i ruszając w stronę drzwi. - Brinkley miał obsesję na punkcie Edmunda Kempera.

## Rozdział 130

Fred Brinkley szedł po Scott Street, spoglądając prosto przed siebie spod daszka czapeczki baseballowej należącej do doktora Cartera. Obserwował małe wierzchołki żagli w marinie na końcu ulicy, wciągając w płuca zapach morskiego powietrza płynącego z zatoki.

Nadal bolała go głowa, ale leki stłumiły głosy, mógł zatem samodzielnie myśleć. Czuł się silny i pełen wigoru. Tak samo czuł się wtedy, gdy on i Bucky rozprawili się z tymi żalonymi dupkami na promie.

Idąc, odtwarzał w pamięci, klatka po klatce, wydarzenia z gabinetu doktora Cartera: jak błyskawicznie przystąpił do działania, gdy tylko zdjęto mu kajdanki, zupełnie jakby był jakimś superbohaterem z komiksów.

Dotknij nosa.

Dotknij palców u nóg.

Złap skalpel.

Przytknij go do żyły na szyi doktora i poproś strażnika o pistolet. Fred śmiał się teraz z tego wszystkiego, przypominając sobie o tym głupim strażniku, jak na niego warczał, gdy krępował ich taśmą, wepchnął im gazę do ust i zamknął na zapleczu.

- I tak tu wrócisz, świrze!

Fred dotknął broni ukrytej w kieszeni kurtki lekarza. Pewnie, że wrócę! - pomyślał.

- Mam to w planach - powiedział. Ale jeszcze nie teraz, dodał w myśli.

Małe, otynkowane domy przy Scott Street były nieco odsunięte od chodnika i stały ciasno przysunięte jeden obok drugiego. Wyglądały jak klocki lego poustawiane wzdłuż linii drogi. Dom, którego szukał Fred, był w kolorze kawy z mlekiem z ciemnobrązowymi żaluzjami zewnętrznymi i garażem na jeden samochód, nad którym znajdował się pokój.

No i proszę, wreszcie go znalazł - przystrzyżony trawnik z cytrynowym drzewkiem - dokładnie tak, jak go zapamiętał. Drzwi do garażu były uniesione, samochód stał w środku.

Doskonale. I to w samą porę.

Fred przeszedł sześć metrów asfaltowego podjazdu i ukrył się w garażu. Przepchnął się obok jasnoniebieskiego kabrioletu bmw z dziewięćdziesiątego piątego roku i sięgnął na półkę z narzędziami po bezprzewodową gwoździarkę. Wsunął do niej magazynek z gwoździami i strzelił w stronę ściany, by sprawdzić, czy działa. Ta-dam, działa.

Wszedł po kilku schodkach na poziom domu, przekreślił gałkę w drzwiach i wkroczył na drewnianą podłogę salonu. Przez chwilę stał przed rodzinną świątynią-półeczkami ze zdjęciami w ramach i albumami. Z górnej półki wziął oprawione w skórę albumy, ściągnął akwarelę ze sztalugi i zaniósł to wszystko do kuchni.

Ona siedziała przy stole, wypisując czeki za rachunki domowe. Mały telewizorek kuchenny był włączony. Leciał jakiś program z gadającymi głowami.

Gdy wszedł do kuchni, ciemnowłosa kobieta odwróciła głowę i zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia, próbując zrozumieć, co się dzieje.

- Hola, Mamacita - zawołał wesoło. - To ja! Czas na wspólny występ Freda i Eleny Brinkleyów!

## Rozdział 131

- Skąd się tu wziąłeś, Alfred? - zapytała matka.

Fred położył gwoździarkę na blacie kuchennym i zamknął za sobą drzwi. Przewrócił kilka kartek albumu i otworzył go na stronie ze zdjęciem Lily w wózek dziecięcym, Lily z mamusią, Lily w stroju kąpielowym.

Fred obserwował rozszerzające się źrenice Eleny, gdy chwycił akwarelowy portret Lily i roztrzaskał szkło o blat.

- Nie!

- Tak, mam. Tak, proszę pani. To są sprośne obrazki. Ohydnie sprośne.

Otworzył zmywarkę do naczyń i włożył albumy do dolnego kosza, akwarelkę zaś położył na górny koszyk. Zatrzasnął klapę zmywarki z pełną kolekcją zdjęć swojej uświęconej siostrzyczki i nastawił timer na pięć minut. Minutnik zaczął cykać, odliczając czas do rozpoczęcia mycia.

- Alfred - matka próbowała podnieść się z krzesła - to nie jest śmieszne.

Fred pchnął ją z powrotem na krzesło.

- Woda nie poleci jeszcze przez pięć minut. A wszystko, czego teraz od ciebie chcę, to twojego skupienia przez cztery minuty. Potem uwolnię twoje cenne albumy.

Fred wysunął spod stołu krzesło i usiadł tuż obok matki. Spojrzała na niego z pogardą. Nienawidził jej za to przez całe życie.

- Nie dokończyłem tego, co mówiłem do ciebie, gdy byłaś w sądzie.

- Masz na myśli te kłamstwa, które opowiadałaś w sądzie? - odrzekła, odwracając głowę w stronę odliczającej czas zmywarki i zamkniętych drzwi.

Fred wyjął berettę z kieszeni kurtki i odbezpieczył.

- Chcę z tobą porozmawiać, mamusiu.

- Pewnie nie jest nabyty.

Fred uśmiechnął się i strzelił w podłogę. Twarz matki zsiniała.

- Połóż rączki na stole. No już, mamusku. Chyba chcesz dostać te zdjęcia z powrotem, co?

Fred siłą wyprostował rękę matki, oparł ją na stole, przyłożył głowicę gwoździarki do rękawa i pociągnął za spust.

Ta-dam. Tak samo przybił do stołu drugą stronę rękawa. Ta-dam, ta-dam.

- Widzisz? No i co sobie pomyślałaś, mamciu? Że chciałem cię skrzywdzić? Przecież dobrze wiesz, że nie jestem rąbnięty.

Po przybiciu jednego rękawa Fred zrobił dokładnie to samo z drugim. Elena wzdrygała się przy każdym strzale z gwoździarki i wydawało się, że za chwilę się rozplacze.

Upłynęła minuta i pokrętko zmywarki przesunęło się o jeden klik.

Tik, tik, tik.

- Oddaj mi te zdjęcia, Fred. One są moją jedyną pamiątką... Fred przysunął usta do ucha matki i zaczął mówić głośnym, scenicznym szeptem.

- Specjalnie kłamałem w sądzie, mamó, bo chciałem cię skrzywdzić. Chciałem ci powiedzieć, jak to wszystko mnie gryzie.

- Nie mam czasu, żeby cię wysłuchiwać - odparła Elena Brinkley, usiłując uwolnić się z pułapki.

- Ależ masz czas. Cały ten dzień będzie poświęcony mojej osobie. Widzisz? - powiedział, strzelając dwucentymetrowymi gwoździami w jej rękawy, aż po łokcie.

Ta-dam, ta-dam, ta-dam.

- Prawda jest taka, że chciałem trochę poświntuszyć z Lily, a to wszystko przez ciebie, mamó. Bo to ty zrobiłaś z niej laleczkę do pierdolenia, w króciutkich minióweczkach, z malowanymi paznokciami, na wysokich obcasach. A miała wtedy tylko dwanaście lat! Co ty sobie myślałaś? Że może tak chodzić po ulicy i nikt nie będzie chciał jej puknąć?

Zadzwoił telefon i Elena Brinkley obrzuciła go tęsknym spojrzeniem. Fred podniósł się z krzesła i wyrwał kabel telefoniczny ze ściany, po czym chwycił stojący na blacie drewniany blok na noże i z całej siły walnął nim w stół.

- Po co ci telefon? Nie ma nikogo, z kim musiałabyś teraz gadać. Ja jestem najważniejszą osobą w twoim życiu.

- Alfred, co ty robisz?

- A co sobie myślisz? - odpowiedział, wyciągając jeden z długich noży. - Myślisz, że chcę ci odciąć język? Myślisz sobie, że jestem niezłym psycholem, co?

Fred roześmiał się matce prosto w twarz, rozkoszując się przerażeniem, które w niej wzbudzał.

- Więc chodzi mi o to, mamciu, że widziałem, jak Lily klęknęła przed tym facetem, który pracował w marinie, Peterem Ballantine'em, i zrobiła mu laskę.

- To nieprawda!

Brinkley przysunął sobie ostrzałkę i zaczął ostrzyć długi, dwudziestocentymetrowy nóż z karborundu. Odgłos ostrzenia sprawiał mu przyjemność.

- Powinieneś już sobie iść. Policja na pewno już cię szuka.

- Jeszcze nie skończyłem. Musisz mnie po raz pierwszy wysłuchać do końca w tym nędznym i żalonym...

Tik, tik, tik.

Głos w głowie powtarzał: „Zabij ją, zabij ją!”. Fred odłożył nóż i wytarł spocone dłonie w nogawki spodni khaki doktora Cartera. Znowu wziął nóż do ręki.

- Jak już wcześniej mówiłem, Lily droczyła się ze mną, mamó. Chodziła wokół mnie na wpół naga, a potem wzięła do buzi fujarę Ballantine’a. Zapomnij o tych zdjęciach i wreszcie mnie posłuchaj! - wrzasnął wściekle. - Lily i ja wynajęliśmy żaglówkę na jeden dzień i zakotwiczyliśmy daleko, żeby nikt nas nie widział... i Lily ściągnęła górę.

„Kłamca. Tchórz. Za wszystko wini ją”.

- No i wyciągnąłem do niej rękę. Dotknąłem jej małych cycuszków, a ona spojrzała na mnie tak, jak ty teraz na mnie patrzysz. Jakbym był jakimś gównojadem.

- Nie chcę tego słuchać!

- Musisz mnie wysłuchać - odparł Brinkley, dotykając jej lekko pomarszczonej szyi. - Więc siedziała tak sobie tylko w majtkach od stroju kąpielowego, wyzywając mnie od świrów, aż wreszcie oświadczyła: „Powiem wszystko mamie”. I to były jej ostatnie słowa, mamciu. „Powiem wszystko mamie”. Gdy się ode mnie odwróciła, złapałem za bom i puściłem go w jej stronę. Walnął ją w tył głowy i...

Nagle rozprysła się szyba, po czym nastąpił ogłuszający huk i piekielny wybuch światła.

Fred Brinkley pomyślał, że to cały świat rozwalił się na kawałki.

## **Rozdział 132**

Z przerażeniem patrzyłam przez małe kuchenne okno, jak Brinkley przykłada świeżo naostrzony nóż do szyi swojej matki.

Byliśmy gotowi do działania, ale aby je podjąć, potrzebowaliśmy czystej linii strzału. Tymczasem pani Brinkley siedziała na linii ognia. Próba włamania przez którekolwiek drzwi dałaby Brinkleyowi wystarczająco dużo czasu, by ją zabić. Strach o życie tej kobiety pełzył w górę mojego kręgosłupa niczym podpalony lont. Chciałam wrzeszczeć.

Zamiast tego odwróciłam się do Raya Quevasa, szefa naszego oddziału SWAT. Pokręcił głową na „nie”, dając znak, że snajper nie jest na czystej pozycji do oddania strzału. Ta sytuacja w każdej chwili mogła się wymknąć spod kontroli, więc gdy poprosił o zgodę na użycie granatu hukowo-oślepiającego, dałam mu wolną rękę.

Założyliśmy maski i gogle, a Ray rozbił szybę końcem lufy granatnika i wystrzelił. Granat odbił się o przeciwną ścianę i wybuchł z rozrywającym uszy hukiem i oślepiającym blaskiem.

Oddział SWAT sforsował drzwi w ciągu ułamka sekundy. Wpadliśmy do wypełnionej dymem kuchni, pragnąc tylko jednego: unieszkodliwienia Brinkleya, zanim ten złapie za pistolet.

Znalazłam go na podłodze, leżącego twarzą do ziemi, z nogami pod stołem. Uklękłam jednym kolanem na jego plecach i wykręciłam mu ręce do tyłu. Prawie zapięłam mu kajdanki, gdy odwrócił się nagle i zrzucił mnie z siebie. Był silny jak wściekły byk. Gdy walczyłam, by odzyskać równowagę, Brinkley złapał swój pistolet, który wcześniej spadł na podłogę.

Conklin zerwał maskę z twarzy i wrzasnął:

- Trzymaj łapy tak, bym je widział!

Znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

### **Rozdział 133**

Na głowie Brinkleya natychmiast pojawiły się światełka celowników laserowych, ale on zacisnął obie dłonie na rękojeści pistolem, gotowy do strzału - widać było, że przeszedł przeszkolenie wojskowe. Wycelował berettę w Conklina, a Conklin celował w niego.

Wtedy wkroczyłam do akcji.

Wbiłam lufę swojego glocka w szyję Brinkleya, żeby naprawdę ją poczuł, i wrzasnęłam przez maskę:

- Nie ruszać się! Ruszysz się o centymetr i nie żyjesz! Richie wykopał broń z ręki Brinkleya. Pistolet przesunął się po podłodze aż pod ścianę.

Sześć karabinów mierzyło w Brinkleya, gdy zakuwałam go w kajdanki. Całym ciałem czułam euforię zwycięstwa - nawet wtedy, gdy Brinkley się z nas śmiał.

Zdjęłam maskę i mrugałam przez chwilę, bo w powietrzu nadal czuć było fosfor. Nie mogłam się domyślić, co sprawiało, że Brinkley tak się śmiał.

Dorwaliśmy go. Dorwaliśmy go żywcem.

- On chciał mnie zabić! - krzyczała Elena Brinkley do Jacobiego. - Czy nie możecie go na dobre zamknąć?

- Co się stało? - spytał Brinkley, spoglądając na mnie przez ramię.

- Pamiętasz mnie? - odparłam.

- O tak. Moja przyjaciółka, Lindsay Boxer.

- No to dobrze. Jesteś aresztowany za ucieczkę z więzienia - oświadczyłam. - I dodamy do tego zagrożenie życia. A może i usiłowanie zabójstwa.

Za moimi plecami Jacobi prosił Elenę Brinkley, by się nie ruszała, to pomoże jej wstać z krzesła.

- Masz prawo zachować milczenie - zaczęłam odczytywać Brinkleyowi jego prawa.

Elena uwolniła się wreszcie, całkowicie drąc rękawy, wstała od stołu i podeszła do syna.

- Nienawidzę cię - syknęła. - Szkoda, że cię nie zabili. - I uderzyła go w twarz.

- Ojej, jestem zszokowany - kpił sobie Brinkley.

- Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie - kontynuowałam.

- W kulki sobie lecisz?! - darł się Brinkley, wyraźnie nieświadomy obecności napompowanych adrenaliną policjantów, którzy najchętniej by mu tak dołożyli, że nie mógłby się ruszyć przez kilka tygodni. - Możesz jedynie odwieźć mnie do Atascadero! O cokolwiek mnie oskarżycie, i tak nie przejdzie w sądzie!

- Zamknij się, gnojku! - rzuciłam ostro. - I ciesz się, że nie zamykamy cię w worku na zwłoki!

- Nie, to ty się zaniknij! - wrzeszczał Brinkley z pianą na ustach. - Nie jestem niczego winny! Dobrze o tym wiesz! Zostałem formalnie uznany za niepoczytalnego!

Nagle usłyszałam krzyk Eleny Brinkley.

- Nieee!

Włączyła się zmywarka do naczyń.

## **Epilog**

**Runda szósta.**

### **Rozdział 134**

Nie znałam tego biednego człowieka, leżącego jak go Pan Bóg stworzył, na stole u Claire. Wiedziałam jedynie, że jego śmierć może być w jakiś sposób powiązana z tragedią na Del Norte. Claire nacięła skórę wokół czaszki i ściągnęła ją na twarz jak mankiet skarpetki, po czym odcięła górę czaszki i wyjęła z niej mózg.

Między kciukiem a palcem wskazującym trzymała teraz fragment pocisku z rewolweru.



- Musiała najpierw przebić coś innego, cukiereczku. Może jakąś drewnianą płytę. Cokolwiek to było, zmniejszyło wprawdzie prędkość kuli i siłę uderzenia, ale i tak zabiło tego człowieka.

Zadzwoiłam do Jacobiego.

- Wiesz, co robić, Boxer. Opowiedz mu całą historię, tylko prostymi słowami.

Po tej radzie przełączył mnie do szefa policji. Przedstawiłam Tracchiowi najkrótszą z możliwych wersję - że Wei Fong, trzydziestodwuletni robotnik budowlany, umarł dziś rano. Że od wielu miesięcy znajdował się w stanie śpiączki wegetatywnej i przebywał w szpitalu Laguna Honda na oddziale intensywnej opieki ze względu na nieoperowalną ranę postrzałową głowy. Oraz że dostał postrzał dokładnie tego samego dnia, gdy Alfred Brinkley urządził jatkę na Del Norte.

- Szósta kula Brinkleya poleciała w kosmos - tłumaczyłam - ale okazało się, że w końcu trafiła na Wei Fonga i zabiła go.

- Skąd masz numer mojej komórki? - zapytał Tracchio.

Zwykle opanowane dłonie Claire drżały, gdy pakowała fragment kuli do szklanego pojemnika. Podpisałyśmy odpowiednie formularze i zadzwoniłam do laboratorium kryminalistycznego.

Za plecami usłyszałam, że Claire przemawia do zwłok na stole.

- Kochany panie Fong, wiem, że mnie pan nie słyszy, ale chciałabym panu podziękować...

Pathfinder Claire stał tuż obok zatoczki dla karetek. Przełożyłam jej pranie na tylne siedzenie i zapięłam pasy.

- To zupełnie jak z zabójstwami gangu Mansona - powiedziałam, gdy wjeżdżałyśmy w Harriet Street. - Dwa mordy, Tate i LaBianca. Dwa niezależne zespoły śledcze pracowały obok siebie przez całe tygodnie, zanim zorientowano się, że to ci sami wykolejeńcy byli odpowiedzialni za oba zabójstwa. A teraz to samo. Zespół Macklina bezskutecznie pracował nad sprawą Wei Fonga...

-...Dopóki ten nie umarł. Masz wszystko? - zapytała Claire.

- Tak, mam.

Fragment kuli schowałam do kieszeni na piersi. Broń znajdowała się w zaklejonej papierowej torbie, leżącej pomiędzy moimi stopami. Jechaliśmy drogą numer 280 do Cesar Chavez, a stamtąd do stoczni marynarki wojennej Hunters Point, gdzie w szaroniebieskim betonowym budynku mieściło się laboratorium kryminalistyczne.

Claire zaparkowała pod palmami, które dumnie stały na straży parkingu.

Wyskoczyłam z samochodu, zanim Claire zdążyła zaciągnąć hamulec ręczny.

## Rozdział 135

Dyrektor laboratorium kryminalistycznego, Jim Mudge, czekał na nas w gabinecie. Przywitał się, zabrał ode mnie papierową torbę i wyjął z niej śmiercionośnego przyjaciela Alfreda Brinkleya - Bucky'ego.

Poszliśmy za nim korytarzem i weszliśmy w drugie drzwi po lewej stronie do wewnętrznej strzelnicy, gdzie dyrektor przekazał broń specjalście, który wystrzelił z niej do długiego zbiornika wypełnionego wodą. Wyciągnął z wody kulę kaliber.38 i wręczył mi ją.

- Proszę bardzo, pani sierżant. I życzę powodzenia. Dorwijcie tego sukinsyna.

Mudge odprowadził mnie i Claire do pokoju na końcu korytarza. Znajdowały się tam biurka, które ustawiono w kształcie podkowy, pod ścianą stał rząd stołów z mikroskopami do porównań.

Przywitała nas młoda kobieta.

- Witajcie, jestem Petra. Zobaczmy, co też tutaj mamy... Podałam jej kulę z broni Alfreda Brinkleya i fragment, który Claire wyciągnęła z mózgu pana Fonga.

Nabrałam powietrza w płuca i trzymałam kciuki.

Pochyliłyśmy się z Claire nad laborantką gdy ta ustawiała obiekty na próbnikach mikroskopów.

Petra uśmiechnęła się, zrobiła krok do tyłu i powiedziała:

- Same zobaczcie.

Gdy spojrzałam przez mikroskop, nawet dla mnie stało się oczywiste, że były to kule wystrzelone z tego samego rewolweru: te same ślizgi i żłobkowanie.

Porównywany fragment kuli pochodził z szóstego strzału, kiedy Alfred Brinkley wypalił w stronę Williego, syna Claire, i spudłował.

Właśnie ta kula sprawi, że Alfred Brinkley znowu stanie przed sądem.

Odwróciłam się do Claire i nie wiedziałam, czy przybić jej piątkę, czy też objąć - więc dla pewności najpierw zrobiłam to pierwsze, potem to drugie.

- Mamy go! - ucieszyła się Claire.

## Rozdział 136

Godzinę później Rich Conklin i ja staliśmy w szarym pokoju pełnym małych stolików i krzeseł w Atascadero. Wszedł Brinkley - od razu było widać, że jest w doskonałej formie, z różowymi policzkami, dokarmiony. Przez chwilę pomyślałam nawet, że poprosi mnie do tańca, bo spojrzał na mnie tak, jakby cieszył się, że mnie widzi.

- Tęsknisz za mną, Lindsay? Bo ja cały czas pamiętam nasze ostatnie spotkanie.

- Nawet nie siadaj, Fred. Przyjechaliśmy, żeby cię aresztować pod zarzutem zabójstwa.

- Wyglupiasz się? Znowu sobie żartujesz, co? Uśmiechnęłam się do niego, bo nie mogłam powstrzymać radosnych fajerwerków w głowie.

- Pamiętasz swój wielki dzień na Del Norte?

- No i co z tego?

- Twoja ostatnia kula nie trafiła w Williego Washburna, do którego strzelałeś. Ale znalazła sobie inny cel. Aresztujemy cię za zabicie Wei Fonga, Fred-o! Za zabójstwo drugiego stopnia.

- Nie dacie rady, Lindsay - odparł Brinkley i wzruszył ramionami. - Twierdzisz, że zabiłem kogoś, kogo nawet nie widziałem na oczy?

- Właśnie tak. Jesteś doskonałym strzelcem.

- Coś ci się przyśniło, paniusiu. Zostałem oczyszczony ze wszystkich zarzutów dotyczących Del Norte. Jestem uznany za niepoczytalnego, zapomniałaś? Wciskasz mi drugie oskarżenie o to samo?

- Podczas procesu nie zostałeś oskarżony o zabójstwo Fonga, Fred. To jest zupełnie nowa sprawa. Nowe dowody. Nowa ława przysięgłych. I podejrzewam, że tym razem twoja matka zostanie świadkiem oskarżenia.

Śmiech Brinkleya zamarł, gdy kazałam mu się odwrócić. Założyłam mu kajdanki, a Conklin odczytał jego prawa.

Zaciągnęliśmy go do samochodu. Gdy wsadziliśmy go na tylne siedzenie, odgrodzone od przednich mocną siatką, wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił - była boleśnie wykrzywiona, może na wspomnienie dawnych chłopięcych lat, gdy w jego życiu zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Na autostradzie Fred odzyskał humor i podśpiewywał pod nosem. *Ay, ay, ay, ay, canta y no llores /Porque cantando se allegran /Celito lindo.*

- Mama cię tego nauczyła, Fred? - zapytałam. Znałam słowa tej starej piosenki: „Śpiewaj, nie płacz. Bo gdy śpiewasz, rozświecła się niebo i staje się piękniejsze”.

Spojrzałam w lusterko wsteczne i stwierdziłam z zaskoczeniem, że Brinkley również patrzy w lusterko, prosto w moje oczy. Przestał śpiewać i powiedział głośnym, scenicznym szeptem:

- Hej, Lindsay, naprawdę sądzisz, że mnie dorwałaś?